

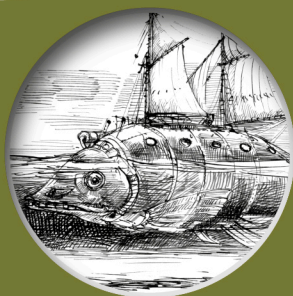


Europa Bałtycka



Redakcja

Małgorzata Nocuń
Tomasz Stępniewski



Europa Bałtycka

W serii Europa Środkowa ukazały się:

Europa Środkowa. Rozmowy o (nie)pamięci

red. Tomasz Stępniewski, Lublin 2020

Wyszehrad porwany. Rozmowy o Europie Środka

red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Oblicza Europy Środkowej

red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Sojuz ruszymy. Związek Sowiecki 30 lat po upadku

red. Zbigniew Rokita, Tomasz Stępniewski, Lublin 2021

Europa Wschodnia. Nowe rozdanie

red. Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski, Lublin 2022

Zrozumieć Europę Środkową. Od Haleckiego do Kłoczowskiego

red. Tomasz Stępniewski, Lublin 2022

Bałkany: stabilna niestabilność


red. Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski, Lublin 2023

Europa Bałtycka

red. Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski, Lublin 2023

Europa Bałtycka

Redakcja
Małgorzata Nocuń
Tomasz Stępniewski

Instytut
Europy Środkowej 
Lublin 2023

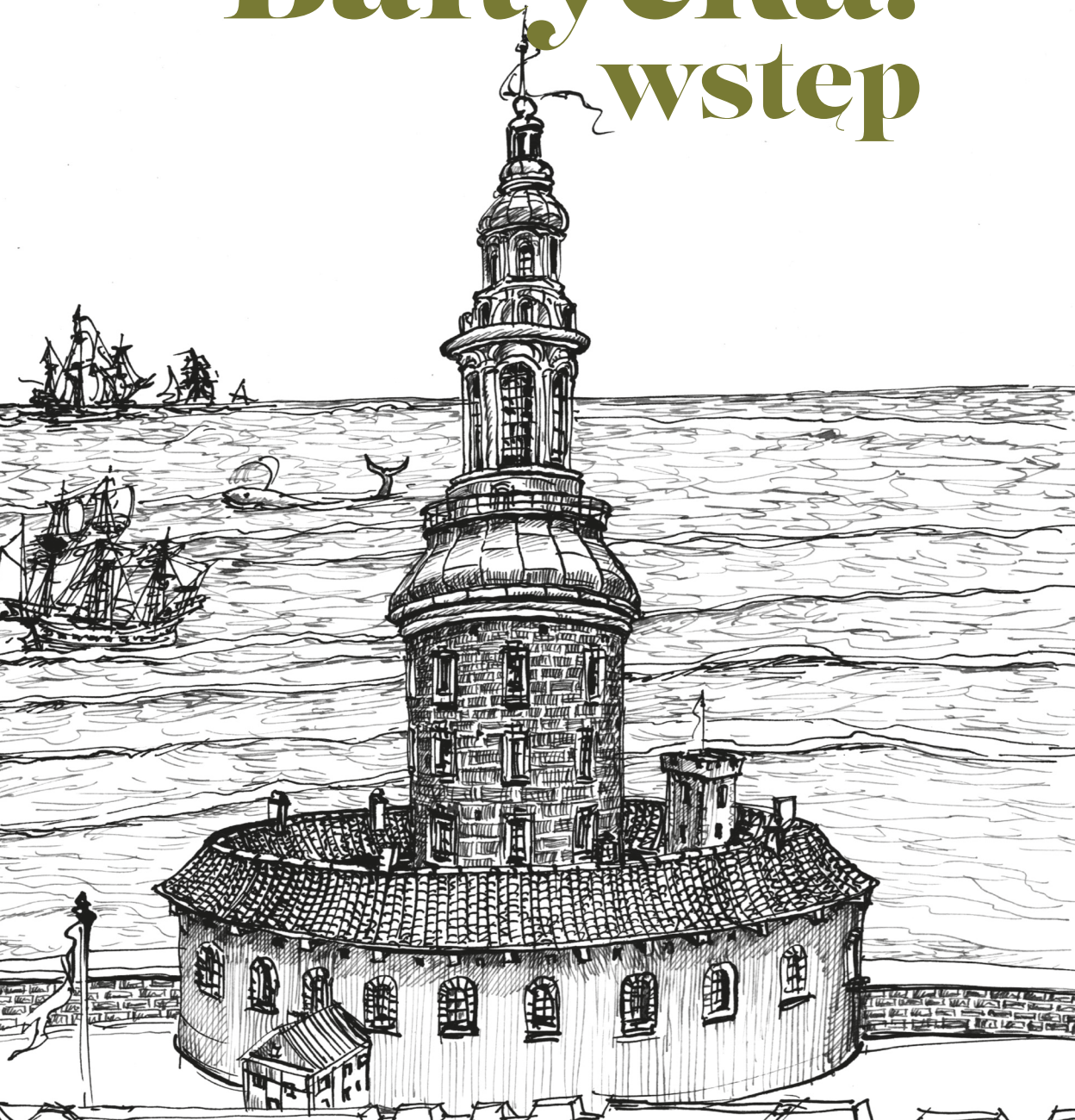
Spis treści

- 6 | Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski
Europa Bałtycka: wstęp
- 10 | **Czy „bałtyckość” istnieje?**
| Z Kazimierzem Musiałem rozmawia Tomasz Stępniewski
- 20 | **Wielka strata. Czyli Rosja nad Bałtykiem**
| Z Miłoszem Jerominem Cordesem rozmawia Małgorzata Nocuń
- 30 | **Litwa. Europa Środkowo-Wschodnia,
nie Północna**
| Z Alvydasem Nikžentaitisem rozmawia Antoni Radczenko
- 38 | **Pierwiastek nordycki**
| Z Imantsem Liegīsem rozmawia Tomasz Otocki
- 48 | **Estonia patrzy na północ Europy**
| Z Heiko Pääbo rozmawia Damian Szacawa
- 58 | **Współpraca, zgoda
i niewielkie oczekiwania**
| Z Wojciechem Woźniakiem rozmawia Małgorzata Olszewska
- 68 | **Staliśmy się Rosją bardziej, niż byliśmy**
| Z Anną Alimpijewą rozmawia Paulina Siegień

- 78 **Czwarte państwo bałtyckie**
| Z Aliną Kouszyk rozmawia Michał Potocki
- 90 **Dialog dla samego dialogu**
| Z Aleksandrą Fedorską rozmawia Kaja Puto
- 98 **Dzieci mają głos. Czyli niepełnoletni w państwie opiekuńczym**
| Z Maciejem Czarneckim rozmawia Monika Frenkiel
- 106 **Państwo – wspólne dobro i troska**
| Z prof. Ryszardem Czarnym rozmawia Jakub Bielałowicz
- 114 **W poszukiwaniu dobrostanu**
| Z Katarzyną Tubylewicz rozmawia Monika Frenkiel

Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski

Europa Bałtycka: wstęp



Europa Bałtycka¹ – połączenie morza i zaplecza lądowego – to jednocześnie tajemniczy i malowniczy region Europy, gdzie piękno przyrody spotyka się z bogatą historią i różnorodnością kulturową. Jest to obszar o wyjątkowym znaczeniu geopolitycznym, na którym przecinały się interesy i strefy wpływów różnych państw i narodów. Inaczej mówiąc, w tym regionie przez wieki współpraca przeplatała się z rywalizacją o wpływy. Na obszarze tym rozwinięte były handel i przewozy towarów przez Morze Bałtyckie, co również przełożyło się na świadomość sąsiedztwa i podobieństwo struktur osadniczych. Jak słusznie zauważył Tadeusz Palmowski, „rozdarcie polityczne Europy w XX wieku, trwające na tym obszarze przez ponad 50 lat, aż do roku 1989, było przyczyną nikłej koordynacji wspólnych działań. W tym czasie, aż do roku 1991, obszar państw bałtyckich był polem konfrontacji trzech ugrupowań: państw NATO i EWG, państw Układu Warszawskiego i RWPG oraz państw neutralnych”². Można powiedzieć, że jednym czynnikiem splatającym wówczas ich losy było położenie nad Morzem Bałtyckim.

W niniejszym tomie pragniemy zabrać Czytelnika w podróż po tym unikalnym regionie, odkrywając jednocześnie jego złożoną historię i tożsamość, które wpływają na jego dzisiejszy obraz. Nasze opowieści skupiają się na państwach i regionach otaczających Morze Bałtyckie: od Skandynawii po Półwysep Jutlandzki, od Polski po Rosję (Kaliningrad) i aż po

¹ Termin „Europa Bałtycka” został wprowadzony do piśmiennictwa przez: J. Zaleski, C. Wojewódka, *Europa Bałtycka. Zarys monografii gospodarczej*, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk 1977.

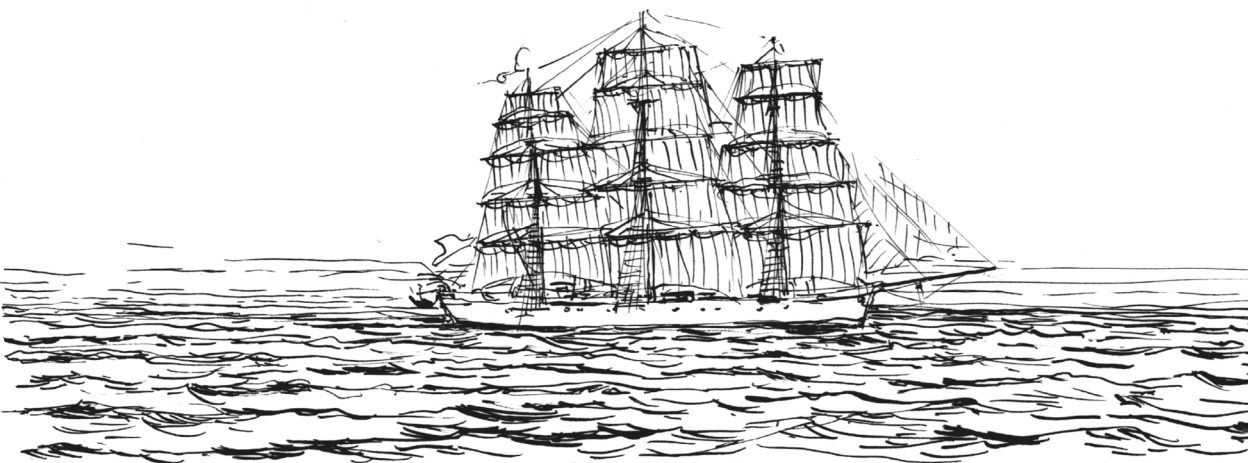
² T. Palmowski, *Europa Bałtycka. Od idei do rzeczywistości*, [w:] P. Krupiewski, T. Stegner (red.), *Morze nasze i nie nasze: zbiór studiów*, Gdańsk 2011, s. 563.

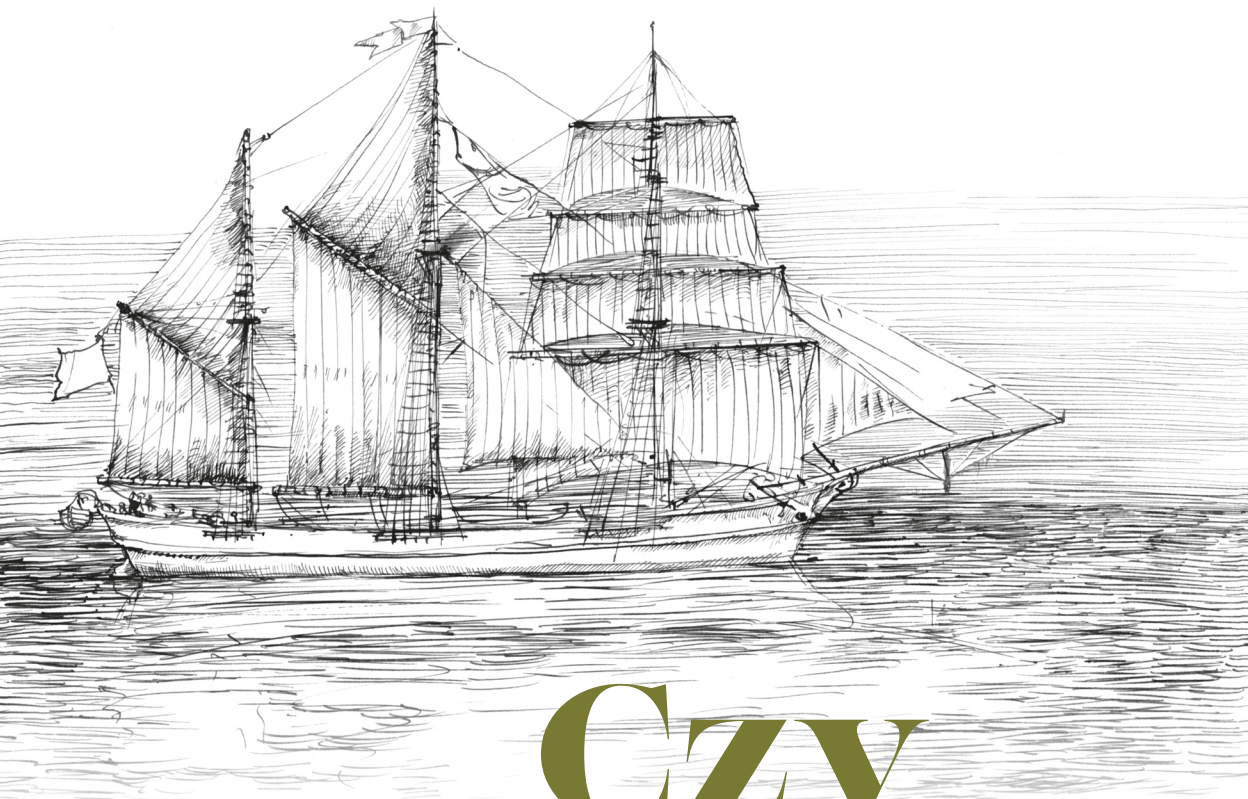
państwa nadbałtyckie, takie jak Estonia i Litwa, choć zastanowimy się też, na ile Białoruś jest państwem bałtyckim.

Jednym z ważnych tematów, które tu poruszymy, będzie znaczenie i miejsce Morza Bałtyckiego we współczesnej Europie i świecie. Europa Bałtycka jest miejscem, gdzie dawne tradycje współgrają z nowoczesnością i innowacjami. Zlokalizowane są tutaj piękne stare miasta, takie jak Gdańsk, Sztokholm, Tallinn czy Ryga, które przyciągają turystów z całego świata swoim urokiem i bogatym dziedzictwem kulturowym. Postaramy się nie tylko odkryć przed Czytelnikiem bogactwo i różnorodność państw i społeczeństw tego obszaru, ale także udowodnić, że ten niezwykły region jest nieodłączną częścią dzisiejszej Europy. Współcześnie Europa Bałtycka jest miejscem, w którym różnorodne kultury i narody się łączą, wymieniają doświadczeniami i współpracują, dążąc przy tym do budowy stabilnej, zjednoczonej i zrównoważonej przyszłości. Dlatego zastanowimy się również, czy istnieje jedna bałtycka tożsamość, a jeśli tak – to czym ona jest. Nie możemy też zapominać, że region ten należy postrzegać jako część większej przestrzeni geopolitycznej oraz że zagrożenia ze strony imperializmu rosyjskiego – widoczne w postaci wojny Rosji z Ukrainą – odczuwane są przez państwa skandynawskie, które wstępują do struktur NATO w celu wzmocnienia swojego bezpieczeństwa przed rosyjską agresją.

Publikacja przygotowana przez Instytut Europy Środkowej w Lublinie stara się przybliżyć tematykę bałtycką polskim Czytelnikom, dostarczając zarówno wiedzy, jak i inspiracji. Redaktorzy kierują słowa wdzięczności do dziennikarzy, publicystów, eseistów i analityków za zaangażowanie w przeprowadzenie inspirujących rozmów z bohaterami prezentowanej publikacji, czyli z rozmówcami pochodzącymi z państw Europy Bałtyckiej. Słowa wdzięczności należą się wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki w obecnym kształcie.

Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski
Lublin – Kraków, lipiec 2023





Czy „bałtyckość” istnieje?

Z Kazimierzem Musiałem, skandynawistą,
rozmawia Tomasz Stępniewski

Prof. Kazimierz Musiał – profesor Uniwersytetu Gdańskiego, zatrudniony jest w Instytucie Skandynawistyki i Fennistyki, gdzie kieruje Zespołem Badań Interdyscyplinarnych Europy Nordycko-Bałtyckiej i Arktyki. Przewodniczący sekcji badań Europy Północnej w Polskim Towarzystwa Studiów Międzynarodowych. Od 2020 roku kierownik projektu „Young People Network for Baltictness”, wspieranego przez Radę Państw Morza Bałtyckiego i promującego współpracę instytucjonalną, dialog i edukację o regionalizmie bałtyckim. Jego zainteresowania badawcze dotyczą tożsamości, rozwoju społecznego i polityki w regionie nordycko-bałtyckim oraz wspólnot epistemicznych i reżimów wiedzy w Europie Północnej.

Prof. Tomasz Stępniewski – zastępca dyrektora ds. badawczo-analitycznych Instytutu Europy Środkowej w Lublinie oraz profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie kieruje Katedrą Teorii Polityki i Studiów Wschodnich w Instytucie Nauk o Polityce i Administracji KUL.

Tomasz Stępniewski: W organizowanych przez Pana w ostatnich latach na Uniwersytecie Gdańskim szkołach letnich wybrzmiewa raz po raz słowo „Baltictness”. Z jednej strony nie znajdziemy wielu odniesień do bałtyckości w codziennej prasie, czy też w szeroko pojętej sferze medialnej. Z drugiej strony prowadzicie w ramach „Uniwersytetu Letniego Rady Państw Morza Bałtyckiego” warsztaty i seminaria o strategicznych narracjach bałtyckości. Czym zatem jest tożsamość bałtycka?

Kazimierz Musiał: Zanim możliwa będzie odpowiedź na pytanie o tożsamość bałtycką, warto zwrócić uwagę na samo zjawisko tożsamości w ogóle. Tożsamość powstaje w ciągłej interakcji z ludźmi, którzy są blisko nas, a także z osobami tworzącymi naszą grupę odniesienia. To poprzez interakcje z „innymi” uczymy się, kim jesteśmy, uczymy się, kim „inni” chcą, abyśmy byli, a także rozwijamy sposoby bycia „innym”, pozostając równocześnie osobą należącą do grupy. Tożsamość jest jednocześnie bardzo osobista i kulturowo osadzona w danym kolektywie szerszej społeczności. Podstawy czyjejs tożsamości indywidualnej zawarte są w historii życia, narracji, którą każda osoba konstruuje w swoim rozwoju, ale także w narracji „innych” o tej osobie: rodziców, rodzeństwa i osób znaczących. Co więcej, tożsamość jest również tożsamością grupową. Tworzy tożsamościową grupę: to „my” jest częścią jaźni, a „ja” jest – lub staje się w wyniku socjalizacji – częścią kolektywnego „my”. Opowiadanie historii życia i budowanie narracji indywidualnej oraz zbiorowej, stanowiącej podstawę tożsamości, polega na przypisywaniu znaczenia doświadczeniom. Czasem

oznacza to znajdowanie wyjaśnienia w przeszłości dla swej obecnej pozycji i umiejscowienia go w danej rzeczywistości społecznej, czasem zaś jest to stworzenie sobie wyjaśnienia dla planów i działań w przyszłości, w których indywidualnie lub zbiorowo wyobrażamy sobie własne sprawstwo. Stworzenie koherentnej narracji o indywidualnym „ja” i o kolektywnym „my” odgrywa zasadniczą rolę w umożliwieniu podmiotowi włączenia jego przeszłości do scenariusza obecnego życia i do planowania przyszłości.

Kiedy tego typu tożsamość skojarzymy z przestrzenią, za pomocą pewnych mniej lub bardziej racjonalnych lub dyscyplinarnych kryteriów wydzielimy z większej całości geograficznej. Do naszej indywidualnej lub zbiorowej tożsamości narracyjnej dodajemy przestrzeń fizyczną, w której elementami konstytuującymi naszą tożsamość stają się też ziemia, woda, rzeki i inne zjawiska naturalne. Nasza tożsamość zaczyna funkcjonować w odniesieniu do czegoś większego, czegoś, co fizycznie i namacalnie dotykamy, ale też czegoś, co dzięki życiowemu doświadczeniu, formalnej edukacji i obrazom medialnym z czasem zaczynamy internalizować i traktować jako naturalną przestrzeń wypełnioną emocjami i relacjami. Relacje te nie odnoszą się wtedy już tylko do ludzi, ale w znacznym stopniu odnoszą się do „nie-ludzkich” zjawisk naturalnych, czy też do materii nieożywionej, która również staje się znaczącym innym kształtującym naszą tożsamość. Przy definiowaniu tożsamości bałtyckiej w dużo większym stopniu dzisiaj – w epoce antropocenu – mamy do czynienia z owymi pozaludzkimi czynnikami, które przyczyniają się do wyznaczenia granic pomiędzy tym, co bałtyckie, a tym, co już bałtyckie nie jest.

Zacznijmy jednak od tych bardziej klasycznych kategorii i koncepcji stanowiących podstawy do mówienia o tożsamości bałtyckiej. Na gruncie polskim mamy z tym pewien problem terminologiczny, wynikający z naszego funkcjonowania w językowym obrazie świata, gdzie desygnat „bałtycki” odnosi się zarówno do obszarów wodnych (Morze Bałtyckie), jednostek państwowych (państwa bałtyckie, czyli Litwa, Łotwa i Estonia), przestrzeni regionalnej (region bałtycki, czyli państwa basenu Morza Bałtyckiego), czy kategorii administracyjnej, określanej jako Region Morza Bałtyckiego i obejmującej państwa basenu Morza Bałtyckiego, ale również do Norwegii i Islandii, funkcjonujących w ramach instytucji regionalnych, jak Rada Państw Morza Bałtyckiego (RPMB), lub ujętych jako interesariusze państwowi w Strategii Unii Europejskiej dla Regionu Morza Bałtyckiego (SUERMB).

Rzeczywiście, mamy cały wachlarz znaczeń do wyboru. Do czego zatem należy się odnosić, mówiąc o tożsamości bałtyckiej?

Będąc zwolennikiem narracyjnego spojrzenia na pamięć kulturową, którą konstruujemy w oparciu o językową reprezentację dziedzictwa materialnego, skłaniam się ku mówieniu o bałtyckości, czyli tożsamości bałtyckiej oraz tożsamości regionu bałtyckiego, w sposób niewykluczający żadnej z tych opcji. Pokazać natomiast chciałbym tendencję do wykorzystania różnych wymiarów tych kategorii w różnym czasie społecznym, czy

w różnych czasach geopolitycznych przełomów. Parafrazując duńskiego pastora i myśliciela XIX wieku, Nicolasa Frederika Severina Grundtviga, który twierdził, że do narodu należą ci, którzy sami się do niego zaliczają¹, twierdę, że do regionu bałtyckiego należałoby zaliczać tych, którzy się z nim identyfikują i dla których odwołanie się do bałtyckości konstytuuje część lub całość narracji, za pomocą której budują własną tożsamość. Dla tych osób mówienie o tożsamości bałtyckiej ma sens, gdyż ich indywidualne deklaracje o przynależności i identyfikacji ze wspólnotą bałtycką przekładają się na wykształcenie kolektywnego, bałtyckiego „my”. Narracje indywidualne i zbiorowe tych osób naturalizują bałtyckość, nadając jej jednocześnie konotacje afektywne, wyposażając w narzędzia ideopoznawcze i mechanizmy ideotwórcze.

Cóż to są za mechanizmy i jakie wytwarzają idee związane z bałtyckością?

Bałtyckość funkcjonująca jako pewna idea, jako wspólnota wyobrażona, jest zakorzeniona w historii ludzkich interakcji w tym obszarze Europy. Jedną z najbardziej nośnych idei to idea wspólnoty mającej ze sobą powiązania handlowe i interesy, które są niezależne od państwa narodowego. Idea wspólnoty opartej na stowarzyszeniu niezależnych kupców i silnych miast handlowych bywa bardziej wpływowa od państwa narodowego, gdy na potrzeby współczesnych rozważań o tożsamości chcemy uwypuklić

Bałtyckość funkcjonująca jako pewna idea, wspólnota wyobrażona, jest zakorzeniona w historii ludzkich interakcji w tym obszarze Europy. Jedną z najbardziej nośnych idei to idea wspólnoty mającej ze sobą powiązania handlowe i interesy, które są niezależne od państwa narodowego.

¹ W wierszu z 1848 roku: „Til et folk de alle høre, som sig regne selv dertil...”.

znaczenie powiązań gospodarczych. Idea Hanzy, czyli funkcjonującego w średniowieczu przez około trzysta lat związku kupieckiego w obszarze Morza Bałtyckiego, silnie przemawia do wyobraźni. Nic dziwnego, że po zakończeniu zimnej wojny, kiedy poszukiwano tego, co łączy państwa i narody zamieszkujące pobrzeża Bałtyku, podzielonego przez kilka dziesięcioleci żelazną kurtyną, idea Nowej Hanzy powróciła. Odnaleźć ją było można szczególnie we wczesnych latach dziewięćdziesiątych w scenariuszach rozwoju współpracy bałtyckiej lansowanych przez władze północnoniemieckiego landu, Szlezwika-Holsztynu. Ale były to idee padające na podatny grunt nie tylko w Niemczech. Do dzisiaj mamy do czynienia z instytucjami, jak Związek Miast Bałtyckich z sekretariatem w Gdańsku, który ideę tę aktywnie wciela w życie, organizując interesy miast leżących nad Bałtykiem. W wymiarze kulturowym uwagę przykuwają organizowane co roku w różnych miastach (będących niegdyś członkami Hanzy) dni hanzeatyckie. Natomiast wszystkich chcących poznać zasięg idei hanzeatyckiej wspólnotowości, również w wymiarze kulinarnym, należałoby zaprosić do świetnie naśladowującej dawne tradycje i kuchnię restauracji *Olde Hansa* na starym rynku w Tallinnie.

Zatem w inspirowanej Hanzą bałtyckości znajdują się i ludzkie interakcje, i wzajemnie korzystna wymiana handlowa, i powstała w ich efekcie strefa kontaktów kulturowych rozwijająca się w oparciu o wspólne interesy i mogąca stawić czoło wspólnym wyzwaniom. Ideę tę znajdziemy również w wydanej w 1977 roku pierwszej polskiej monografii naukowej wskazującej na potencjał handlu morskiego na Bałtyku i wynikający z niego rozwój gospodarczy Polski i całego obszaru bałtyckiego. Książka autorstwa Jerzego Zaleskiego i Czesława Wojewódki pt. *Europa Bałtycka. Zarys monografii gospodarczej* wymienia na wstępie cztery kwestie, które do dziś rezonują w debatach o bałtyckości i celach integracji regionalnej w tym obszarze Europy. Po pierwsze, pomimo istnienia odmiennych interesów politycznych poszczególnych państw (co szczególnie w okresie zimnej wojny mogło stanowić zarzewie konfliktów) dostrzegalna jest skłonność do pragmatycznego dialogu, konsultacji i zbliżenia stanowisk w imię idei wyższych. Po drugie, wskazuje się na dziedzinę ekonomiczną, w której gospodarki państw nadbałtyckich powinny się raczej uzupełniać niż konkurować. Trzecim elementem jest wzrastająca rola transportu morskiego, który niewątpliwie stale się rozwija i przyspiesza procesy zmian w logistyce i ujednolicaniu standardów. Po czwarte, kwestią ogromnej wagi już w la-

tach zimnej wojny, a w ostatnich dekadach podnoszoną często do rangi pierwszoplanowej, pozostaje problem ochrony zasobów żywych, monitoringu ekologicznego i zrównoważonego rozwoju.

To interesujące, że już w czasie zimnej wojny wytworzyła się świadomość pewnych wspólnych kwestii bałtyckich, a niektóre z nich do dzisiaj pozostają jednoczącymi wyzwaniem. Wspomniał Pan, że te kwestie do dziś rezonują w debatach o integracji regionalnej w obszarze bałtyckim. Czym to się przejawia? Czy mamy współcześnie jakieś programy albo fora międzynarodowe, które odnoszą się bezpośrednio do tych zagadnień i stawiają czoła tym wyzwaniom?

Obecnie istnieje wiele przykładów udanej współpracy w regionie bałtyckim. Jednym z nich jest powołana w 1992 roku z inicjatywy ministrów spraw zagranicznych Niemiec i Danii – Rada Państw Morza Bałtyckiego (RPMB), czyli Council of the Baltic Sea States (CBSS). Stanowi ona główne forum współpracy regionalnej, skupia nadbałtyckie i nordyckie państwa, organizacje społeczeństwa obywatelskiego i sektor prywatny w celu promowania stabilności, bezpieczeństwa, zrównoważonego rozwoju i dobrego rządzenia w regionie. W oparciu o priorytety poszczególnych państw członkowskich, proponowane w czasie rotacyjnego przewodnictwa Rady, realizuje także projekty w takich dziedzinach, jak: ochrona środowiska, edukacja, kultura, zdrowie publiczne i rozwój społeczno-gospodarczy.

Drugą organizacją wypełniającą treścią ideę bałtyckiej wspólnoty regionalnej jest Komisja Helsińska (HELCOM), która wciela w życie regionalny system zarządzania ochroną środowiska Morza Bałtyckiego. Zapoczątkowana w latach siedemdziesiątych, czyli w chwilowej zimnowojennej odwilży, organizacja obejmuje obecnie całościowe i zintegrowane zarządzanie działalnością człowieka w oparciu o aktualną wiedzę naukową dotyczącą ekosystemu i jego dynamiki. Zgodnie z przyjętym w 2007 roku Bałtyckim Planem Działania, HELCOM ma dokonywać identyfikacji zagrożeń i podejmować działania mające na celu utrzymanie zdrowego ekosystemu morskiego. Ma to zapewnić zrównoważone wykorzystanie dóbr tego ekosystemu przy jednoczesnym zachowaniu jego integralności.

Te dwie organizacje, współcześnie najbardziej chyba reprezentatywne dla integracji bałtyckiej, są jednymi z wielu struktur, które w ostatnich trzech dekadach uczyniły z obszaru bałtyckiego jeden z najbardziej zintegrowanych regionów w Europie. Mówiąc o rezonowaniu zaobserwowanych już w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku wyzwań i szans na inte-

Przewiduję, że będąca poza wspólnotą bałtycką Rosja stanie się również czynnikiem przyspieszającym współpracę pomiędzy pozostałymi państwami regionu. Państwa te, będąc jednocześnie członkami Unii Europejskiej i NATO, mogą jeszcze bardziej integrować swoją infrastrukturę i generować nową, wspólnotową narrację regionalną.

grację bałtycką, trzeba wspomnieć o przyjaznym środowisku międzynarodowym Unii Europejskiej, która ideę bałtyckiego regionalizmu nieustannie wspiera i promuje. W latach 1991-2004 ścieżka integracji bałtyckiej stała się dla Litwy, Łotwy i Estonii, a ponieważ także dla Polski, papierkiem lakmusowym testującym zdolność do współpracy transnarodowej. Po roku 2004 Bałtyk stał się prawie w całości morzem wewnętrznym Unii Europejskiej, a za szczególnie godny pochwały i uwagi element bałtyckości zaczęto uważać współpracę z Rosją. Obszary obwodów kaliningradzkiego i leningradzkiego oraz część obszarów północno-zachodniej

Rosji należą do zlewiska Morza Bałtyckiego i do roku 2022 za konieczny element bałtyckiego regionalizmu uważano współpracę z tym niełatwym, a obecnie wręcz wrogim państwem, mającym wpływ na stan bałtyckiego ekosystemu.

Rosji w regionie bałtyckim należałoby poświęcić chyba więcej uwagi, szczególnie w kontekście prowadzonej przez nią wojny w Ukrainie i zmieniającej się „architektury bezpieczeństwa” regionalnego.

Rzeczywiście, w roku 2022 po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę nastąpiła tu znaczna zmiana. Rosja została najpierw zawieszona, a potem sama zrezygnowała z członkostwa w Radzie Państw Morza Bałtyckiego. Pomimo wielu wspólnych inicjatyw, począwszy od wymiany młodzieży, a skończywszy na współpracy transgranicznej administracji regionalnych, organizacji pozarządowych i instytucji edukacyjnych, Rosja stała się ponownie znaczącym „innym”, wobec którego wspólnota bałtycka się definiuje, a nie z którym buduje wspólne strategie rozwoju i współpracy regionalnej w przyszłości. Nastąpiło to z winy Rosji, której agresywne działanie wzbudziło w państwach bałtyckich, ale także w państwach nordyckich, najgorsze obawy wobec nieprzewidywalnego i wrogiego autorytarnego reżimu.

Zanim jednak ten wątek rozwinę, omawiając być może właśnie kwestię odmiennego postrzegania bezpieczeństwa regionalnego w stosunku do

ostatnich trzech dekad, warto wspomnieć jeszcze o polityce regionalnej Unii Europejskiej. Jest to o tyle istotne, że od roku 2009 weszła w życie Strategia Unii Europejskiej dla Regionu Morza Bałtyckiego (SUEMB), która w znacznym stopniu zinstytucjonalizowała i nakreśliła ramy myślenia o kwestiach, które są priorytetowe dla bałtyckości w dłuższej perspektywie. Strategia opiera się na trzech głównych filarach tematycznych, którymi są: ochrona morza (*Save the Sea*), wzrost integracji regionu (*Connect the Region*) i wzrost dobrobytu (*Increase Prosperity*). Cele główne uzupełniają cele szczegółowe, które między innymi odnoszą się do czystej i bezpiecznej żeglugi, poprawy globalnej konkurencyjności regionu oraz adaptacji do zmian klimatu. Myślę, że w priorytetach strategii widać wyraźnie wspomniane przeze mnie wcześniej rezonowanie kwestii kluczowych dla bałtyckiego regionalizmu, czy też Europy Bałtyckiej, którą już w latach siedemdziesiątych można było znaleźć w monografii Jerzego Zaleskiego i Czesława Wojewódki.

Rosja stała się ponownie znaczącym „innym”, wobec którego wspólnota bałtycka się definiuje, a nie z kim buduje wspólne strategie rozwoju i współpracy regionalnej w przyszłości.

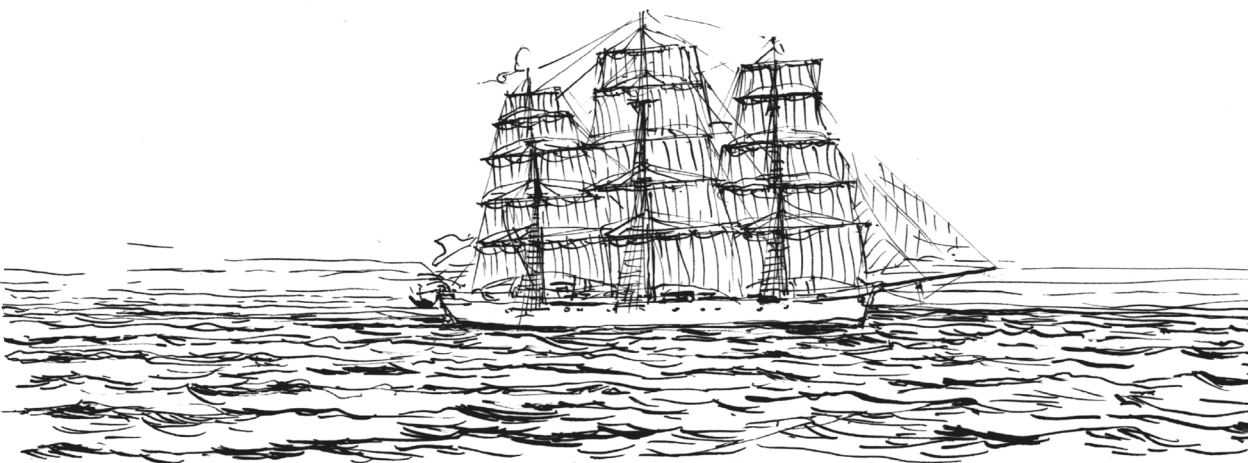
Wróćmy teraz do zmieniającej się kwestii pojmowania bezpieczeństwa regionalnego w obliczu rosyjskiej inwazji w Ukrainie. Czy następuje, Pana zdaniem, jakaś zasadnicza zmiana, która będzie miała wpływ na przyszłość bałtyckiego regionalizmu i bałtyckości?

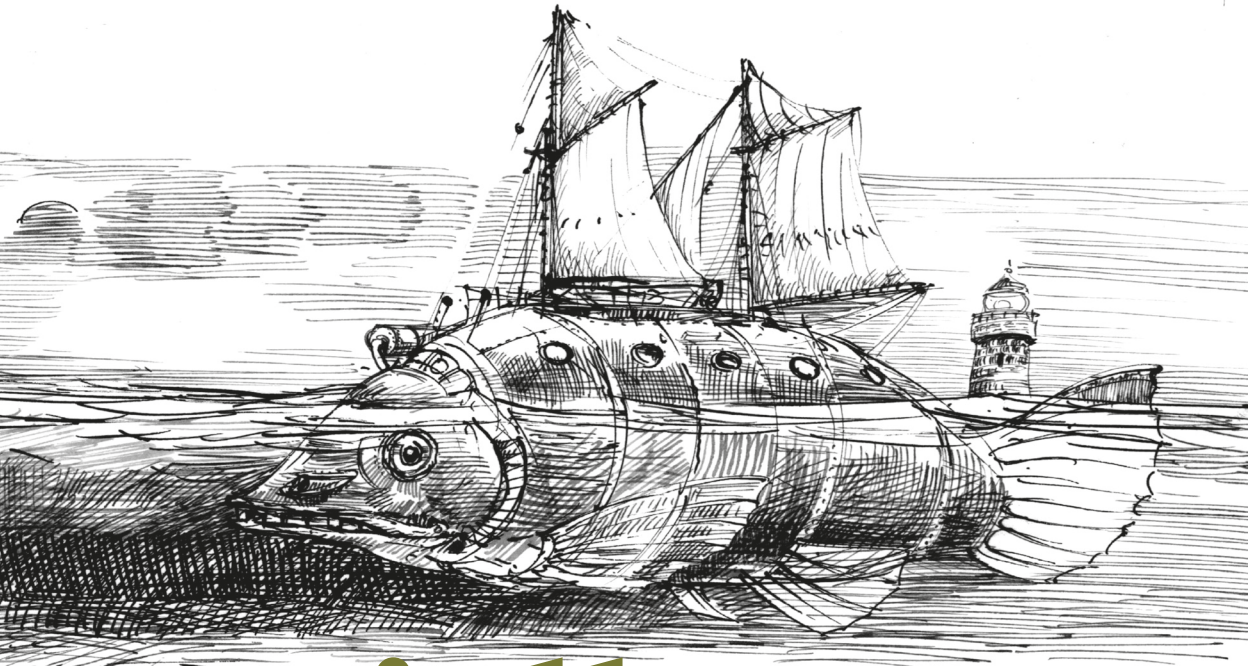
Mamy do czynienia z dość zasadniczą zmianą, szczególnie w sferze politycznej i w pojmowaniu bezpieczeństwa regionalnego. Rozważana na wstępie idea bałtyckości ma silne i oczywiste zakorzenienie w morzu i trudno wyobrazić sobie bałtyckość bez „morskości”, czyli dla wielu mieszkańców obszarów nadmorskich nie tylko wyobrażonego, ale indywidualnie i zbiorowo zinternalizowanego związku człowieka z morzem. Uważana za naturalną zależność od morza jako źródła biologicznego życia jest jednocześnie źródłem pomyślności gospodarczej i gwarantem bezpieczeństwa dzięki czerpaniu z jego zasobów. Bałtyk to zasób sprzyjający rozwojowi gospodarczemu subregionów i państw nad nim leżących, doskonale uzupełniający bezpieczeństwo żywnościowe i jakość życia. Do roku 2022 Rosja współtworzyła narracje o morskości i współpracy na różnych polach, jako podstawie „miękkiego bezpieczeństwa w regionie”. Narracja o bałtyckości

opierała się na założeniu, że tylko pogłębiona współzależność na różnych polach gwarantuje trwały rozwój i przełamanie uprzedzeń i historycznie uwarunkowanej nieufności.

Zwrot krytyczny nastąpił w momencie agresji Rosji na Ukrainę i spowodował zasadnicze oraz długotrwałe przesunięcie akcentów na „bezpieczeństwo twarde”, jako kwestię o zasadniczym znaczeniu dla przyszłości i trwałości bałtyckiego regionalizmu i współpracy. Z jednej strony mamy do czynienia z zawieszeniem wszelkiej współpracy z Moskwą na wszystkich możliwych polach, które do tej pory były elementami składowymi miękkiego bezpieczeństwa, z drugiej strony spotykamy się z dążeniem Szwecji i Finlandii do NATO, przez co znika ich wyjątkowy dotychczas status państw praktykujących politykę neutralności i niedopuszczających do włączania kwestii obronności i współpracy militarnej w bałtycką współpracę regionalną.

Od chwili wstąpienia do NATO Finlandii – i w niedalekiej perspektywie również Szwecji – nowa struktura bezpieczeństwa regionalnego, już bez udziału Rosji, obejmować będzie też zwiększoną koordynację i współpracę w dziedzinie obronności. Obawa przed nieobliczalną Rosją nie tylko przyspieszyła zmianę priorytetów regionalnych i zmieniła patrzenie na kwestię bezpieczeństwa regionalnego, ale też przyspieszyła zmiany w instytucjonalnej przynależności i identyfikacji dwóch ważnych i silnych gospodarczo oraz militarnie państwach nordyckich. Przewiduję, że będąca poza wspólnotą bałtycką Rosja stanie się również czynnikiem przyspieszającym współpracę pomiędzy pozostałymi państwami regionu. Państwa te, będąc jednocześnie członkami Unii Europejskiej i NATO, mogą jeszcze bardziej integrować swoją infrastrukturę i generować nową, wspólnotową narrację regionalną, która zwrócona będzie do wewnątrz i nie będzie oglądała się na swego wschodniego sąsiada.





Wielka strata. Czyli Rosja nad Bałtykiem

Z Miłozsem Jerominem Cordesem,
stypendystą na Uniwersytecie w Lund,
rozmawia Małgorzata Nocuń

Miłosz J. Cordes jest doktorem kulturoznawstwa. Pracuje jako konsultant w Duńskim Instytucie Studiów Międzynarodowych (DIIS), wykładowca w DIIS Study Abroad w Kopenhadze oraz główny analityk jednej z grup roboczych Warsaw Security Forum 2023. Spędził 9 lat w polskiej służbie dyplomatycznej, m.in. w Konsulacie Generalnym RP w Królewcu i w Stałym Przedstawicielstwie RP przy Unii Europejskiej w Brukseli. W latach 2022-2023 był badaczem podoktorskim na Uniwersytecie w Lund. Jego zainteresowania badawcze obejmują tożsamość, politykę pamięci i nacjonalizmy w Europie Środkowej i Wschodniej, bezpieczeństwo w regionie Morza Bałtyckiego oraz stosunki Zachód–Rosja. Opublikował liczne artykuły naukowe i publicystyczne w czasopismach międzynarodowych. Obecnie pracuje nad książką o polityce tożsamości w obwodzie królewieckim.

Małgorzata Nocuń jest dziennikarką „Tygodnika Powszechnego”, w latach 2004-2006 jego korespondentka na Ukrainie i Białorusi, redaktorką „Nowej Europy Wschodniej”. Autorka książek *Miłość to cała moja wina* i *Wczesne życie* oraz – wraz z Andrzejem Brzezieckim – książek *Białoruś. Kartofle i dzinsy*, *Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi*, *Armenia. Karawana śmierci*. W 2014 roku została wyróżniona w konkursie Amnesty International „Pióro Nadziei” za reportaż z Kaukazu Północnego. W 2019 roku ukazał się pod jej redakcją zbiór reportaży o Białorusi *Ojczyzna dobrej jakości*.

Małgorzata Nocuń: Finlandia i Szwecja zdecydowały się dołączyć do NATO po rosyjskiej agresji na Ukrainę.

Miłosz J. Cordes: Bezpośrednią przyczyną złożenia wniosków o członkostwo w NATO przez obydwa kraje była pełnoskalowa agresja Rosji na Ukrainę. Jednak było to zwieńczenie debaty trwającej trzy dekady, która aż do lutego 2022 roku nie znalazła wyrazu w konkretnej decyzji. Zarówno Finlandia, jak i Szwecja od zakończenia zimnej wojny siedziały okrakiem na barykadzie, korzystając z nieblokowego statusu w kwestiach obronnych. Mimo tej pozornej neutralności stopniowo i pragmatycznie zacieśniały swoją współpracę z NATO oraz w ramach europejskiej współpracy obronnej.

Jak zmiana polityki neutralności państw skandynawskich została przyjęta przez ich społeczeństwa?

Kompromis, który został wypracowany wśród elit politycznych niemal od razu po rosyjskiej agresji na Ukrainę, był wyrazem zrozumienia, że polityka „neutralności” nie może być kontynuowana, bo skala zagrożeń przetrasta możliwości obronne pojedynczych państw. Finlandia po rozpadzie

Związku Sowieckiego nie musiała zwracać dużej uwagi na to, co dzieje się w Moskwie. Fińscy decydenci uznali jednak, że utrzymywanie statusu nieblokowego nadal ma sens w ujęciu stricte dotyczącym bezpieczeństwa. Nie odnosiło się to do współpracy gospodarczej i politycznej – Finlandia przystąpiła razem ze Szwecją do Unii Europejskiej w 1995 roku. Nawiasem mówiąc, gdyby nie kryzys na tamtejszych rynkach nieruchomości i ten związany z załamaniem się fińskiego handlu ze Związkiem Sowieckim, zapewne wspomnianego rozszerzenia by nie było. Gdy chodzi o samą decyzję, to została przyjęta przez społeczeństwa nordyckie jako w pełni usprawiedliwiona, może poza skrajnymi, marginalnymi grupami politycznymi.

Jak procentowo przedstawia się poparcie dla członkostwa Szwecji i Finlandii w NATO, przed rosyjską agresją i po niej?

Przez wiele lat, również po 2014 roku, czyli po aneksji Krymu i rozpoczęciu wojny na Donbasie, poparcie w Finlandii wynosiło około 40 procent. Czasami odnotowywano lekką przewagę zwolenników członkostwa w NATO, czasami przeciwników. Z reguły przeważali przeciwnicy i to znajdowało wyraz w dość konserwatywnym podejściu większości fińskich partii politycznych do zmiany polityki bezpieczeństwa. Szwedzi byli pod tym względem jeszcze bardziej sceptyczni. Wstąpienie do Sojuszu Północnoatlantyckiego popierało zaledwie kilkanaście procent badanych. Już wydarzenia z 2014 roku doprowadziły do zmiany tego stanu rzeczy. Poparcie gwałtownie wzrosło po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji. W Finlandii w marcu 2022 roku osiągnęło 62 procent.

Czy Finlandia i Szwecja wzmocnią Sojusz? Jakimi siłami militarnymi dysponują?

Finlandia kontynuuje tradycję utrzymywania stosunkowo niewielkiej armii. Ale jednocześnie duża liczba obywateli ma przeszkolenie wojskowe i mogą zostać oni zmobilizowani w bardzo krótkim czasie, dodatkowo są bardzo dobrze wyszkoleni jak na poborowych. Zgodnie z fińską strategią regularna armia w momencie konfliktu zbrojnego może osiągnąć liczebność nawet do 250 tysięcy osób, czyli stosunkowo dużo, bo stanowi to około 5 procent całej populacji. Do tego dochodzi wysoki poziom obrony cywilnej, co ma swoje uwarunkowania historyczne: doświadczenia wojny zimowej (1939-1940) i wojny kontynuacyjnej (1941-1944) oraz zimnej wojny.

Szwedzkie siły zbrojne są mniej liczne, co wynika z innej strategii obronnej i mobilizacyjnej. W szwedzkiej armii służy na co dzień około 25 tysięcy żołnierzy. Szwedzi stawiają raczej na obronę cywilną i ogólne przeszkolenie obywateli, żeby w dość krótkim czasie móc zmobilizować poborowych, którzy byliby w stanie włączyć się do działań zbrojnych. To duża różnica wynikająca z tego, że Szwecja – w przeciwieństwie do Finlandii – nie graniczy z Rosją. Szwecja dostrzega istotne zagrożenia dla swojego bezpieczeństwa raczej w wymiarze lokalnym – w basenie Morza Bałtyckiego. Są one związane z naruszaniem szwedzkiej przestrzeni powietrznej czy wód terytorialnych, do czego doszło w ciągu ostatnich miesięcy kilkanaście razy w okolicach Gotlandii. Ta wyspa ma strategiczne znaczenie, ponieważ jest położona mniej więcej na środku Morza Bałtyckiego.

Pozycja strategiczna Rosji w basenie Morza Bałtyckiego uległa pogorszeniu. Teraz to niemal wyłącznie wewnętrzny basen nie tylko Unii Europejskiej, ale i NATO.

NATO zapewne już opracowało plany militarne przyjscia z pomocą państwom skandynawskim na wypadek rosyjskiej agresji?

Współpraca Finlandii i Szwecji z NATO rozwijała się już wcześniej i miała bardzo pragmatyczny charakter, chociaż nie wiązała się z żadnymi obietnicami ani przygotowaniem do członkostwa. Obydwa państwa dołączyły do Partnerstwa dla Pokoju w 1994 roku. Dwadzieścia lat później zyskały status Enhanced Opportunities Partnership (EOP). Priorytety obydwu armii i ich wyposażenie są kompatybilne ze standardami NATO. Dlatego rozszerzenie NATO o Finlandię i Szwecję było formalnością, wynikało z decyzji politycznej, a nie z procesu zbliżania technologicznego. Od wielu lat miała miejsce współpraca i odbywały się ćwiczenia, które w odniesieniu do NATO w Finlandii i Szwecji w zakresie ogólnych strategii NATO zawsze były uwzględniane przez decydentów politycznych i dowództwo sił zbrojnych obu krajów. Jeżeli chodzi o plany, to najpierw należy przezwyciężyć niewielki kryzys polityczny, który powstał wokół członkostwa Szwecji w NATO. Wówczas zostaną zainicjowane działania, które będą zmierzały do uznania jej za pełnoprawnego członka Sojuszu. Status EOP oznacza, że dane państwo wnosi wkład w działania NATO. Ten wkład w przypadku Szwecji i Finlandii ma konkretny wymiar w basenie Morza Bałtyckiego.

Rozszerzenie NATO na północ wpłynie zapewne na bezpieczeństwo Litwy, Łotwy i Estonii?

Na skutek agresji rosyjskiej na Ukrainę w lutym 2022 roku wszystkie państwa nordyckie, w tym Norwegia i Dania, zdały sobie sprawę, że ich pierwszą linią obrony i gwarantem bezpieczeństwa w basenie Morza Bałtyckiego są właśnie Estonia, Litwa i Łotwa. Dlatego wszystkie państwa nordyckie są zainteresowane tym, aby wzmocnić komponent odstraszający w ramach zarówno NATO, jak i współpracy obronnej Unii Europejskiej. Większość decydentów politycznych i wojskowych zdaje się uważać, że nie dojdzie do frontального ataku na państwa bałtyckie ze strony Moskwy. Gdyby tak się stało, byłby to atak na całe NATO, co zmusiłoby Sojusz do adekwatnej odpowiedzi. Rosja w związku ze stratami, jakie ponosi w Ukrainie, obecnie nie jest w stanie przeprowadzić takiego ataku i liczyć na powodzenie. Nawet gdyby zaistniała krótkotrwała konfrontacja i w związku z ogromną przewagą liczebną wojsk rosyjskich doszłoby do zajęcia państw bałtyckich, to odpowiedź NATO i państw nordyckich byłaby miazdząca dla Moskwy. Przekonanie o istnieniu minimum zdrowego rozsądku wśród decydentów na Kremlu jest silnie obecne w myśleniu nordyckich elit politycznych.

Gdyby konflikt w Ukrainie zakończył się zawieszeniem broni, a Rosja odzyskała część swoich sił, to czy istniałaby szansa na połączenie sił Finlandii i Szwecji, żeby zaangażować się nie tylko w obronę, ale również w patrolowanie przestrzeni powietrznej nad Litwą czy Estonią?

Takie patrolowanie jest wykonywane w ramach NATO, więc chodziłoby raczej o rotacyjną obecność innych członków Sojuszu i wykonywanie misji być może z większą intensywnością niż obecnie przez wszystkie państwa członkowskie. Na pewno pod względem politycznym państwa nordyckie znajdowałyby się w awangardzie takiego rozwiązania. Wynika to ze zmiany istniejącego od dekad przekonania, że Rosja może być racjonalnym partnerem, który będzie pozytywnie reagował na sygnały o braku woli państw regionu do zaostrzania sytuacji. Wobec tego decyzja o zwiększeniu obecności komponentu lotniczego państw nordyckich w obliczu zagrożenia państw bałtyckich nie byłaby postrzegana jako drażnienie Rosji, ale jako adekwatna odpowiedź na rzeczywiste zagrożenie.

Finlandia i Szwecja zapewne wspierają Ukrainę w jej walce z Rosją?

Tak, wspierają. Nie są to tylko działania, które rozpoczęły się w lutym 2022 roku czy w związku z informacjami o przygotowaniach Rosji do agresji, pochodzącymi głównie ze źródeł amerykańskich. Dla Finlandii, Szwecji czy Danii Ukraina była państwem priorytetowym, jeśli chodzi o realizację programów dotyczących współpracy rozwojowej, wspierania demokracji i walki z korupcją. Państwa nordyckie, poświęcające dużo uwagi kwestiom praw człowieka, demokracji, przejrzystości, były zainteresowane realizacją przez Ukrainę umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Ta pomoc wzrosła w zdecydowany sposób po 24 lutego 2022 roku. W przypadku Szwecji osiągnęła około 1,5 miliarda euro (komponent militarny), 150 milionów euro pomocy humanitarnej oraz 100 milionów euro bezpośredniej pomocy finansowej. Szwedzi zaangażowali się również w programy przeznaczone dla określonych grup ludności ukraińskiej, na przykład naukowców, umożliwiając im kontynuowanie pracy w Szwecji. Fundują stypendia, uczestniczą w programach unijnych, na przykład część grantów w programie imienia Marie Skłodowskiej-Curie jest przeznaczona tylko dla obywateli ukraińskich (MSCA4Ukraine). Szwedzi kontynuują też wsparcie dotyczące reform, walki z korupcją czy wolności mediów. Łączna pomoc wynosi około 2 miliardów euro.

W przypadku Finlandii wsparcie również ma głównie charakter wojskowy i osiągnęło około miliarda euro. Do tego dochodzą inne formy pomocy: humanitarna dotycząca uchodźców ukraińskich czy osób wewnętrznie przesiedlonych. To daje łącznie kwotę około 200 milionów euro.

Jak Szwedzi patrzą na inicjatywę Partnerstwa Wschodniego? Czy nie odczuwają potrzeby nowego otwarcia tego programu bądź jego zakończenia ze względu na wyczerpanie dotychczasowej formuły?

Nie jestem pewien, czy Partnerstwo Wschodnie ma się ku końcowi. Wydaje mi się, że wypełniło swoją rolę tam, gdzie było to możliwe. Dało impuls do zmian, demokracji, było także sygnałem, że Unia Europejska jest zainteresowana pogłębioną współpracą z określonymi państwami

Cechą społeczeństw nordyckich jest to, że z reguły nie interesują się polityką zagraniczną. Widać to w badaniach prowadzonych przez Eurostat. Gdy pojawiają się pytania związane z kwestiami o kluczowym znaczeniu, w oczach Nordyków na pierwszy plan wysuwają się kwestie klimatyczne, inflacja czy jakość życia.

posowieckimi. Od początku istnienia Partnerstwa Wschodniego mapa polityczna i demokratyczna Europy Wschodniej bardzo się zmieniła. Mamy wyraźne aspiracje zachodnie społeczeństwa ukraińskiego, silnie wyrażone podczas Euromajdanu i w kolejnych latach, co kraj okupił

Wydarzenia z 2014 roku doprowadziły do otwarcia się Finów na NATO. Natomiast poparcie członkostwa w Sojuszu wzrosło po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji. W marcu 2022 roku osiągnęło 62 procent.

ogromnymi stratami: aneksją Krymu, wojną na Donbasie, a obecnie wojną na pełną skalę. Dzięki Partnerstwu Wschodniemu Ukraina podpisała umowę stowarzyszeniową, w tym o pogłębionej strefie wolnego handlu i liberalizacji wizowej. Bruksela wysłała ponadto wyraźny sygnał, że podstawą dalszego zaangażowania Unii Europejskiej jest kontynuacja reform, co w przyszłości może wieść do pełnego członkostwa państw partnerskich.

Podobnie można powiedzieć o Mołdawii, która znika trochę z naszego pola widzenia ze względu na wydarzenia w Ukrainie. Należy o niej pamiętać, biorąc pod uwagę jej położenie i wysiłek, jaki to społeczeństwo wykonało na drodze ku głębokiej reformie życia politycznego i gospodarczego w tym państwie. Kraj cały czas mierzy się przy tym z poważnymi problemami: migracją i nierozwiązanym konfliktem naddniestrzańskim.

Cechą społeczeństw nordyckich jest to, że z reguły nie interesują się polityką zagraniczną. Widać to w badaniach prowadzonych przez Eurostat. Gdy pojawiają się pytania związane z kwestiami o kluczowym znaczeniu, w oczach Nordyków na pierwszy plan wysuwają się kwestie klimatyczne, inflacja czy jakość życia. Gdyby nie trwała wojna w Ukrainie, podejrzewam, że kwestie dotyczące stosunków międzynarodowych znajdowałyby się daleko na liście priorytetów Duńczyków czy Szwedów. Dowodem jest to, że Finlandia i Szwecja zdecydowały się wejść do NATO dopiero teraz, w obliczu rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Do Unii Europejskiej dołączyły dopiero w 1995 roku, po zakończeniu zimnej wojny, polityki bipolarnej i w obliczu olbrzymiego kryzysu gospodarczego lat osiemdziesiątych. Dania natomiast po trzydziestu latach zrezygnowała z klauzuli wyłączeniowej dotyczącej udziału w unijnej współpracy obronnej.

Jak więc wytłumaczyć, że jednym z inicjatorów Partnerstwa Wschodniego w 2008 roku była Szwecja?

Stało się tak z kilku powodów. Po pierwsze ważny jest Carl Bildt. To nietuzinkowa postać, o dużych ambicjach politycznych, niebojąca się zgłaszać propozycji i ich realizować. Druga kwestia dotyczy tego, że państwa nordyckie mają swoje priorytety i różnią się podejściem do wielu zagadnień, między innymi polityki migracyjnej. Dla Szwecji zawsze bardzo ważna była kwestia praw człowieka, wolności, równości, demokracji, swobody wypowiedzi. W związku z tym Partnerstwo Wschodnie cieszyło się dużą popularnością przynajmniej wśród części tamtejszych polityków. Umożliwiało działanie w innych państwach w zgodzie z wartościami, które dominują w Szwecji od kilku już dekad.

To znaczy, że Partnerstwo Wschodnie nie pozostaje obecnie w obrębie zainteresowania szwedzkich polityków?

Inicjatywa nie jest obecnie czołowym punktem w agendzie, bo nie ma ku temu odpowiedniego momentu. Mierzymy się z poważnym wyzwaniem: agresją Rosji na Ukrainę, z tym, że toczy się wojna konwencjonalna, której Europa nie doświadczyła od 1945 roku. A co będzie dalej? Jestem przekonany, że Szwecja i inne państwa nordyckie powrócą do tej dyskusji, gdy nastanie pokój.

Dlaczego Turcja wycofała swój sprzeciw wobec członkostwa Finlandii w NATO, a wobec Szwecji nie zmieniła zdania?

Aby to zrozumieć, musimy poświęcić nieco uwagi odrębnym politykom migracyjnym Szwecji i Finlandii. Szwecja prezentowała liberalne podejście, które spowodowało, że napłynęła do niej duża liczba ludności pochodzenia kurdyjskiego. Kurdowie i Szwedzi kurdyjskiego pochodzenia to około 1-1,5 procent ludności Szwecji, co stanowi 100-150 tysięcy osób. Są to osoby dość dobrze zintegrowane i aktywne politycznie. Nowe pokolenie szwedzkich Kurdów, w odróżnieniu od swoich rodziców, nie wykonuje tylko podstawowych, słabo płatnych prac. Jest też bardzo aktywne politycznie. W szwedzkim parlamencie zasiada sześcioro deputowanych pochodzenia kurdyjskiego. To może wydawać się niewiele, ale jak na dużą liczbę mniejszości etnicznych, kulturowych i wyznaniowych w Szwecji jest to sporo – i jak na parlament liczący 394 członków.

Turcja uważa, że Szwecja wspiera kurdyjskich terrorystów, działających w Turcji i Syrii. Mimo tego, że Szwedzi podkreślają, że uznają Partię Pracujących Kurdystanu za organizację terrorystyczną od prawie czterech

dekad, Ankara dość sceptycznie zapatruje się na szeroki zakres wolności, jaki Szwecja oferuje osobom pochodzenia kurdyjskiego. Część tych działaczy jest sceptyczna wobec Turcji, mocno krytykuje Ankarę oraz samego Recepta Tayyipa Erdoğan. Ankara zarzuca im aktywność w północnej Syrii. Ten temat jest dla Turcji bardzo ważny. W grę wchodzi też kalendarz polityczny w samej Turcji – dopiero co odbyły się wybory prezydenckie, które przyniosły zwycięstwo Erdoğanowi, jednak rywalizacja była bardzo zacięta. To, co dzieje się w odniesieniu do kwestii kurdyjskiej, przekłada się na agendę polityczną w Turcji i miało wpływ na walkę o wyborców.

Co Szwecja musiałby zrobić, żeby Ankara wycofała swoje veto? Czy USA będą jakoś naciskać na Turcję, żeby zmieniła zdanie w sprawie Szwecji?

To kwestia czasu i targów politycznych, w których ważną rolę odgrywa Waszyngton. Te naciski będą trwały. Sądzę, że podstawowym elementem będą zakulisowe ustalenia pomiędzy władzami tureckimi a szwedzkimi, może z udziałem Waszyngtonu, ale nie Brukseli. Nie można wykluczyć też tego, że Erdoğan po niedawnym zwycięstwie wyborczym będzie gotowy na złagodzenie swojego stanowiska, rzecz jasna nadal oczekując ustępstw po stronie szwedzkiej.

Czy między Finlandią a Szwecją nie doszło do nieporozumień z powodu tego, że ich wejście do NATO zostało rozdzielone na skutek tureckiego veta?

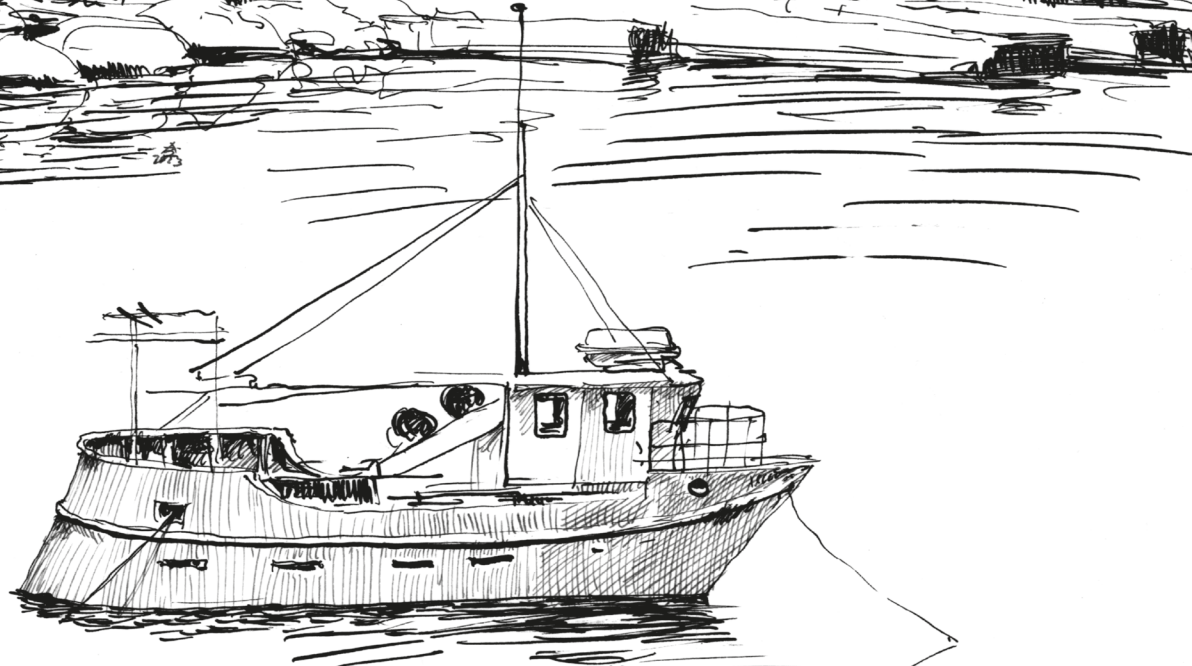
Nie sądzę, dlatego że sama logika rozszerzenia NATO o te dwa państwa od zawsze była oparta na niepisanym konsensie, że to Finlandia najpierw musi podjąć decyzję o przystąpieniu do NATO. Jeżeli Finlandia taką decyzję podejmie, Szwecja do niej dołączy. Wejście Finlandii do NATO jako pierwszej wpisuje się w tę logikę. Szwecja bardzo intensywnie współpracuje w kwestiach obronnych z Finlandią i z NATO, a po drugie jest to tylko decyzja polityczna, niemająca żadnego związku z kompatybilnością wojsk szwedzkich z wojskami NATO. Pomimo tego, że działania Ankary (a być może także Budapesztu) opóźnią cały proces, to wciąż możemy mówić o Szwecji jako o członku NATO w niedalekiej przyszłości.

Jaka była reakcja Rosji na rozszerzenie NATO na północ?

Federacja Rosyjska zareagowała bardzo nerwowo, głównie dlatego, że Moskwa przyzwyczała się, iż Finowie to jedno z tych społeczeństw zachodnich, które bierze pod uwagę jej zdanie. W obecnej sytuacji Rosja uzyskuje

ponad 1000 km granicy z NATO. To pole potencjalnej konfrontacji. Codziennie stały się komentarze medialne kremlowskich harcówników, aby ukarać państwa, które zdecydowały się przystąpić do NATO.

Podstawowym wyzwaniem dla Rosji jest to, co aktualnie dzieje się w Ukrainie. Rozszerzenie NATO o Finlandię i Szwecję oraz uzyskanie dodatkowych kilometrów granicy z Sojuszem są wyzwaniami długoterminowymi. Pozycja strategiczna Rosji w basenie Morza Bałtyckiego uległa pogorszeniu. Teraz to niemal wyłącznie wewnętrzny basen nie tylko Unii Europejskiej, ale i NATO. Trzy rosyjskie podmioty, które położone są nad Morzem Bałtyckim: Petersburg oraz obwody królewiecki i leningradzki znajdują się w coraz trudniejszej sytuacji. To powoduje pojawienie się szeregu wyzwań dla kremlowskich strategów. Z punktu widzenia Moskwy członkostwo Finlandii w NATO nie wpływa bezpośrednio na położenie obwodu kaliningradzkiego, ale zwiększa jego rolę jako obszaru o destruktywnym potencjale dla stabilności i bezpieczeństwa w regionie bałtyckim. Zmiany na mapie sojuszy muszą być wzięte pod uwagę w całości rosyjskiego myślenia o Morzu Bałtyckim.



Litwa. Europa Środkowo-Wschodnia, nie Północna

Z Alvydasem Nikžentaitisem,
historykiem, dyrektorem Instytutu Historii Litwy,
rozmawia Antoni Radczenko

Alvydas Nikžentaitis jest historykiem, dyrektorem Instytutu Historii Litwy oraz przewodniczącym Forum Dialogu i Współpracy im. Jerzego Giedroycia. Ukończył Uniwersytet Wileński. W latach 1992-1991 był pierwszym dyrektorem Instytutu Historii i Archeologii Regionu Bałtyckiego. Badania naukowe w zakresie: stosunki Wielkiego Księstwa Litewskiego z zakonem krzyżackim, historia relacji zarówno litewsko-niemieckich, jak i litewsko-polskich, historia stereotypów politycznych i narodowych od średniowiecza do wieku XX.

Antoni Radczenko jest litewskim dziennikarzem i działaczem polskiej mniejszości na Litwie. Był redaktorem naczelnym polskojęzycznej wersji portalu Delfi.lt, w latach 2020-2021 prezesem Polskiego Klubu Dyskusyjnego. Obecnie współpracuje z „Kurierem Wileńskim” i litewskim publicznym nadawcą LRT. Współpracował z miesięcznikiem „Nowa Europa Wschodnia”.

Antoni Radczenko: Jaka jest rola Litwy, jeśli chodzi o perspektywę historyczną w regionie bałtyckim? Z jednej strony niewątpliwie była i jest krajem regionu, z drugiej – mówiąc o czasach Wielkiego Księstwa Litewskiego – praktycznie nie miała dostępu do Morza Bałtyckiego.

Alvydas Nikžentaitis: Obecnie Litwa i Polska niewątpliwie należą do regionu bałtyckiego. Nie chodzi tylko o przynależność geograficzną, ale również o współpracę regionalną, która odbywa się na różnych poziomach i w różnych formatach. Nie zawsze tak było. Bezpośrednie związki Litwinów czy mieszkańców terytoriów, do których aspirowała Litwa, z Morzem Bałtyckim zakończyły się XIII wieku, kiedy przybył tutaj zakon krzyżacki. Zakon faktycznie odciął Wielkie Księstwo Litewskie od dostępu do morza. Wyjątek stanowił nieduży odcinek w okolicach Połangi, który nie miał i nie mógł mieć większego znaczenia strategicznego. Mówiąc o kształcie Wielkiego Księstwa Litewskiego, trzeba pamiętać, że autonomię posiadały nie tylko przyłączone księstwa ruskie, ale również Żmudź, co jeszcze bardziej oddalało Litwę od Morza Bałtyckiego. Są hipotezy dotyczące Witolda Wielkiego, że poniekąd nigdy nie widział Morza Bałtyckiego. Faktycznie do XX wieku interakcje Litwinów z Morzem Bałtyckim były minimalne. Jeżeli chcielibyśmy w jakiś sposób zakwalifikować Wielkie Księstwo Litewskie, to musielibyśmy je uplasować wśród krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Faktycznie stało się krajem Morza Bałtyckiego po przyłączeniu kraju kłajpedzkiego w 1923 roku.

Mimo że Wielkie Księstwo Litewskie nie miało dostępu do Morza Bałtyckiego, to jednak relacje z krajami regionu były dosyć intensywne. Na przykład w XVI-XVIII wieku prowadzono ciągłe wojny ze Szwecją.

Nie można sprowadzić ówczesnych relacji ze Szwecją tylko do wojen. Ważnym elementem w obustronnych zależnościach był aspekt dynastyczny. Trzeba też pamiętać, że po utracie Gdańska w XIV wieku na rzecz Krzyżaków, Polska do drugiej połowy XV wieku również nie miała żadnych powiązań z Morzem Bałtyckim. Tym niemniej kontakty Wielkiego Księstwa lub później Rzeczypospolitej Obojga Narodów ze Szwecją lub innymi krajami Morza Bałtyckiego istniały. Były to jednak relacje krajów należących do dwóch odrębnych regionów.

Jak ułożyły się stosunki z krajami Morza Bałtyckiego po przyłączeniu Kłajpedy i kraju kłajpedzkiego do Litwy? Wiemy, że na przykład Estonia w okresie międzywojennym utrzymywała ścisłe kontakty z Finlandią.

W okresie międzywojennym na Litwie istniały różne koncepcje dotyczące sojuszków z państwami regionu. Często były to bardziej mrzonki niż realne rozwiązania. Te plany trochę przypominały idee Piłsudskiego o międzymorzu. W 1918 roku wśród litewskich działaczy toczyły się rozmowy o powołaniu sojuszu składającego się z państw bałtyckich oraz Finlandii. Idee te nie zostały zrealizowane. Przyłączenie kraju kłajpedzkiego miało jednak ogromne znaczenie, stanowiło milowy krok w stronę przekształcenia Litwy w państwo morskie. W Rzeszy Niemieckiej Kłajpeda, jako port, odgrywała rolę drugorzędną lub nawet trzeciorzędną. Po przyłączeniu do Litwy miasto zaczęło bardzo intensywnie się rozwijać. Inwestowano w port. W dużym stopniu wynikało to z faktu, że w okresie między dwoma wojnami popularna była idea, zgodnie z którą suwerenne państwo nie może istnieć bez dostępu do morza. Dla władz Litwy kwestie związane z handlem morskim lub w ogóle wykorzystania dostępu do morza na różnych płaszczyznach były priorytetowe.

Wspomniał Pan, że Wielkie Księstwo Litewskie trzeba zaliczyć do Europy Środkowo-Wschodniej. Teraz Litwa oficjalnie należy do Europy Północnej, co jest zawsze podkreślane. Czy faktycznie w ciągu ponad trzydziestu lat niepodległości Litwa odnalazła się w Europie Północnej?

Politycy często przydzielają konkretne kraje do konkretnych regionów. Często łączy się to z aktualną koniunkturą polityczną. Pozycjonowa-

nie Litwy jako państwa Europy Północnej wynikało przez dłuższy czas z chęci pokazania, że istnieją alternatywy dla relacji polsko-litewskich w regionie. Kiedy spojrzymy na związki historyczne, które powstały nie w ciągu kilkudziesięciu lat, tylko na przestrzeni wieków, to zobaczymy, że spośród krajów bałtyckich bez żadnego „ale” do Europy Północnej można zaliczyć jedynie Estonię. Na Łotwie istnieje potężny problem tożsamościowy. Ten kraj do tej pory nie może

określić, do jakiego regionu chce należeć. Ciągle miota się między Europą Północną a Europą Środkowo-Wschodnią. Odpowiedniego rozwiązania nie widzę. Natomiast Litwa pod względem politycznym, ekonomicznym czy zwyczajnie ludzkim jest typowym krajem Europy Środkowo-Wschodniej. Ścisłej mówiąc, zaliczyłbym ją do państw Europy Środkowej. Historyczne związki z Polską, Białorusią czy Ukrainą są bardzo silne i do dzisiaj mają tam znaczenie. Łotysze na Litwie, ze względu na podobieństwa językowe, są nazywani „braćmi”. Ten termin nie ma jednak żadnego odzwierciedlenia w rzeczywistości. Realnie Litwa i Łotwa są bardziej konkurentami w regionie niż partnerami.

Jeżeli chcemy w jakiś sposób zakwalifikować Wielkie Księstwo Litewskie, to musimy je uplasować wśród krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Faktycznie stało się krajem Morza Bałtyckiego po przyłączeniu kraju kłajpedzkiego w 1923 roku.

Z podobną sytuacją mieliśmy do czynienia również w okresie międzywojennym. Z jednej strony pewne marzenia, nawet o wspólnym państwie, z drugiej brak konkretnych działań w rzeczywistości.

Pewne pomysły udało się zrealizować. W latach trzydziestych powstała Ententa Bałtycka łącząca Litwę, Łotwę i Estonię. Tylko trzeba pamiętać, że ten sojusz zaistniał w dużym stopniu z inspiracji Związku Sowieckiego. Działania Moskwy nie były przypadkowe. Ententa Bałtycka powstała w roku 1934, to był czas, kiedy teoretycznie pojawiła się możliwość kompromisu w konflikcie pomiędzy Litwą a Polską. To nie podobało się Rosji sowieckiej, która praktycznie pchała Litwę do zawarcia sojuszu z dwoma pozostałymi krajami bałtyckimi. Fakt powołania tej Ententy Moskwa wykorzystała w 1940 roku, traktując sojusz jako nieprzyjazny gest w nią wymierzony, co przyczyniło się do okupacji trzech krajów. Ten fakt dobrze uwidacznia dwulicowość rosyjskiej polityki zagranicznej. Warto też zaznaczyć, że skuteczność zawartego paktu była mocno ograniczona. Pro-

blem polegał na tym, że Łotwa i Estonia, które nie były żadnymi potęgami militarnymi, deklarowały, że jeśli dojdzie do konfliktu zbrojnego Litwy z Polską, to nie będą w nim uczestniczyły. Dlatego Ententa Bałtycka była sojuszem raczej deklaratywnym.

| W takim razie przeciw komu lub czemu była skierowana?

Wszystkie państwa, które leżały między Rosją a Niemcami, w okresie międzywojennym czuły się niepewnie. Ich myślenie oscylowało wokół wzmocnienia własnego bezpieczeństwa. Sądzono, że trzeba stworzyć szeroką koalicję, która będzie w stanie przeciwstawić się Rosji i Niemcom. Podobny plan miał Józef Piłsudski. Niestety nie zrealizowano tych koncepcji. Co prawda niepokój i strach przed dwoma potężnymi sąsiadami sprawiał, że próbowano szukać porozumienia i adekwatnego rozwiązania, ale ówczesne realia polityczne były takie, a nie inne, dlatego wszelkie wyżej wymienione plany się nie powiodły.

| Dlaczego nie próbowano wciągnąć do Ententy Bałtyckiej Finlandii? Jak pokazała wojna zimowa z przełomu lat 1939-1940, to był jedyny kraj, który faktycznie posiadał odpowiedni potencjał wojskowy.

Zawsze warto spojrzeć na sprawę z punktu widzenia interesów innych państw. Nigdy szczególnie nie wgłębiałem się w ten aspekt, natomiast logika mi podpowiada, że dla Finlandii sojusz z Estonią, Łotwą i Litwą, które były znacznie słabsze od niej oraz skonfliktowane z sąsiadami, nie dawał praktycznie nic w kwestiach bezpieczeństwa. Mógłby natomiast przysporzyć dodatkowych problemów. Pokazała to okupacja krajów bałtyckich przez ZSRS w 1940 roku. Ich potencjał militarny okazał się na tyle słaby,

że nie potrafiły przeciwstawić się zewnętrznej agresji. Powracając do słabości Ententy Bałtyckiej, warto podkreślić, że po 1918 roku Litwa, Łotwa i Estonia chciały stworzyć niepodległe i samodzielne państwa. Żadna federacja lub konfederacja nie była brana pod uwagę. Ważną rolę w tym podejściu odegrał egoizm narodowy, który był w tamtym czasie jak najbardziej zrozumiały. Ten czynnik spowodował, że nikt nie chciał zawierać bardziej

Litwa pod względem politycznym, ekonomicznym czy zwyczajnie ludzkim jest typowym krajem Europy Środkowo-Wschodniej. Historyczne związki z Polską, Białorusią czy Ukrainą są bardzo silne i do dzisiaj mają tam znaczenie.

ściślych sojuszy, gdzie ktoś byłby zależny od kogoś. Wszyscy próbowali znaleźć wyjście z sytuacji samodzielnie.

Rozpoczyna się okupacja sowiecka. Litwa, Łotwa i Estonia stają się częścią ZSRS. Tym niemniej wydaje się, że ich status był inny od pozostałych republik związkowych. To w czasach sowieckich powstał termin „Priłtaika”, który później transformował się w termin „kraje bałtyckie”.

Nie zgadzam się, że kraje bałtyckie miały jakiś odrębny status polityczny lub administracyjny. Termin „Priłtaika” pojawił się naturalnie. Nie było to jednak związane ze świadomą polityką Związku Sowieckiego. Są pewne hipotezy, że Moskwa w krajach bałtyckich chciała stworzyć swoistą wioskę potiomkinowską. Nie ma jednak na to żadnych dowodów i dlatego te hipotezy nie zyskały akceptacji ze strony historyków. Odrębność Litwy, Łotwy i Estonii wynikała z tego, że w okresie międzywojennym były krajami niepodległymi. Procesy historyczne zachodzące pomiędzy krajami bałtyckimi a pozostałymi republikami sowieckimi były odmienne, dlatego taka odrębność była widoczna.

Litwa – nie wiem, czy świadomie, czy nie – nie chciała prowokować Związku Sowieckiego. W czasach Sąjūdisu nie znajdziemy żadnej wypowiedzi na temat jej akcesji do Unii Europejskiej lub NATO.

W okresie międzywojennym ze współpracą między krajami bałtyckimi było różnie, kiedy jednak rozpoczęła się gorbaczowska pierestrojka, to owa współpraca była bardzo ścisła i skoordynowana. Najlepszy przykład stanowi Łańcuch Bałtycki, który w sierpniu 1989 roku dostownie połączył ponad dwa miliony osób. Tu można wymienić nie tylko Łańcuch Bałtycki. Przykładów jest więcej. Owa jedność krajów bałtyckich pojawiła się właśnie w okresie sowieckim. Trzy kraje z podobną historią zostały włączone do ZSRS w tym samym czasie. W społeczeństwie zawsze żywa była myśl, że do ZSRS trafiliśmy niekoniecznie z własnej woli. Było poczucie, że naszym udziałem jest wspólny tragiczny los. W Związku Sowieckim relacje polityczne i społeczne miały miejsce nie tylko na szczeblu oficjalnym. Było sporo inicjatyw oddolnych i więzi nieformalnych. Na przykład w czasie moich studiów na Uniwersytecie Wileńskim intensywnie współpracowaliśmy, poprzez stowarzyszenia studenckie, z Uniwersytetem w Tartu. Ta współpraca w dużym stopniu wynikała z chęci zmanifestowania swej odrębności od reszty ZSRS. Takich nieformalnych związków, zwłaszcza w świecie akademickim, było

więcej. Kiedy zaczęły powstawać fronty ludowe w Łotwie i Estonii, a na Litwie Sąjūdis, to te nieformalne kontakty z czasów sowieckich w naturalny sposób przekształciły się we współpracę instytucjonalną. Była ona bardzo pomyślna i została maksymalnie wykorzystana.

W latach odrodzenia niepodległościowego z ust działaczy często można było usłyszeć, że za jakiś czas będziemy żyć tak, jak Szwedzi. Czy to oznacza, że Szwecja lub szerzej – Skandynawia, stanowiła swoisty wzór do naśladowania?

Trzeba pamiętać, że rozpad Związku Sowieckiego odbywał się stopniowo. W roku 1989 podjęto próbę uchwalenia nowej konstytucji Litewskiej So-

cialistycznej Republiki Radzieckiej. Projekt zakładał, z czego bardzo cieszyli się działacze Sąjūdisu, że pomimo wspólnej polityki obronnej i zagranicznej prowadzonej z ZSRS, Litwa będzie krajem niepodległym. Dzisiaj rozumiemy, że bardzo dobrze się stało, że ten projekt nie został zrealizowany. Prace nad nową konstytucją rozpoczęły się tuż przed okresem wakacyjnym. Po wakacjach, między innymi dzięki Łańcuchowi Bałtyckiemu, sytuacja radykalnie się zmieniła i założenia nowej konstytucji stały się

Wpływ na charakter narodowy lub państwowy ma pewna liczba wspólnych doświadczeń historycznych, które tworzą wspólnotę interesów. Wspólnych interesów z Polakami, Białorusinami lub Ukraińcami Litwini mają znacznie więcej niż z Łotyszami lub Estończykami.

nieaktualne. Litwa chciała pełnej suwerenności. Idea porównywania się ze Szwecją była naturalna, ten kraj od dłuższego czasu zachowywał neutralność. Litwa – nie wiem, czy świadomie, czy nie – nie chciała prowokować Związku Sowieckiego. W czasach Sąjūdisu nie znajdziemy żadnej wypowiedzi na temat akcesji naszego kraju do Unii Europejskiej lub NATO. Próbowano znaleźć rozwiązanie, które najmniej drażniłoby Moskwę. Na przykład pojawił się pomysł, by Litwa miała ten sam status, co ówczesne Bułgaria lub Polska. Dlatego ten „szwedzki kierunek” świadczył nie tyle o geopolitycznej orientacji, ile o tamtych realiach politycznych.

Na początku rozmowy wspominał Pan, że na tle krajów regionu bałtyckiego Litwa zawsze się wyróżniała. Czy chodzi tu o czynnik religijny? Większość państw regionu jest protestancka.

Z pewnością na charakter państwa wpływ mają różne doświadczenia historyczne. Trzon regionu bałtyckiego stanowią Dania, Norwegia, Szwecja

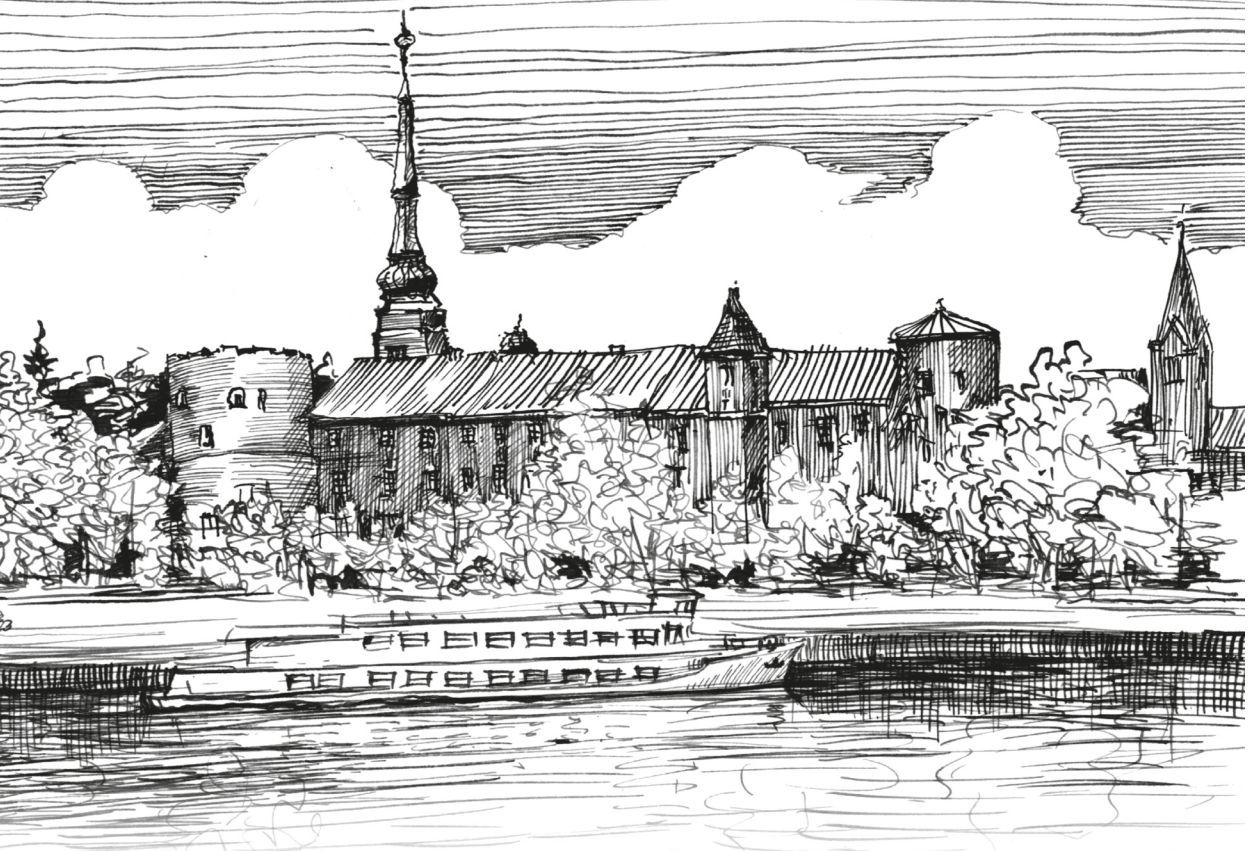
i Finlandia. Patrząc z perspektywy historycznej, ten sojusz nie powstał od razu. Musiało upłynąć sporo czasu i trzeba było posiadać odpowiedni bagaż doświadczeń, żeby powstało coś takiego, jak Rada Nordycka. Nie sądzę, by w XX lub XXI wieku religia stanowiła czynnik decydujący.

Chodziło mi bardziej o perspektywę historyczną, o proces kształtowania się tożsamości poszczególnych państw i narodów.

Wpływ na charakter narodowy lub państwowy ma pewna liczba wspólnych doświadczeń historycznych, które tworzą wspólnotę interesów. Mogę tylko powtórzyć, że tych wspólnych interesów z Polakami, Białorusinami lub Ukraińcami mamy znacznie więcej niż z Łotyszami lub Estończykami. Nie mówiąc już o Finach, Szwedach czy Duńczykach.

Brak wspólnych interesów w przypadku Estonii lub Szwecji jest zrozumiały, ale Łotwa była przecież częścią Rzeczypospolitej Obojga Narodów?

Mówiąc o wspólnych interesach wynikających ze wspólnych doświadczeń historycznych, trzeba pamiętać, że poszczególne państwa i narody inaczej patrzą na łączące je wydarzenia historyczne. W przypadku Księstwa Kurlandii i Semigalii, elity tego państwa nie były włączone w struktury władzy Rzeczypospolitej. W odróżnieniu od polskich i litewskich elit politycznych, elity kurlandzkie nie czuły odpowiedzialności za Rzeczpospolitą. Mamy do czynienia z absolutnie innym doświadczeniem historycznym. Do dziś na Łotwie niechętnie się wspomina o tym okresie. Kiedy nie istnieje tożsamy lub choć podobny pogląd na wspólną historię, wówczas doświadczenia historyczne nie mają wpływu na relacje współczesne.



Pierwiastek nordycki

Z Imantsem Lieģisem
rozmawia Tomasz Otocky

Imants Viesturs Lieģis jest łotewskim politykiem. W latach 1973-1976 studiował na Wydziale Prawa Newcastle University, później zaś w The College of Law w Guildford. W latach 1979-1991 pracował jako notariusz. W 1992 roku podjął pracę w MSZ Łotwy, gdzie sprawował funkcję podsekretarza stanu (1993-1994), radcy w ambasadzie w Sztokholmie (1994-1997) oraz chargé d'affaires w Brukseli (1997). Był ambasadorem w krajach Beneluxu (1997-2000), przy NATO (2000-2004), w Hiszpanii (2008-2009), a także na Węgrzech i Bałkanach (2012-2016) oraz we Francji, Monako, Algierii i Maroku (2017-2021). Działał również w polityce, pełnił funkcję ministra obrony Łotwy (2009-2010), był członkiem „Związku Obywatelskiego” oraz „Jedności”, z której wystąpił w 2022 roku. W tym samym roku zaproponowano mu funkcję ministra spraw zagranicznych w gabinecie cieni lewicowej partii „Postępowi”, która od jesieni reprezentowana jest w Sejmie XIV kadencji, zaś od września 2023 roku w rządzie Łotwy.

Tomasz Otocki jest dziennikarzem zajmującym się tematyką bałtycką. Był związany z Radiem Wnet, gdzie stworzył „Program Bałtycki”, niszową audycję poświęconą Litwie, Łotwie i Estonii. Od 2015 roku jest zastępcą redaktora naczelnego „Przeglądu Bałtyckiego”. Był członkiem zarządu i rady Fundacji Bałtyckiej, a także członkiem-założycielem Towarzystwa Polsko-Estońskiego. Publikował w „Nowej Europie Wschodniej”, „Przeglądzie” oraz „Tygodniku Powszechnym”, a także w pismach Polaków na Wschodzie i Północy: „Kurierze Wileńskim”, „Znad Wilii”, „Echach Polesia” i „Polaku na Łotwie”.

Tomasz Otocki: W ubiegłym roku zdecydował się Pan przyłączyć do istniejącej od kilku lat pozaparlamentarnej inicjatywy lewicowej o nazwie „Postępowi”, zostając kandydatem tej partii na ministra spraw zagranicznych. Do 2022 roku w parlamencie zasiadali przedstawiciele Socjaldemokratycznej Partii „Zgoda”, którzy jeszcze kilka lat wcześniej mieli podpisane porozumienie z „Jedną Rosją” Władimira Putina. Na tę partię głosowała głównie mniejszość rosyjskojęzyczna, tymczasem „Postępowi” są zupełnie innym środowiskiem. To m.in. dzięki nim udało się wybrać na prezydenta kraju prozachodniego liberała Edgarsa Rinkēviča, zaprzysiężonego 8 lipca. Do tej pory prawie wszystkie rządy na Łotwie po 1990 roku tworzyły partie centroprawicowe. Dlaczego po odzyskaniu niepodległości przez Łotwę tak ciężko było wrócić do ideałów lewicowych? Imants Lieģis: To przez dziedzictwo czasów Związku Sowieckiego. Wszystko na Łotwie, co miało w sobie przymiotnik „socjalistyczny” czy „socjaldemokratyczny”, było obłożone anatemią. Dlatego nasze rządy po 1990 roku, zaczynając od gabinetu Ivarsas Godmanisa, miały charakter centroprawicowy. Oczywiście w dwóch innych krajach, Litwie i Estonii, sytuacja była inna.

Byli tam aktywni politycy socjaldemokratyczni, tacy jak Toomas Hendrik Ilves, który w latach 2006-2016 sprawował funkcję prezydenta Estonii. Na Łotwie także teoretycznie odrodziła się Łotewska Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza, nawiązująca do ugrupowania istniejącego do 1934 roku, mającego najsilniejszą frakcję w Sejmie, później rozwiązanego przez dyktatora Kārlisa Ulmanisa, po 1945 roku działającego na emigracji, jednak nigdy nie odegrała większej roli. Tylko przez jedną kadencję była reprezentowana w Sejmie, zaś w samorządzie Rygi weszła w dość egzotyczne koalicje, na przykład z mniejszością rosyjską. Sądzę jednak, że za nieskutecznością socjaldemokracji łotewskiej stały dawne struktury KGB. Przez długi czas szefem tego ugrupowania był Juris Bojārs, jego syn Gundars Bojārs w latach 2001-2005 sprawował urząd mera Rygi z ramienia LSDSP [Łotewska Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza – przyp. red.]. Juris Bojārs kształcił się w latach sześćdziesiątych XX wieku w Wyższej Szkole KGB w Moskwie, później również na zaocznych studiach doktoranckich w Akademii Spraw Zagranicznych Związku Sowieckiego. W 1988 roku przyłączył się do Łotewskiego Frontu Narodowego, który walczył o niepodległość Łotwy, został deputowanym ludowym do Rady Najwyższej ZSRR. Później przez długi czas stał na czele LSDSP. Do ugrupowania tego przystali także emigranci, którzy po 1990 roku wrócili do niepodległej Łotwy. Nie była więc jednorodna. Ale tacy ludzie jak Bruno Kalniņš, w latach osiemdziesiątych honorowy przewodniczący Międzynarodówki Socjalistycznej z ramienia LSDSP, byli bardzo nieufni wobec ludzi, którzy działali na miejscu, jeszcze w warunkach Łotewskiej SRR. Sądzę, że działalność KGB na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych sprawiła, że te dwa środowiska się nie pogodziły i nie stworzyły silnej partii socjaldemokratycznej.

Później jednak powstało zupełnie nowe ugrupowanie: najpierw Centrum Zgody, następnie zaś Socjaldemokratyczna Partia „Zgoda”, na którą głównie głosowali Rosjanie i przedstawiciele innych mniejszości. Czołową postacią był tutaj Nił Uszakow, w latach 2009-2019 mer Rygi, pierwszy Rosjanin w historii sprawujący tę funkcję. „Zgoda” ostatecznie przejęła sztandar nieistniejącej łotewskiej socjaldemokracji (w 2002 roku LSDSP nie weszła już do Sejmu) i próbowała nadać jej swój własny, specyficzny charakter. Uważa Pan, że „Zgoda” była próbą zbudowania socjaldemokracji, której brakowało na Łotwie?

Problemem tego ugrupowania była przede wszystkim korupcja. I nie chcę tego łączyć z kwestią etniczną, bo tam działali także prominentni politycy łotewskiego pochodzenia, tacy jak Jānis Urbanovičs. Mieli oni związki z Moskwą, porozumienie z „Jedną Rosją”, podpisane w 2009 roku, zerwane dopiero w 2017 roku. Byli jednak zainteresowani nie kwestiami społecznymi, a „sprawami mniejszościowymi”.

Oczywiście wszystko to działo się w zgodzie z interesami Rosji. Chciano pokazać, że Łotwa nie jest pełnowartościowym państwem, że wciąż ma problemy z mniejszościami narodowymi, że ktoś z zewnątrz powinien ingerować i pomagać. „Zgoda” przystąpiła ostatecznie do Partii Europejskich Socjalistów, jej dwóch posłów w Parlamencie Europejskim zasiada właśnie w tej frakcji, ale tak

naprawdę nigdy nie byli prawdziwą socjaldemokracją. To, co mnie przyciągnęło do „Postępowych”, którzy powstałi jako stowarzyszenie w 2011 roku, zaś jako partia polityczna w 2017 roku, to ich działanie na rzecz budowy „modelu skandynawskiego” na Łotwie. Chodzi o zmniejszenie ubóstwa, nierówności społecznych, także na terenie Rygi, gdzie „Postępowi” stanowią największą grupę polityczną w samorządzie. Młodzi ludzie, którzy należą do tej partii, walczą o takie kwestie, jak prawa mniejszości, kobiet czy LGBT. Zresztą znaleźli się tam tacy ludzie jak Māris Graudiņš czy Ervins Labanovskis, którzy wcześniej działali w LSDSP. Do tego „Postępowi” są partią jednoznacznie antykorupcyjną. Sądzę, że socjaldemokrację na Łotwie mają szansę zbudować właśnie młodzi ludzie, nieobciążeni dziedzictwem sowieckim. Podam przykład: szef frakcji „Postępowych” w radzie miejskiej Rygi Mārtiņš Kossovičs poinformował media o próbie wręczenia mu łapówki przez łotewskiego biznesmena. Ostatecznie ów biznesmen został osądzony i skazany. Latem 2022 roku, gdy szykowały się wybory do Sejmu, partia zaproponowała mi i politologowi Andrisowi Sprūdšowi – byłemu szefowi Łotewskiego Instytutu Polityki Zagranicznej – przyłączenie się do „gabinetu cieni”. Weszliśmy w jego skład, Sprūdš jako kandydat na ministra obrony [obecnie jest już ministrem, po tym, jak we wrześniu 2023 roku powstał na Łotwie nowy rząd – przyp. red.], ja na ministra spraw zagranicznych. Obecnie jestem osobą bezpartyjną, bo

**Tożsamość Rygi i Łotwy
zmieniała się przez lata.**

**Na pewno ani Ryga, ani
Łotwa nie są „miastem” czy
„państwem” wschodnim.**

**Nie jesteśmy także „pomostem”
między Wschodem a Zachodem.**

taka była umowa, ale zdecydowałem się wesprzeć młodych ludzi działających w „Postępowych” swoim autorytetem.

Jest Pan obecny w polityce już od dawna. Wcześniej przez wiele lat był Pan dyplomatą, w 2008 roku przystąpił Pan do „Jedności”, której nieformalnym liderem pozostawał wówczas premier Valdis Dombrovskis. Szef rządu, któremu w 2009 roku przyszło się zmierzyć z gigantycznym kryzysem gospodarczym, jaki dotknął Łotwę najmocniej spośród trzech krajów bałtyckich.

Po tym, jak wróciłem z placówki w Madrycie, gdzie byłem ambasadorem, zostałem ministrem obrony w pierwszym rządzie Valdisa Dombrovskisa, tworzonemu oczywiście przez partie centroprawicowe. Byłem wówczas ministrem niezależnym, jednak ostatecznie zostałem kandydatem na posła do Sejmu, wybrano mnie do parlamentu X kadencji. Ale wtedy ministrem obrony został już Artis Pabriks, sprawujący tę funkcję po raz kolejny w pierwszym rządzie Krišjānisa Kariņša (2019-2022).

Zarówno premier Kariņš, który w latach 2022-2023 tworzył swój drugi rząd, nowa premierka Łotwy Evika Siliņa, obecny prezydent Edgars Rinkēvičs, a także nowy mer Rygi Vilnis Kirsis to ludzie centroprawicowej partii „Jedność”. To formacja, która powstała najpierw jako koalicja w 2010 roku, później zaś jako jednorodna partia. Jakie wartości wniosło do polityki to środowisko?

To, co było ważne, kiedy Valdis Dombrovskis zgodził się objąć funkcję premiera w 2009 roku, a później zbudować „Jedność”, to próba uratowania kraju przed bankructwem. Byliśmy w analogicznej sytuacji do Grecji, jednak udało nam się – za cenę ogromnych wyrzeczeń – wyjść z tego obronną ręką. Społeczeństwo zaakceptowało program Dombrovskisa, choć jego pierwszy rząd funkcjonował w trudnych warunkach, od marca 2010 roku był już rządem mniejszościowym.

Ale zbliżały się pamiętne wybory planowane na jesień 2010 roku, kiedy istniało ryzyko, że Dombrovskis straci władzę, zaś rządy obejmą przedstawiciele łotewskich partii oligarchicznych oraz mniejszość rosyjska. Naprawdę się tego baliście?

Kwestia dotycząca oligarchii pozostawała cały czas aktualna. To jeden z powodów, dla którego prezydent Valdis Zatlers rozwiązał Sejm w 2011 roku. Takiego kroku nie podjął wcześniej ani później żaden prezydent w historii Łotwy. Chodziło o to, że Zatlers nie godził się z faktem powstania

w Sejmie koalicji, która uratowała oligarchę, a zarazem prominentnego polityka, Ainārsa Šlesersa [w zeszłym roku wrócił do parlamentu wraz ze swoim nowym populistycznym ugrupowaniem „Łotwa na Pierwszym Miejscu” – przyp. red.]. Chodziło o zgodę na przeszukanie jego mieszkania przez służbę antykorupcyjną KNAB. Zatlērs zainicjował referendum na temat rozwiązania Sejmu. Ponad 90 proc. głosujących poparło jego wnioski i ostatecznie doszło do wyborów parlamentarnych, które na kilka lat odsunęły od władzy ugrupowania oligarchiczne. Partia Šlesersa nie weszła do Sejmu, zaś z koalicji odszedł Związek Zielonych i Rolników, którego patronem był wówczas kontrowersyjny mer Windawy Aivars Lembergs. Można zatem uznać, że Zatlērs, choć przegrał wybory prezydenckie, odniósł sukces w walce z oligarchami. Wątek „walki z oligarchami” przewija się przez całą historię niepodległej Łotwy. Z podobną sytuacją mieliśmy do czynienia po wyborach w 2018 roku, gdy pierwszy rząd Krišjānisa Kariņša stworzyło pięć partii. Warunkiem wejścia do koalicji Nowej Partii Konserwatywnej, która została założona między innymi przez byłych pracowników biura antykorupcyjnego KNAB, było „wypchnięcie” z niej partii Aivarsa Lembergsa.

Wątek „walki z oligarchami” przewija się przez całą historię niepodległej Łotwy.

W ubiegłym roku na Łotwie odbyły się kolejne wybory, w wyniku których Kariņš objął stanowisko premiera. Obecnie na nowego prezydenta, zaproponowanego przez „Jedność”, nie głosowały dwie partie koalicyjne związane w latach 2022-2023 z „Jednością”. Poparli go opozycyjni posłowie „Postępowych” oraz Związku Zielonych i Rolników (ZZS), które razem z „Jednością” stworzyły we wrześniu 2023 roku nowy rząd Eviki Siliņi. Czy ze względu na ZZS, który w nowym rozdaniu otrzymał m.in. funkcję przewodniczącej Sejmu, nie można będzie mówić o wzroście wpływu oligarchów niestających z miłości do NATO, Rosji czy Ukrainy?

Aivars Lembergs nie wpłynie na politykę zagraniczną. „Jedność” nie oddała ministerstwa spraw zagranicznych ani ministerstwa obrony Związku Zielonych i Rolników. Jest jednak faktem, że jego przedstawiciele w Sejmie głosowali na Rinkēviča, który nie zostałby wybrany bez tego poparcia. Pojawia się pytanie, jaką za to otrzymają nagrodę. Nie sądzę jednak, że polityka zagraniczna Łotwy się zmieni. Proeuropejskość i proatlantyckość to u nas akurat dosyć stała zmienna. Zresztą trzeba powiedzieć także inną

rzec: premier Łotwy Krišjānis Kariņš wielokrotnie negatywnie wyrażał się o Lembergsie, więc ciężko sobie wyobrazić byłego mera Windawy na posiedzeniach rady koalicyjnej, również w sytuacji, gdy nowym premierem jest już Evika Siliņa.

Rozmawiamy cały czas o tym, co się działo w Sejmie, w rządzie. Ale w 2009 roku po raz pierwszy w historii Łotwy do władzy w samorządzie Rygi doszła partia mniejszości rosyjskiej, a więc „Zgoda”. Czy miał Pan poczucie, że prowadzi ona inną politykę zagraniczną niż rząd w Rydze, który zawsze skupiony był na wartościach euroatlantyckich?

Nie nazwałbym rady miejskiej w Rydze „wielkim graczem” w polityce międzynarodowej. To, co zarzucam „Zgodzie”, to przede wszystkim tolerowanie korupcji w spółkach miejskich i w radzie miejskiej. Ale jak już podkreślałem, nie jest to kwestia etniczna, bo także przed 2009 rokiem, gdy Rygą rządziły „łotewskie partie”, mieliśmy problem korupcji w samorządzie. Sądzę, że po 2020 roku, kiedy do władzy doszli „Postępowi”, to sprawa walki z korupcją w radzie miejskiej Rygi poszła do przodu. Wspominałem przykład Kossovičsa.

Ja z kolei wspominałem o „innej polityce zagranicznej Rygi”, bo przecież za kadencji Niła Uszakowa otwarto Dom Moskwy w Rydze, w międzyczasie zamknięty, Uszakov wiele razy odwiedzał Rosję, był w Rydze mer Moskwy Jurij Łużkow, zaś – usunięty niedawno z parku Kronwalda – pomnik Puszkina odsłonięto właśnie w 2009 roku. Chciałbym się jednak teraz skupić na postaci nowego prezydenta Łotwy, którego zaprzysiężono 8 lipca. Edgars Rinkēvičs od 2011 roku, przez dwanaście lat, sprawował funkcję szefa MSZ. Jaką politykę prowadził w tym czasie resort?

Po wyborach w 2010 roku MSZ kierował polityk Ģirts Valdis Kristovskis, który nie był najmocniejszym ministrem w historii Łotwy. Zaś Rinkēvičs przyszedł do resortu jako wykształcony i doświadczony urzędnik, który przez trzy lata kierował kancelarią prezydenta Valdisa Zatlersa. Miał doświadczenie w polityce bezpieczeństwa i obrony jako wiceminister w latach 2007-2008. Przez dwanaście lat prowadził jednoznacznie proeuropejską i proatlantycką politykę, za jego kadencji Łotwa przystąpiła do strefy euro, weszła do OECD, zajęła jednoznaczne stanowisko w sprawie Ukrainy. Być może jedyną jego gafą było to, co stało się latem 2021 roku podczas mistrzostw w hokeju, które miały miejsce w Rydze. Wtedy liberalny mer

Rygi Mārtiņš Staķis i Rinkēvičs ściągnęli z żerdzi oficjalną flagę białoruską, zastępując ją biało-czerwono-białym sztandarem, co Aleksander Łukaszenka przyjął jako afront. Poskutkowało to wydaleniem dyplomatów z naszej placówki w Mińsku. Wcześniej Rinkēvičs prowadził jednak pragmatyczną politykę wobec Białorusi, co wynikało między innymi z interesów gospodarczych Łotwy w branży tranzytowej.

To, co przyciągnęło mnie do „Postępowych”, którzy powstałi jako stowarzyszenie w 2011 roku, zaś jako partia polityczna w 2017 roku, to ich działanie na rzecz budowy „modelu skandynawskiego” na Łotwie. Chodzi o zmniejszenie ubóstwa.

| Czego Pan oczekuje od Rinkēvičsa jako nowego prezydenta?

Sądzę, że będzie reprezentować Łotwę w sposób profesjonalny, że nie będzie miał żadnych problemów z przejściem roli głowy państwa nie tylko w dziedzinie polityki zagranicznej, ale także w polityce wewnętrznej. Jedną z głównych ról prezydenta na Łotwie, który nie ma dużych prerogatyw w kwestiach wewnętrznych, jest reprezentowanie państwa na arenie międzynarodowej. W tej kwestii Rinkēvičs jest profesjonalistą. Wie, jak funkcjonuje kancelaria prezydenta, bo w latach 2008-2011 kierował nią, kiedy funkcję prezydenta pełnił Valdis Zatlers. W czasie wojny w Ukrainie tylko taki profesjonalny dyplomata mógł być najlepszym kandydatem z trzech osób zgłoszonych w Sejmie. Wraz z przyjściem do władzy Rinkēvičsa, wywodzącego się ze środowiska „Jedności”, będziemy mieć do czynienia z większą harmonizacją polityki między szefem rządu a szefem państwa. Nie sądzę jednak, żeby były wyczuwalne znaczące różnice w polityce ustępującego Egilsa Levitsa i Rinkēvičsa. Dwaj panowie zresztą współpracowali ze sobą. Polityka Levitsa i Rinkēvičsa wobec Rosji, Białorusi czy Ukrainy, ale także wobec Unii Europejskiej i NATO, nie zmieni się. Również w kwestii relacji z Polską i Węgrami, które mają problemy z Brukselą, polityka Rinkēvičsa nie będzie się różnić od polityki Levitsa. Nowy prezydent, choć jest liberałem i wierzy w pewne wartości, potrafi być także pragmatykiem. Zresztą z perspektywy Rygi widać też inny fakt, który jest znaczący: dużą różnicę między Warszawą i Budapesztem w kwestii relacji z Rosją i Ukrainą. Politycy łotewscy to widzą.

| Na koniec rozmowy chciałbym wrócić do początkowego wątku, czyli Pańskie-go zaangażowania jako bezpartyjnego eksperta wspierającego „Postępowych”.

W sytuacji, gdy ta partia współtworzy rząd w obecnej kadencji, jakie zmiany z perspektywy socjaldemokratycznej trzeba by wprowadzić w polityce zagranicznej i obronnej Łotwy?

Po pierwsze, nie zostałem szefem MSZ, nie jestem także posłem [nowym ministrem spraw zagranicznych został były premier Krišjānis Kariņš z „Jedności” – przyp. red.]. Dla „Postępowych” ważny jest wymiar nordycki polityki. To partia, która inspiruje się Skandynawią. Ale ja nie

W 2009 roku Łotwa znalazła się w analogicznej sytuacji do Grecji, jednak udało nam się – za cenę ogromnych wyrzeczeń – wyjść z tego obronną ręką.

powiedziałbym, że Łotwa ma *per se* problem z „wymiarom nordyckim”, po 1990 roku był on niezmiennie ważny dla łotewskiej polityki. Takie jest nasze położenie geograficzne, choć raczej nie postrzegamy się jako „kraj nordycki”. Czasem podobne określenie można usłyszeć w kontekście Estonii. Akcesja Finlandii i Szwecji do NATO wywołała w Ry-

dze może nie euforię, ale dużą radość. Wszyscy politycy w Sejmie wiedzą więc, że Szwecja, Finlandia, Dania, Norwegia i Islandia są dla nas ważne. Istnieje nawet specjalny format NB8. Natomiast może wystąpić pewien podział między politykami lewicy i prawicy w kwestiach światopoglądowych. W krajach skandynawskich, podobnie jak od 2023 roku w Estonii, legalne są małżeństwa homoseksualne. Na Łotwie nie ma do tej pory nawet związków partnerskich, ani przyjętej konwencji stambulskiej. Wszystkie te sprawy popiera nowy prezydent, ale nie ma dla ich przyjęcia większości w Sejmie. Być może właśnie wejście „Postępowych” do nowego rządu doprowadzi do jakiegoś przełomu w tej sprawie?

| Czy Ryga jest miastem nordyckim czy wschodnim?

Tożsamość Rygi i Łotwy zmieniała się przez lata, bo tożsamość z definicji się zmienia. Na pewno ani Ryga, ani Łotwa nie są „miastem” czy „państwem” wschodnim. Nie jesteśmy także „pomostem” między Wschodem a Zachodem, ta idea już od dawna została porzucona przez polityków, bardzo wyraźnie wspominał o tym prezydent Egils Levits podczas mowy inauguracyjnej w 2019 roku. Mamy aspirację do bycia „nordyckimi”, patrzymy raczej na Estonię, nie na Węgry, w których także byłem ambasadorem. Litwie jest chyba bliżej do Polski i można by Was zaklasyfikować jako część Europy Środkowej. Ale to są płynne podziały.

Kończąc, chcę podkreślić, że bardzo ważna jest dla nas wspólnota bałtycka. Ostatnia wizyta prezydenta Egilsa Levitsa odbyła się w Wilnie, gdzie spotkał się z prezydentami Polski i Litwy. Pierwsza wizyta Rinkēviča, podobnie jak nowej przewodniczącej Sejmu, miała miejsce w Estonii. Gdy zostawałem ministrem obrony w 2009 roku, chciałem odbyć swoją wizytę w Warszawie, po tym, jak odwiedziłem już Tallinn. Ale Wilna po prostu nie mogłem pominąć. Pojechałem zatem na Litwę.



Estonia patrzy na północ Europy

Z Heiko Pääbo, politologiem i specjalistą
w badaniach nad pamięcią i transformacją
oraz studiach bałtyckich,
rozmawia Damian Szacawa

Dr Heiko Pääbo jest dyrektorem Centrum Studiów Bałtyckich na Uniwersytecie w Tartu i kierownikiem programu studiów magisterskich Baltic Sea Region Studies. Uzyskał tytuł doktora nauk politycznych na Uniwersytecie w Tartu (2011) i regularnie wykłada w Instytucie Studiów Politycznych Johana Skytte. Jego badania koncentrują się na stosunkach międzynarodowych, badaniach nad pamięcią, studiach nad transformacją, studiach bałtyckich oraz studiach rosyjskich i wschodnioeuropejskich. Jego książka pt. *Great Power's Dependency Policies in a Geostrategic Subregion. Measuring Capability of the USA Policies in Central America and Russian Policies in the Baltic States*, opublikowana w 2009 roku, jest analizą porównawczą współczesnej polityki USA w Ameryce Środkowej i rosyjskiej polityki w Państwach Bałtyckich. Jego ostatnie publikacje to artykuły: *How Russian Soft Power Fails in Estonia: Or, Why the Russophone Minorities Remain Quiescent* (2015) oraz *Constructing Historical Space: Estonia's Transition from the Russian Civilization to the Baltic Sea Region* (2014) w „Journal of Baltic Studies”.

Dr Damian Szacawa jest starszym analitykiem w Zespole Bałtyckim w Instytucie Europy Środkowej w Lublinie oraz adiunktem w Katedrze Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Politologii i Dziennikarstwa UMCS. Doktor nauk humanistycznych w zakresie nauk o polityce (2012), wiceprzewodniczący sekcji badań Europy Północnej Polskiego Towarzystwa Studiów Międzynarodowych (PTSM), członek Zarządu Oddziału Lubelskiego Polskiego Towarzystwa Studiów Europejskich (PTSE) oraz członek Pracowni Badań Interdyscyplinarnych Europy Nordycko-Bałtyckiej i Arktyki. Kierownik projektu pt. „Potencjał teorii ugruntowanej w badaniach stosunków pomiędzy organizacjami międzynarodowymi” oraz członek zespołu badawczego realizującego projekt pt. „Dyplomacja naukowa w Europie Północnej”. Autor i współautor publikacji naukowych nt. współpracy międzynarodowej, regionalnych systemów zarządzania, organizacji międzynarodowych i szeroko rozumianego bezpieczeństwa międzynarodowego, ze szczególnym uwzględnieniem regionu Morza Bałtyckiego oraz Europy Środkowej.

Damian Szacawa: Estonię określa się jako małe państwo w Europie Północnej. Jest to zarazem państwo przywiązujące bardzo dużą uwagę do przestrzegania prawa międzynarodowego i współdziałania w ramach organizacji międzynarodowych. Jakie są priorytety polityki zagranicznej i bezpieczeństwa Estonii po agresji Rosji na Ukrainę?

Heiko Pääbo: Te priorytety nie zmieniły się tak bardzo, ponieważ Estonia zawsze głośno mówiła o tym, o czym wspominałeś – o przestrzeganiu prawa międzynarodowego i współpracy. Jest to powszechne w przypadku małych państw, szczególnie w regionie Morza Bałtyckiego, gdzie państwa bałtyckie i nordyckie mają te same cele. Dzieje się tak dlatego, że jak

stwierdził nasz pierwszy prezydent po odzyskaniu niepodległości, prawo międzynarodowe jest naszym największym gwarantem bezpieczeństwa. Zatem zmiana nie dotyczy tak bardzo priorytetów, ale raczej tego, jak głośno Estonia podkreśla te kwestie. Oczywiście zabieraliśmy głos także wtedy, kiedy Rosja łamała normy międzynarodowe, najeżdżając Gruzję w 2008 roku lub dokonując aneksji Krymu w 2014 roku. Wtedy to jednak Litwa była najbardziej stanowcza wśród trzech państw bałtyckich. Ale od 2022 roku Estonia przejęła inicjatywę, a nasza premier [Kaja Kallas jest premierem Estonii od 26 stycznia 2021 roku – D.S.] również poruszała owe kwestie, a następnie próbowała zachęcić do tego europejskich partnerów.

Czy miało to miejsce w czasie obecności Estonii w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, czy wcześniej?

Było to trochę wcześniej. Z pewnością obecność w Radzie Bezpieczeństwa ONZ przyczyniła się do jasnego stanowiska Estonii w tych sprawach, ale myślę, że jest to również osadzone w kontekście kwestii osobowościowych. Nasza postawa nie byłaby tak widoczna, gdybyśmy mieli na tym stanowisku poprzedniego premiera Jüri Ratasa, który zdecydowanie nie był tak biegły jak obecna premier w sprawach polityki zagranicznej. Nie miał takiej sieci kontaktów, a ponieważ Kaja Kallas była członkiem Parlamentu Europejskiego w latach 2014-2018, więc znała już wielu polityków. Co więcej, ona nie boi się również po prostu powiedzieć: „Hej, Macron, przestań dzwonić do Putina. Lepiej zadzwoń do mnie”.

Kluczowe podstawy polityki zagranicznej, czyli dotyczące bezpieczeństwa, nie uległy zmianie. Zawsze też byliśmy ostrożni w stosunku do rosyjskiego sąsiedztwa. Zmieniła się co najwyżej taktyka.

Wspomniał Pan kilka razy o relacjach z innymi państwami bałtyckimi, między innymi z Litwą, ale także z państwami nordyckimi. Moje kolejne pytanie dotyczy więc miejsca i roli regionu Morza Bałtyckiego oraz relacji z państwami nordyckimi i bałtyckimi, a także Polską i Niemcami w polityce Estonii, nie tylko zagranicznej, ale również w zakresie bezpieczeństwa oraz w innych wymiarach?

Region Morza Bałtyckiego jest kluczowy dla Estonii w tym sensie, że to nasze rodzinne strony, więc mamy tu najbliższych partnerów. Estonia ma szczególne relacje z Finlandią – i to nie tylko w kontekście polityki zagranicznej czy polityki bezpieczeństwa. Są one widoczne też na poziomie oddolnym. Wiele osób codziennie przekracza granicę, dojeżdżając do

pracy, obywatele Estonii mieszkają w Finlandii, tak jak i obywatele Finlandii mieszkają w Estonii. To sprawia, że istnieje swego rodzaju praktyczna konieczność usprawnienia transportu, e-rezydencji, e-usług itp.

Innym bliskim partnerem jest dla nas Łotwa, z którą aktywnie współpracujemy, podobnie jak ze Szwecją, w której nowy szwedzki rząd [centroprawicowy rząd premiera Ulfa Kristerssona rządzi od października 2022 roku – D.S.] ogłosił, że będzie znacznie bardziej skoncentrowany na regionie Morza Bałtyckiego. To dla nas dobra wiadomość, ponieważ w stosunkach gospodarczych jesteśmy mocno związani ze Szwecją. Estoński eksport w znaczącym stopniu wiąże się z państwami nordyckimi, gdzie wysyłamy towary, co niesie ze sobą określone konsekwencje. Obecnie nasz eksport, a także produkcja przemysłowa są mniejsze, ponieważ gospodarki naszych partnerów również nie radzą sobie dobrze. Dotyczy to głównie państw nordyckich, w tym sensie jest to kwestia polityki bezpieczeństwa.

Zawsze postrzegaliśmy Polskę jako jednego z kluczowych aktorów w naszym regionie. Z Polską, Łotwą i Litwą wiele nas łączy. Być może państwa nordyckie były bardziej niezdecydowane w kwestii Rosji, ale po 2014 roku zaczęły do nas dołączać. Widoczne było to zwłaszcza po 2022 roku, nawet jeśli istniało coś w stylu narracji o „ostatniej szansie” i nacisków na próbę negocjacji z Moskwą. Prezydent Finlandii Sauli Niinistö powiedział, że również zadzwonił do Putina i się z nim spotkał. Nie sądzę, abyśmy mieli wraz z Finlandią i Szwecją duże różnice zdań w kwestiach związanych z polityką Rosji. Dania i Norwegia są nieco bardziej od nas oddalone, ale widzieliśmy w NATO, że nasze podejścia są zbieżne.

| A z Niemcami?

Niemcy są również ważne. Mamy z nimi bardzo długie związki na płaszczyźnie kulturowej i historycznej. Oczywiście to, co sprawia, że jesteśmy nieco ostrożni, to niemiecka polityka ustępstw, której nie popieramy. Ale jednocześnie mamy nadzieję, że Niemcy staną się zdecydowanie silniejsze pod względem militarnym i będą mogły wesprzeć nas i uruchomić swoją machinę gospodarczą, która będzie w stanie zmaterializować się w ich polityce bezpieczeństwa.

Estonia definiuje się jako państwo północne, ponieważ nordyckość ma szczególne znaczenie, nawet jeśli nordycka unikalność, a następnie sama nordyckość zaczęły ulegać erozji.

Dla nas być może ważniejsze są relacje z Wielką Brytanią i to, że zainwestowaliśmy w nie pod względem wojskowym. Wielka Brytania jest bowiem państwem ramowym wielonarodowej batalionowej grupy bojowej w Estonii w ramach tzw. wzmocnionej wysuniętej obecności NATO. Dostrzegamy jednak, że bardzo ważne jest, aby Berlin był po naszej stronie i w przyszłości nie zgadzał się na takie projekty jak na przykład Nord Stream. Ponadto istnieje swego rodzaju polityka niemiecko-bałtycka – trzy państwa bałtyckie i Niemcy mają specjalne forum, które nadal jest uważane za ważne.

Porozmawiajmy o mniejszości rosyjskojęzycznej. Po aneksji Krymu przez Rosję w 2014 roku, a zwłaszcza po pełnoskalowej agresji na Ukrainę w lutym 2022 roku, wiele osób obawiało się, że do podobnych scenariuszy może dojść w państwach bałtyckich, zwłaszcza w Estonii i na Łotwie, w których zamieszkuje znaczny odsetek ludności rosyjskojęzycznej. Tak się jednak nie stało. Dlaczego? Czyżby te obawy były przesadzone, a może takie ryzyko wciąż istnieje?

Były przesadzone. Pamiętam, że po 2014 roku mieszkańcy Narwy irytowali się, że ich oficjalnym zawodem w międzynarodowych mediach jest bycie „osobą z Narwy” i że tak wielu dziennikarzy jedzie do Narwy, by zadać pytanie: „Jakie jest twoje zdanie na ten temat? Czy Estonia będzie następna?”. Rozumiem, że media potrzebują pewnego rodzaju ekscytujących tematów, ale myślę, że problem ten został przejawskrawiony w mediach międzynarodowych. Tak samo ważne jest, aby pamiętać, że społeczność rosyjskojęzyczna ani w Estonii, ani na Łotwie nie jest jednorodną grupą. Jeśli po wydarzeniach w 2014 roku nie było to tak istotne, to po 2022 roku ten podział wewnątrz społeczności rosyjskojęzycznej stał się naprawdę bardzo silny. Nawet rodziny są podzielone w kwestii Ukrainy. Widzimy, że także młode pokolenie się odróżnia. Jest znacznie bardziej zintegrowane i w większym stopniu podziela stanowisko estońskojęzycznych społeczności. Starsze pokolenia pozostają bardziej pod wpływem czasów sowieckich.

Jest to jedna z linii podziału, ale nie zawsze tak było, ponieważ sama społeczność rosyjskojęzyczna to nie tylko Rosjanie, ale także Ukraińcy, Białorusini i inne grupy etniczne. Na ich przekonania wpływ ma także to, gdzie w Estonii mieszkają. Jeśli w Tartu, są znacznie bardziej zintegrowani niż na przykład mieszkańcy Tallina, Narwy czy Sillamäe. Możemy to obserwować dzięki monitorowaniu nastrojów społecznych. Jest to jedna z kwestii, o których należy pamiętać. Samo otoczenie jest już inne,

ponieważ sytuacja społeczno-ekonomiczna w Estonii jest znacznie lepsza niż ta, którą osoby rosyjskojęzyczne widzą za granicą. Ci ludzie codziennie przekraczali granicę w Iwangrodzie i widzieli spory kontrast między tym miastem a Narwą. Rosja (w kontekście Ukrainy) mogła być przedstawiana jako miejsce rozwoju, lepszej sytuacji gospodarczej, czy też społecznej, ale nie sądzę, aby tak było w kontekście Estonii. Oczywiście nie powinniśmy również zaniedbywać znaczenia NATO.

Po ponad trzydziestu latach od uzyskania przez Estonię niepodległości ludność rosyjskojęzyczna stanowi wyzwanie. Może nie zagrożenie, ale zdecydowanie wyzwanie tak dla sytuacji wewnętrznej, jak i dla działań Estonii na arenie międzynarodowej. Może nie jest to już tak ważne, jak przed rozszerzeniem Unii Europejskiej w 2004 roku, ale wciąż pojawiają się pytania dotyczące praw mniejszości, ochrony ich języka. Dlaczego tak się dzieje? Jak ocenia Pan politykę pamięci Estonii? Jaka jest perspektywa włączenia kolejnych pokoleń ludności rosyjskojęzycznej do społeczeństwa?

Nasz rząd zrobił coś, co należało zrobić już dawno temu, chodzi o reformę edukacyjną. Trzydzieści lat temu posiadaliśmy dwujęzyczny system edukacyjny, estoński i rosyjski. Wprowadzał on podział między Estończykami i Rosjanami. Miejmy więc nadzieję, że ta reforma zostanie wdrożona prawidłowo, a następnie przezwyciężymy podziały. Nie ma znaczenia, do której szkoły dziecko zostanie przyjęte, ważne, aby uczyło się w języku estońskim i osiągnęło w nim biegłość, dzięki czemu zyska lepsze możliwości w naszym społeczeństwie.

Niedawno sporządzono raport pokazujący, że Rosji udało się, i to nie tylko w przypadku Estonii, wykształcić poczucie, że Rosjanie powinni mieć specjalne prawa w przestrzeni poradzieckiej. Oczekiwanie, że Rosjanie będą uczyć się lokalnych języków przedstawiano jako dyskryminację praw człowieka. Stanowiło to problem między innymi w Ukrainie czy Kazachstanie. Dziś, gdy Kazachstan próbuje przywrócić w sferze publicznej swój język (całe pokolenia były zrusyfikowane – głównie są to etniczni Kazachowie), Moskwa ponownie przedstawia to jako łamanie praw człowieka. Wojna otworzyła oczy wielu ludziom, którzy wcześniej uważali, że

Rosji udało się, i to nie tylko w przypadku Estonii, wykształcić poczucie, że Rosjanie powinni mieć specjalne prawa w przestrzeni poradzieckiej. Oczekiwanie, że będą uczyć się lokalnych języków przedstawiano jako dyskryminację praw człowieka.

Zawsze postrzegaliśmy Polskę jako jednego z kluczowych aktorów w naszym regionie. Z Polską, Łotwą i Litwą wiele nas łączy.

istnieje pewien rodzaj dyskryminacji osób rosyjskojęzycznych. Tymczasem nie chodzi tu o łamanie praw człowieka, ale o rosyjski nacjonalizm. Cel Rosji to nie pozwolić mniejszościom na integrację, ta tradycja sięga czasów sowieckich. Nie istniała wtedy polityka integracyjna, więc kiedy doszło do ogromnej fali migracji, szczególnie do Estonii i Łotwy, ludzie, którzy tu przybyli, nie stali się częścią lokalnych społeczności. Zostali zruseyfikowani i nie miało znaczenia ich pochodzenie etniczne, a Estońcy i Łotysze odseparowali się od nich.

| A co z polityką pamięci Estonii?

Wiosną 2022 roku doszło do jej nowej odsłony. Przez pewien czas uważano, że Rosjanie lub mniejszość rosyjskojęzyczna ma własne rozumienie przeszłości. Po 2007 roku po raz pierwszy poruszono tę kwestię i doszło do swego rodzaju interakcji społecznej na ten temat [pomiędzy mniejszością rosyjskojęzyczną a Estończykami – D.S.], a następnie do swoistych negocjacji pomiędzy tymi grupami. Moim zdaniem, przez jakiś czas postrzegano to w ten sposób: „W porządku, oni mają swoje podejście, my swoje. Spróbujmy zatem wyjaśnić je sobie nawzajem, ale nie oczekujemy, że nastąpi pełne zrozumienie”. Rok 2022 pokazał jednak, że takie podejście umacniało rosyjską propagandę. Kiedy doszło do usunięcia z Narwy pomnika-czołgu, powiedziano: „Och, to jest nasze miejsce upamiętnienia, to jest nasz pomnik, tu wciąż są ludzie, którzy przynoszą kwiaty i kładą w miejscu, w którym znajdował się czołg”. Nie próbowali przy tym przyznać, że tego rodzaju pomnik jest ni mniej, ni więcej tylko maszyną do zabijania. Jak można w jakikolwiek sposób chwalić maszynę do zabijania? To dla estońskiego społeczeństwa jest trudne do zrozumienia.

| Podobnie jak w przypadku narracji o „wyzwoleniu” po II wojnie światowej. Dokładnie tak.

| Wspomniał Pan o reformie edukacyjnej i chciałbym o nią jeszcze zapytać, ponieważ jest Pan dyrektorem Centrum Studiów Bałtyckich na Uniwersytecie w Tartu i kierownikiem programu studiów magisterskich nad regionem Morza Bałtyckiego. Jak w Estonii lub szerzej – w państwach bałtyckich, ewoluowały badania

nad regionem Morza Bałtyckiego po zakończeniu zimnej wojny i odzyskaniu niepodległości?

Ten kierunek studiów nie istnieje już jako oddzielny – połączyliśmy go ze stosunkami międzynarodowymi i studiami regionalnymi. Jest to jedna ze specjalizacji. Obecnie, kiedy mamy wspólny program ze stosunkami międzynarodowymi, liczba studentów specjalizacji „region Morza Bałtyckiego” jest najmniejsza. Mam nadzieję, że obecna sytuacja ponownie uczyni ten region atrakcyjnym. O regionie tym nie mówiło się zbyt wiele w międzynarodowych mediach. Dlatego też kandydaci uznali, że nie ma tam zbyt wiele do studiowania – mamy coś, co

się rozwija i ewoluuje spokojnie i pokojowo, a to nie przyciąga uwagi studentów. Wybierają najmodniejsze tematy dla swoich prac magisterskich. Te same kryteria stosują także do wyboru kierunku studiów i specjalizacji. Co zaś tyczy się badań: coraz sensowniejsze staje się spojrzenie na cały region Morza Bałtyckiego, a nie utrzymywanie zimnowojennego podejścia, które zakładało myślenie w kontekście tylko trzech państw bałtyckich. Faktycznie, II wojna światowa i to, co wydarzyło się po niej, połączyło te trzy państwa, ale Litwa zawsze była tam czymś w rodzaju seniora. Estonia i Łotwa mają znacznie więcej wspólnego, bardzo mocny jest tu fundament historyczny. Rozważne jest spojrzenie łącznie na Estonię i Łotwę. Z powodu sowieckiej okupacji Litwa znalazła się wspólnie z Estonią i Łotwą w tym samym regionie. Sam termin „Bałtyk” zmieniał swoje znaczenie w historii. Obecnie istnieją bliskie relacje między państwami nordyckimi i bałtyckimi. Koncentrujemy się na NB8, czyli Nordycko-Bałtyckiej Ósemce, jako rdzeniu tego regionu, a następnie na sposobie, w jaki Niemcy i Polska mogłyby zostać zaangażowane w tę współpracę. Ale to NB8 stanowi istotę tej kooperacji. Mimo że Islandia jest dość daleko od naszego regionu.

Pozostałe cztery przybliżają Islandię do naszego morza. Skoro mówi Pan o współpracy w ramach NB8 i jej znaczeniu, to chciałbym zapytać, jak Estonia definiuje swoją tożsamość. Jako państwo nordyckie czy raczej należące do Europy Środkowej i Wschodniej?

Nasz rząd zrobił coś, co należało zrobić już dawno temu, chodzi o reformę edukacyjną. Posiadaliśmy dwujęzyczny system edukacyjny, estoński i rosyjski. Wprowadzał on podział między Estończykami i Rosjanami. Mijamy więc nadzieję, że ta reforma zostanie wdrożona prawidłowo, a następnie przewyciężymy podziały.

Estonia definiuje się jako państwo północne, ponieważ nordyckość ma szczególne znaczenie, nawet jeśli nordycka unikalność, a następnie sama nordyckość zaczęły ulegać erozji. Nie ma ona obecnie większego znaczenia niż w czasach zimnej wojny. Położenie Estonii przybliży nas do Europy Północnej, która zaczyna się u nas, przechodzi przez Skandynawię, a kończy w Wielkiej Brytanii. Z tego powodu Wielka Brytania jest również postrzegana jako ważny partner regionalny. W tym kontekście definiujemy się przede wszystkim jako Europa Północna, choć w niektórych kwestiach zdecydowanie współpracujemy z Europą Środkową. Ale pojawiają się obawy dotyczące postawy Węgier. W tym kontekście trudno stwierdzić, że istnieje wspólna płaszczyzna dla wszystkich państw w tym regionie. Polityka zagraniczna Estonii jest pragmatyczna, więc jeśli pojawiają się jakiegokolwiek problemy, do których rozwiązania będziemy potrzebować sojuszników, takich jak Polska czy Rumunia, to gramy razem z nimi. Natomiast jeśli potrzebujemy wsparcia ze strony Szwecji czy Danii, to działamy razem z nimi, ale patrząc całościowo – myślę, że podstawową identyfikacją Estonii jest Europa Północna.

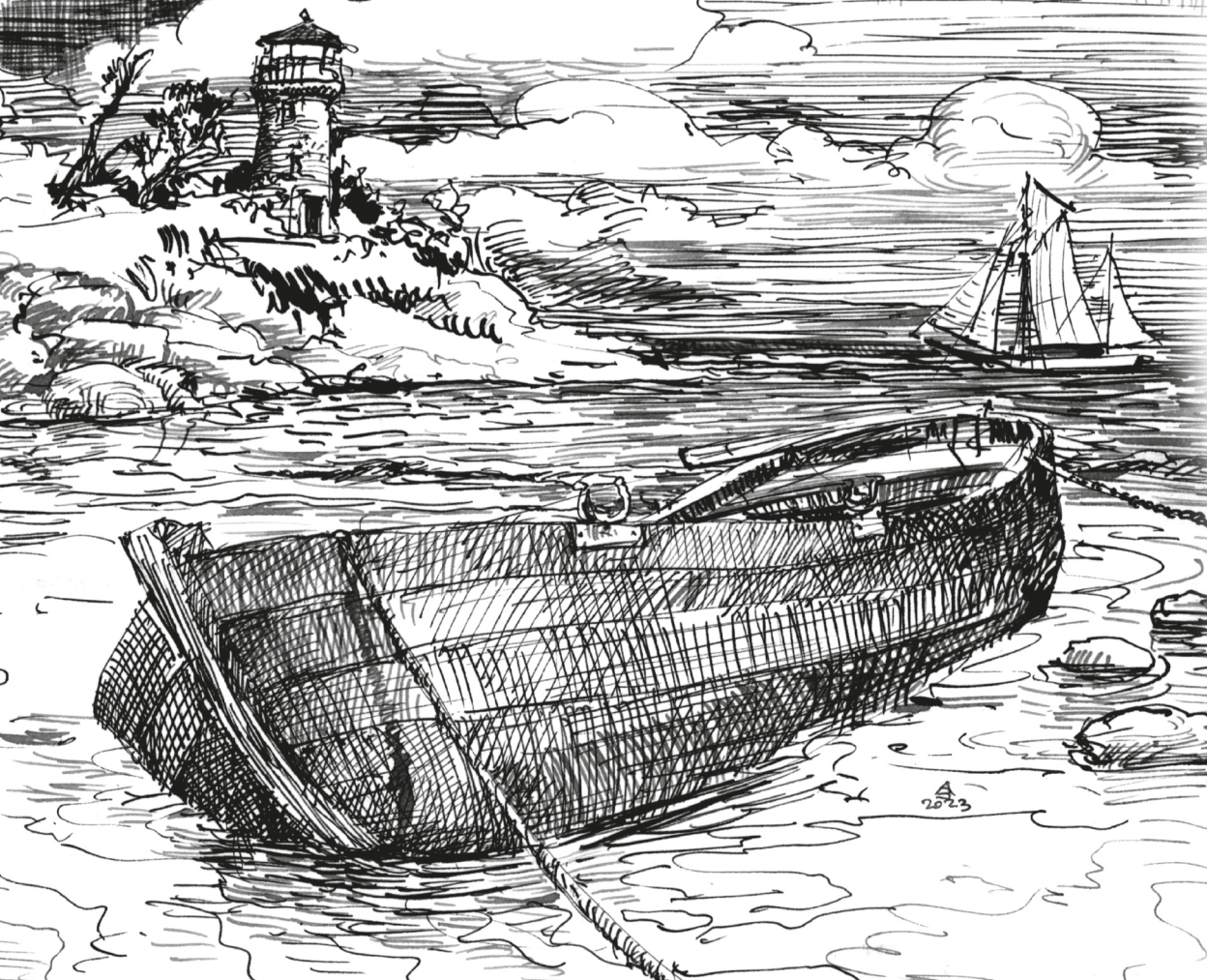
Chciałbym zapytać o doświadczenia Estonii odnośnie do transformacji i możliwości jej wykorzystania przez inne państwa. Estonia od lat postrzegana jest jako jedna z najbardziej konkurencyjnych gospodarek w Europie Środkowej lub – jak Pan wspomniał – w Europie Północnej, która dzięki rozwiązaniom administracyjnym, cyfryzacji i innowacjom tworzy korzystne warunki dla wzrostu gospodarczego. Jakimi doświadczeniami w tym zakresie Estonia może się podzielić z innymi państwami, które są w trakcie procesu transformacji lub w przyszłości będą go przechodzić? Jaka jest rola polityki naukowej i utrzymywania wysokich wydatków na badania i rozwój?

Wszystkie partie polityczne zobowiązały się publicznie, że utrzymają finansowanie badań na poziomie 1 procenta PKB, ale jednocześnie estońscy naukowcy są sprawni w poszukiwaniu funduszy badawczych. Myślę więc, że w przeliczeniu na jednego mieszkańca Estonia jest z pewnością jednym z wiodących państw wśród „nowych członków”. Pewnym paradoksem pozostaje fakt, że pomimo tego, że jesteśmy w Unii Europejskiej prawie dwadzieścia lat, wciąż nazywa się nas nowymi członkami – ale Wspólnota w dalszym ciągu stosuje ten podział. W tym kontekście estońscy naukowcy radzą sobie całkiem dobrze, co odzwierciedlają także indeksy referencyjne. Myślę, że częściowo wynika to z faktu, że Estonia

jest mała, więc nie można polegać tylko na odbiorcach wewnętrznych, tak jak w przypadku Polski, gdzie możliwe jest bazowanie na krajowej publiczności, publikacjach i prowadzeniu badań bez angażowania przy tym społeczności międzynarodowej. W kontekście estońskim jest to naprawdę trudne, ponieważ Estonia jest tak mała, a więc mamy do czynienia tu z czystym pragmatyzmem.

Jest to więc czysto pragmatyczna zachęta do umiędzynarodowienia i szukania możliwości rozwoju za granicą?

Tak. Aby sprowadzić te fundusze również spoza kraju. Obszar, w którym prawdopodobnie pozostajemy w tyle lub który musimy w jakiś sposób uczynić bardziej znaczącym, dotyczy zwiększania zaangażowania sektora biznesowego lub prywatnego w finansowanie nauki. Przedsiębiorcy często mówią, że nie widzą, jakie korzyści mogą im przynieść uniwersytety, a naukowcy nie wiedzą, komu zaoferować swoje badania. Estonia jest więc w trakcie procesu transformacji z państwa taniej siły roboczej do państwa zajmującego się produkcją i usługami w sektorach o wyższej wartości. Myślę, że jest to coś, co będzie determinować rozwój w najbliższych latach. Ponadto istnieje również wiele strategii rządowych, w których duży nacisk kładzie się na uniwersytety, aby współpracowały z sektorem prywatnym. Istnieje zapotrzebowanie, by przenosić pracowników uniwersyteckich na tymczasowe staże w sektorze prywatnym po to, aby zbudować pomost między nim a uniwersytetem. Jest to więc przykład świadomej polityki w tym zakresie. Nie chodzi tylko o to, że rząd inwestuje. Oczywiście, jeśli porównamy się z państwami skandynawskimi, to zobaczymy, że proporcje finansowania uniwersytetów są tutaj niższe. Ale chodzi również o to, jak promować zaangażowanie sektora prywatnego i aplikować o fundusze zagraniczne.



Współpraca, zgoda i niewielkie oczekiwania

Z Wojciechem Woźniakiem, socjologiem,
autorem poświęconej Finlandii książki
Państwo, które działa,
rozmawia Małgorzata Olszewska

Dr hab. Wojciech Woźniak – socjolog, profesor Uniwersytetu Łódzkiego. Jego zainteresowania naukowe dotyczą fińskiego modelu społeczno-gospodarczego, relacji między sportem a polityką, nierówności społecznych oraz dyskursu publicznego (szczególnie zjawiska paniki moralnej). Jest autorem lub współautorem czterech książek oraz ponad 50 innych recenzowanych tekstów naukowych, członkiem Polskiego i Fińskiego Towarzystwa Socjologicznego (Westermarck Society). W roku akademickim 2022/2023 pracował na Uniwersytecie w Helsinkach w ramach programu im. Bekkera Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej. W czasie wolnym biega i czyta kryminały, wiernie kibicuje Widzewowi Łódź.

Małgorzata Olszewska – niezależna dziennikarka i redaktorka. Specjalizuje się w tematyce kulturalnej i społecznej. Publikowała m.in. w Onet.pl, Interia.pl, krakowskich i warszawskich dziennikach, serwisach Polskiej Akcji Humanitarnej, Fundacji „Znak”, Stowarzyszenia Interwencji Prawnej. Wolontariuszka organizacji zajmujących się dialogiem międzykulturowym. Nie wyobraża sobie dnia bez sportu i roku bez podróży.

I Małgorzata Olszewska: Jak zbudować działające państwo?

Wojciech Woźniak: Takie państwo jest proaktywne w stosunku do obywateli, a rzeczy w nim – przynajmniej w znacznym stopniu – funkcjonują, jak należy. Finowie, którym udało się w XX wieku stworzyć tego typu model, kierują się kilkoma wartościami. Najważniejszą jest równość wszystkich obywateli. Istnieje tu silnie zinternalizowane przekonanie, że działania państwa są podejmowane dla wspólnego dobra, a wprowadzane rozwiązania powinny przynosić korzyść wszystkim członkom wspólnoty. Kolejne sprawy to pragmatyzm oraz instrumentalne podejście do posiadanych zasobów. To oczywiście wiąże się z warunkami życia. W Finlandii praktycznie nie ma surowców naturalnych, a okres wegetacyjny trwa od czterech do sześciu miesięcy, więc możliwości uprawy są ograniczone. Finowie wiedzą, że aby sobie poradzić, muszą liczyć na siebie i na swoją wspólnotę oraz maksymalnie wykorzystywać to, co mają. I jakkolwiek brutalnie to brzmi, chodzi o zasoby nie tylko materialne, ale i ludzkie.

Przekonanie o znaczeniu współpracy jest chyba duże, skoro – jak pisze Pan w książce – na początku XX wieku fińskie firmy dzieliły się specjalistami.

Na tym polegał fiński kapitalizm kooperacyjny. Jedną z zasad było maksymalne wykorzystanie wewnętrznych zasobów, żeby poradzić sobie w konkurencji z zewnętrznymi podmiotami. Na początku XX wieku Finlandia była biednym krajem, brakowało osób mających konkretne umiejętności.

Finowie wyjeżdżali za granicę, żeby się kształcić, a po powrocie pracowali jednocześnie dla różnych przedsiębiorstw. Dzielenie się było konieczne dla rozwoju tych firm, a w konsekwencji dla rozwoju gospodarczego państwa.

Podobnie jak dogadywanie się, nawet w przypadku odmiennych poglądów?

W zbiorowej pamięci Finów wciąż żywe jest wspomnienie krwawej wojny domowej z 1918 roku, która wybuchła niedługo po uzyskaniu przez kraj niepodległości. Ludzie wiedzą, do czego mogą doprowadzić skrajne polityczne namiętności. To hamuje radykalizmy i skłania do szukania porozumienia. Konsensus jest w Finlandii jedną z najważniejszych wartości. Choć jeśli ktoś mieszka tu dłużej i zaczyna się uważniej przyglądać zjawisku, zauważa, że to często tylko fasada. Przegrani w politycznej grze wolą sprzedać swoje działania jako konsensus niż przyznać się do porażki.

Aby stworzyć kulturę konsensusu, potrzebne są chyba konkretne warunki społeczne? Jakoś nie widzę, żeby to udawało się w Polsce.

W Finlandii udało się to osiągnąć dlatego, że wspólnota była mała i dosyć homogeniczna. Podziały klasowe owszem, istniały, ale nie były tak gigantyczne jak w krajach, gdzie kapitalizm rozwinął się szybciej albo gdzie, jak w dawnej Polsce, istniała pańszczyzna. W czasie, kiedy car dopiero znosił pańszczyznę na ziemiach Królestwa Kongresowego, przedstawiciele najzamożniejszych chłopów już zasiadali w parlamencie stanowym w Helsinkach.

Finowie zaimponowali mi też tym, że pozorną porażkę – konieczność spłaty olbrzymich długów po II wojnie światowej – potrafili przekuć w niesamowity sukces finansowy. W ciągu kilku dekad z peryferyjnego kraju stali się jednym z państw gospodarczego centrum.

Druga wojna światowa pokazała wielu ludziom, że w ogóle istnieje taki kraj jak Finlandia. Okazało się, że gdzieś na rubieżach świata zachodniego jest mały, dzielny naród, który stawia czoła sowieckiej nawale. We wszystkich muzeach w kraju związanych z wojną zimową 1939-1940 znajduje się okładka „New York Timesa” z końca 1939 roku z czołówką poświęconą temu, jak bronią się Finowie. Kolejne epizody wojny, czyli przegrana z ZSRR i sojusz z III Rzeszą, to już jednak część brzemienia historycznego kraju. Po wojnie Finlandia była zmuszona do płacenia reparacji na rzecz Związku Radzieckiego, przy czym jako jedyny kraj z byłych państw Osi

splaciła swoje długi do ostatniego centa. Ten fakt jest do dziś bardzo ważny dla obywateli.

| Chodzi o honor?

Raczej o takie zwykłe, rzeczowe podejście, że długi się spłaca. Po prostu. W dodatku robi się to samemu. Finlandii nikt nie pomógł, pod presją Moskwy nie przystąpiła do planu Marshalla. Ale szczególnie ważne dla rozwoju gospodarczego było to, że kraj nie był okupowany, więc przemysł fiński nie został zniszczony podczas wojny, a odszkodowanie było wypłacane głównie w naturze, w produkcji przemysłowej. Te warunki poskutkowały przyspieszoną industrializacją kraju i bardzo dużymi inwestycjami w badania, rozwój oraz edukację.

| Z których korzystają też obywatele.

Prywatna przedsiębiorczość, państwo i publiczne instytucje naukowe działają tu według tzw. modelu potrójnej helisy. Współpracują w celu wytworzenia synergii, która zwiększy innowacyjność gospodarki i poprawi sytuację ekonomiczną kraju, a w konsekwencji również jakość życia mieszkańców. Przy czym nie jest tak, że dochód narodowy jest dystrybuowany dopiero wtedy, gdy w budżecie pojawiają się nadwyżki. Później niż w innych krajach nordyckich, ale Finlandia, gdy tylko uzyskała niepodległość, budowała podstawy państwa opiekuńczego. To pozwoliło osiągnąć spokój społeczny i najwyższy z możliwych do osiągnięcia poziom życia. Oczywiście takie podejście wiąże się z wysokim podatkiem progresywnym, wymaga więc rozwiniętego poczucia wspólnotowości.

| Najbardziej spektakularnym przykładem działań państwa w obszarze gospodarki był sukces Nokii wspieranej przez Sitrę.

Sitra, czyli Narodowy Fundusz Badań i Rozwoju, powstała w 1967 roku i była prezentem, który Finowie zrobili sobie na 50. urodziny niepodległego kraju. To instytucja rządowa, która ma stymulować współpracę między biznesem, środowiskiem akademickim i państwem. Stanowi rodzaj *think tanku* powołanego do prognozowania, w którą stronę będzie się rozwijać gospodarka i jakie badania naukowe powinny ten rozwój wspierać. Wówczas, w latach

W zbiorowej pamięci Finów wciąż żywe jest wspomnienie krwawej wojny domowej z 1918 roku, która wybuchła niedługo po uzyskaniu przez kraj niepodległości. Ludzie wiedzą, do czego mogą doprowadzić skrajne polityczne namiętności. To hamuje radykalizmy i skłania do szukania porozumienia.

sześćdziesiątych i siedemdziesiątych działała też jako instytucja *venture capital*, finansując spółki w sektorach uznanych za przyszłościowe. Ponieważ w Finlandii nie było wielkich korporacji czy kapitalistycznych rodów, to kraj wziął na siebie rolę inwestora. Ekonomistka Mariana Mazzucato, autorka *Przedsiębiorczego państwa*, w swojej książce wspomina o Sitrze i dowodzi, że wbrew stereotypom to właśnie państwo jest znacznie częściej niż sektor prywatny skłonne do podejmowania ryzykownych decyzji i finansowania rozwiązań, które wydają się obiecujące, ale mogą też nie wypalić.

W przypadku Nokii odważna i wizjonerska okazała się też decyzja wycofania się z inwestycji.

Sitra gwarantuje sobie udział w portfolio wspieranych spółek. Oznacza to, że gdy Nokia na początku XXI wieku stała się największym światowym graczem w dziedzinie telefonii komórkowej, wartość akcji, które należały do Sitry, czyli *de facto* do państwa fińskiego, szła w setki milionów dolarów. Na przełomie XX i XXI wieku, jak się okazuje w szczytowym momencie maksymalnej wyceny wartości akcji firmy, Sitra większość udziałów sprzedała, inwestując je w fundusze niższego ryzyka i wspierając setki nowych firm. Pokazuje to, że w instytucjach publicznych mogą pracować specjaliści od rynku kapitałowego, którzy nierzadko mają lepsze wyczucie czy zmysł inwestycyjny niż ci w sektorze bankowości prywatnej.

Czy państwo nadal stymuluje rozwój technologii?

Tak, Finlandia, niezależnie od tego, kto w danym momencie sprawuje władzę, stara się przedstawiać jako kraj innowacyjny, kraj rozwiązań. Rządzący wychodzą z założenia, że finansowanie nowych technologii oraz badań i rozwoju to inwestycje, a nie wydatki. Państwo dzisiaj wydaje mniej niż w rekordowych latach, gdy na badania i rozwój przeznaczano nawet 3,5 procent PKB. Niemniej wciąż dominuje przekonanie, że to bardzo dobrze wydawane środki. Wygląda więc na to, że w tych obszarach nie będzie drastycznych cięć budżetowych.

Które dziedziny będą się szczególnie mocno rozwijać?

Pierwsza to start-upy. Finlandia już dziś jest postrzegana jako kraj start-upów. Odbywa się tu największe na świecie wydarzenie branżowe, czyli Slush. To rodzaj targów, podczas których młodzi właściciele firm IT nawiązują kontakty z potencjalnymi inwestorami. W 2022 roku gości-

nią specjalną Slushu była Sanna Marin, która podkreślała, jak ważne dla państwa jest wspieranie innowacyjności. Start-upy funkcjonują też mocno w sektorze zielonych technologii i dla wszystkich jest jasne, że to właśnie będzie *next big thing* w przypadku Finlandii. Kraj ma bardzo rozwinięte technologie wspierające transformację energetyczną, na przykład infrastrukturę związaną z samochodami elektrycznymi czy elektrowniami wiatrowymi. Finowie mają świadomość, że pójście w tę stronę może zaowocować wielkim sukcesem na światowym rynku. I wreszcie rzecz z ostatniej chwili, czyli technologie 6G. Na początku czerwca w Helsinkach gościł sekretarz stanu Stanów

Zjednoczonych Antony Blinken, który spotkał się z wciąż pełniącą obowiązki premierki Sanną Marin i ministrem spraw zagranicznych Pekką Haavisto. Jednym z tematów rozmów były perspektywy rozwoju 6G. Chodzi o to, żeby kraje demokratyczne – i należące do NATO – współdziałały w tym obszarze i zapewniły sobie konkurencyjną pozycję względem Chin, które najprawdopodobniej też intensywnie rozwijają tę technologię.

Skoro inwestycje mają wpływać na dobrobyt obywateli, to czego od państwa może oczekiwać Fin lub Finka? Rodzi się dziecko – i co dalej?

Polityka społeczna Finlandii opiera się na dążeniu do zaspokajania najważniejszych potrzeb obywateli na różnych etapach ich życia. Już przyszła matka jest objęta wsparciem publicznych instytucji zdrowotnych i ma dostęp do różnego rodzaju badań, które pozwalają jej bezpiecznie donosić ciążę. Finlandia, nawet gdy była jeszcze bardzo biednym krajem, miała niski współczynnik śmiertelności niemowląt. Wynikało to właśnie z zachęcania kobiet, by badały się w czasie ciąży. Używano do tego prostego narzędzia. Słynne fińskie baby boxy, czyli pudełka z jedzeniem, ubrankami i akcesoriami, które rodzice otrzymują z okazji narodzin dziecka, to pomysł wprowadzony już latach trzydziestych XX wieku. Aby mieć prawo do takiego wsparcia, kobieta musiała być pod stałą opieką lekarza w czasie ciąży. To rozwiązanie, które sprawdza się do dziś, a jednocześnie jest przykładem pragmatyzmu pań-

Druga wojna światowa uświadomiła wielu ludziom, że istnieje taki kraj jak Finlandia. Okazało się, że na rubieżach świata zachodniego jest dzielny naród, który stawia czoła sowieckiej nawale.

We wszystkich muzeach w kraju poświęconych wojnie zimowej 1939-1940 znajduje się okładka „New York Timesa” z końca 1939 roku z czołówką poświęconą walce Finów.

stwa. Oznacza po prostu mniej wydatków na późniejszą opiekę zdrowotną. Ponadto w kraju o małej liczbie ludności naprawdę ważne jest to, żeby każdy człowiek miał się dobrze i został produktywnym członkiem społeczeństwa.

| Baby box to niejedyna pomoc dla rodziców?

Oczywiście, że nie. Dostęp do żłobków i przedszkoli jest w Finlandii powszechny. Fenomenem, już bardzo dobrze opisanym, jest całkowicie bezpłatna edukacja, włączając w to finansowane przez państwo podręczniki czy dojazdy do szkoły. O wyjątkowości tego systemu stanowi absolutna równość, czyli dążenie do zapewnienia dostępu do edukacji takiej samej jakości niezależnie od tego, z jakiej klasy społecznej pochodzi uczeń albo gdzie mieszka. Czy to w centrum Helsinek, czy 350 kilometrów za kołem podbiegunowym – bo takie szkoły też odwiedzałem – wyposażenie klas, posiłki w szkole czy wykształcenie nauczycieli będą na zbliżonym poziomie. W Finlandii poza nielicznymi wyjątkami, takimi jak szkoły religijne czy funkcjonujące przy ambasadach szkoły międzynarodowe, praktycznie nie ma szkolnictwa prywatnego. Panuje tu powszechna zgoda co do tego, że edukacja nie jest dobrem rynkowym. Studentom dziennym z kolei państwo oferuje stypendia w wysokości kilkuset euro, by koncentrowali się na studiach, a nie zarabianiu na życie. Pracować mogą tylko w ograniczonym wymiarze godzin, co jest – podobnie jak osiągnięcia w nauce – weryfikowane przez instytucje państwa. Przy braku postępów można być zmuszonym do oddania stypendium. Są też inne formy wsparcia, takie jak subsydiowanie posiłków w stołówce studenckiej. Obiad z dofinansowaniem studenta kosztuje niecałe 3 euro, z kolei pracownicy akademicy płacą 7 euro, więc to spore udogodnienie.

| Po zakończeniu edukacji nasz fiński obywatel wchodzi na rynek pracy. Co tam zastaje?

W 80-90 procentach przedsiębiorstw istnieją zbiorowe układy pracy, więc ma dużą szansę zatrudnić się w sektorze, w którym od samego początku będzie znać wysokość przyszłych zarobków, a jego prawa będą przestrzegane. Problem pojawia się wtedy, gdy ktoś ma niskie wykształcenie, brakuje mu doświadczenia zawodowego lub nie zna wystarczająco dobrze fińskiego. Trafia wtedy do segmentu rynku pracy, który nie jest regulowany. Kilkanaście lat temu pojawiło się zjawisko pracujących biednych, wcześniej nieznanego w Finlandii. Mówimy tu o nisko płatnych zajęciach oraz o *platform economy*, czyli usługach

opartych na różnego rodzaju aplikacjach internetowych. Uzwiązkowienie tego sektora – a obejmuje on według moich szacunków nawet kilkanaście procent rynku pracy – jest dużym wyzwaniem, z którym Finowie na razie sobie nie poradzili. Można mieć wrażenie, że w tym zakresie władze kraju czekają na ruch Unii Europejskiej, która szykuje dyrektywę dotyczące tego segmentu rynku pracy.

| A jak wygląda sytuacja imigrantów?

Jest im trudno. Finlandia ma restrykcyjną politykę migracyjną, a rynek pracy dla osób z zewnątrz to obszar, w którym państwo nie działa dobrze na żadnym poziomie. Wysokiej klasy specjaliści spoza Unii Europejskiej muszą miesiącami czekać na wizę. Jeszcze gorzej jest osobom mającym status uchodźcy. Barierej stanowi przede wszystkim wymóg znajomości fińskiego albo szwedzkiego, a najczęściej obu tych języków. Badania socjologiczne, prowadzone przy zastosowaniu najbanalniejszej metody, polegającej na wysłaniu tego samego CV podpisanego fińskim oraz obco brzmiącym imieniem i nazwiskiem, pokazały, że jest bardzo duża preferencja dla swoich. Innym problemem są warunki zatrudnienia pracowników tymczasowych, przyjeżdżających głównie z Azji. Podlegają Migri, czyli urzędowi migracyjnemu, ale są wyłączeni z regulacji dotyczących rynku pracy. Co jakiś czas trafiają do mediów informacje o tym, że traktuje się ich w sposób niezgodny z jakimikolwiek zasadami bezpieczeństwa. Było to szczególnie widoczne w okresie pandemii, kiedy masowo zapadali na COVID-19.

| Po zmianie rządu może być jeszcze trudniej.

Drugie miejsce w kwietniowych wyborach parlamentarnych zajęła nacjonalistyczna Partia Finów. Jednym z jej postulatów jest dalsze ograniczenie imigracji oraz wsparcia dla uchodźców – poza tymi z Ukrainy, których nawet najskrajniejsza fińska parlamentarna prawica chce przyjmować i wspierać. Trzeba pamiętać, że mimo relatywnie jak na Europę wysokiego poziomu bezrobocia – obecnie wynosi 6-7 procent – podaż pracy w kraju nadal przewyższa popyt. Pozostałe ugrupowania nie mają więc wątpliwości, że bez przyjęcia większej liczby migrantów będzie trudno utrzymać

Finlandia, niezależnie od tego, kto w danym momencie sprawuje władzę, stara się przedstawiać jako kraj innowacyjny. Rządzący wychodzą z założenia, że finansowanie nowych technologii oraz badań i rozwoju to inwestycje, a nie wydatki.

rozwój gospodarczy. Fakt, że liberalne gospodarczo ugrupowanie Kokoomus (Partia Koalicyjna) zgodziło się w programie rządu na znaczące koncesje na rzecz zaostrzania polityki migracyjnej promowanej przez Partię Finów jest więc dość zaskakujący. Być może nowy premier Petteri Orpo zdaje sobie sprawę, że zapisanych w programie rządu rozwiązań nie da się wdrożyć w praktyce ze względu na ich niezgodność z konstytucją i innymi ustawami. A zapotrzebowanie na imigrantów będzie rosło z przyczyn demograficznych. Finlandia ma bardzo niski współczynnik dzietności.

| Wynosi 1,37, czyli tyle, co w Polsce. Katastrofalnie mało. Dlaczego tak się dzieje?

Rynek pracy jest coraz bardziej niepewny, więc rośnie odsetek ludzi, którzy określają swoją sytuację życiową jako niestabilną. W związku z tym nie decydują się nie tylko na kolejne, ale nawet na pierwsze dziecko – szczególnie dotyczy to właśnie osób o niższych dochodach i w trudnej sytuacji zawodowej. Poza czynnikami ekonomicznymi są też obyczajowe. Problemem w Finlandii jest coraz większa krótkotrwałość związków, które rozpadają się, zanim dotrą do fazy „miejmy dziecko”. Z badań wynika, że ważną zmienną jest tu rozdzźwięk między aspiracjami kobiet a „podażą” mężczyzn „odpowiedniej jakości”. W efekcie ponad połowa gospodarstw domowych to gospodarstwa jednoosobowe. Ostatnio usłyszałem w wywiadzie od eksperta: „Coraz więcej kobiet stara się o dziecko samodzielnie, nie ze względu na swoją orientację seksualną, ale trudność ze znalezieniem odpowiedniego mężczyzny”.

Odbija się to na sytuacji kraju, maleje liczba zasobów ludzkich. I nie bardzo wiadomo, jak temu zaradzić. Państwo opiekuńcze zrobiło już chyba wszystko, co mogło, a dalsze podejmowanie tego tematu, na przykład w ramach kampanii społecznej, byłoby uznane za ingerencję w prywatność obywateli.

| Czyli w Finlandii nie wszystko działa?

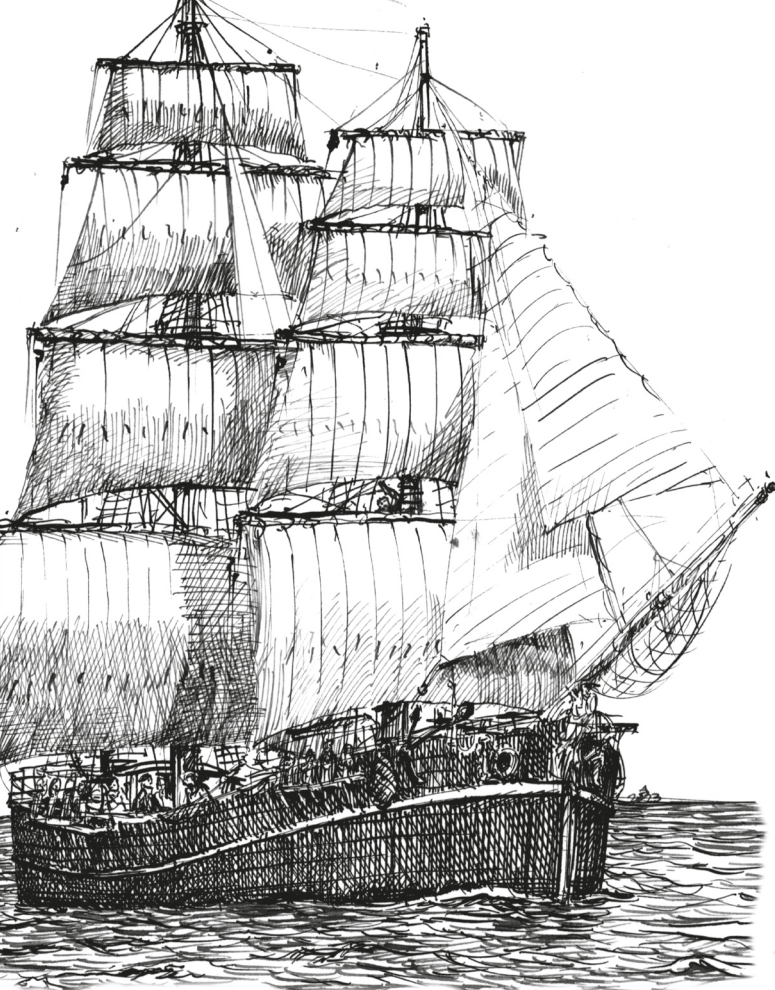
Zdecydowanie nie i przyznam, że im więcej czasu tu spędzam, tym chętniej zajmuję się obszarami, w których nie jest idealnie. Ktoś nawet mnie spytał, czy dałbym radę napisać sequel książki pt. *Państwo, które nie działa*. Ewentualnie *Państwo, które działało*, bo pewnych rozwiązań, które się doskonale sprawdziły w przeszłości, nie da się obecnie powtórzyć. Mam wrażenie, że defetystyczne przekonanie, że *There is No Alternative* i państwo powinno wycofywać się z części swoich zobowiązań, zagościło też

w Finlandii. Państwo, które było aktywne, realizowało wielkie, zmieniające rzeczywistość społeczną i gospodarczą reformy, brało odpowiedzialność za różne obszary życia społecznego, ściśle je jednocześnie kontrolując, dzisiaj nie może sobie poradzić z deficytem osób do pracy w sektorze opiekuńczym czy brakiem pielęgniarek. Kiedyś wydawano wielkie środki na badania w dziedzinie suicydologii i programy profilaktyki przeciwdziałającej samobójstwom, dzisiaj istnieją problemy z korporacją zawodową kontrolującą kształcenie i certyfikację psychoterapeutów, przez co jest ich zdecydowanie za mało w stosunku do potrzeb. Gdy robiłem wywiady z najbardziej uznanymi fińskimi psychiatrami, słyszałem w ich głosie defetyzm i przeświadczenie, że nic się nie da zrobić. O polityce migracyjnej już wspominałem. Od początku lat dziewięćdziesiątych liczba obcokrajowców mieszkających w Finlandii wzrosła ośmiokrotnie. Zarówno krytyczne naukowe diagnozy, jak i zwykłe ludzkie narzekania na instytucje mające zarządzać tym zjawiskiem czytam i słyszę od przynajmniej dekady i niewiele się zmienia.

Polityka społeczna Finlandii opiera się na dążeniu do zaspokajania najważniejszych potrzeb obywateli na różnych etapach ich życia. Ciężarna kobieta objęta jest wsparciem publicznych instytucji zdrowotnych i ma dostęp do różnego rodzaju badań, które pozwalają jej bezpiecznie doczekać dnia narodzin.

Ale w rankingach na najszczęśliwsze państwo świata Finlandia po raz kolejny zajęła pierwsze miejsce.

Nadal wysokie jest tu poczucie osobistego bezpieczeństwa i stabilności zapewnianej przez działające instytucje. Niższe niż gdzie indziej są różnice statusowe, pod względem zarówno sytuacji ekonomicznej, jak i prestiżu społecznego. Tak interpretują tę fińską szczęśliwość, niezgodną ze stereotypem i autostereotypem nacji skłonnej do melancholii, badacze zaangażowani w tworzenie World Happiness Report. Ale przemawia też do mnie interpretacja mieszkającego w Stanach fińskiego socjologa Jukka Savolainena, zgodnie z którą poczucie szczęścia to nie tylko kwestia państwa opiekuńczego, fińskiej wersji *hygge*, pięknej przyrody czy wypijanego alkoholu (to też zresztą niekoniecznie prawdziwy stereotyp). Chodzi też o bardzo realistyczne oczekiwania wobec życia i pamięć o tym, że zawsze może być gorzej, że jeszcze nie tak dawno było dużo gorzej. Dzięki temu Finowie są zadowoleni z tego, co mają.



**Staliśmy się
Rosją
bardziej,
niż byliśmy**

Z Anną Alimpijewą, rosyjską socjolożką,
rozmawia Paulina Siegień

Anna Alimpijewa jest rosyjską socjolożką z Królewca, przez wiele lat docentka Federalnego Uniwersytetu im. Kanta, współautorka badań dotyczących tożsamości mieszkańców obwodu królewieckiego, aktywistka miejska, feministka.

Paulina Siegień jest dziennikarką, publicystką zajmującą się tematyką wschodnią. Autorka książki *Miasto bajka. Wiele historii Kaliningradu* opublikowanej w Wydawnictwie Czarne.

Paulina Siegień: Pewien polski poseł powiedział jakiś czas temu, że Polska nie graniczy z cywilnym regionem, ale z rosyjską bazą wojskową. Chodziło mu oczywiście o obwód królewiecki. Jak naprawdę wygląda struktura społeczna tego regionu?

Anna Alimpijewa: Liczba ludności w obwodzie w 2018 roku przekroczyła milion i chyba trudno sobie wyobrazić, by wszyscy byli wojskowymi, bo byłby to czarny scenariusz dla naszych sąsiadów. Dodam też, że co roku nasz region odwiedza około 2 milionów turystów. Do jednej wielkiej bazy wojskowej turyści raczej by nie przyjechali. W życiu codziennym militaryzacja regionu, może poza Bałtyjskiem, gdzie mieści się baza Floty Bałtyckiej, nie jest odczuwalna. Na pewno nie jest tak, że na ulicy w Kaliningradzie* mijają się co chwila ludzie w mundurach. A jeśli chodzi o militaryzację świadomości społecznej, o plakaty, naklejki o wojennej wymowie czy małe dzieci poprzebierane w mundury z okazji 9 maja, to nie sądzę, by w obwodzie kaliningradzkim te zjawiska były jakoś silniej odczuwalne niż w innych regionach Rosji.

A czy wiadomo, ilu wojskowych jest w obwodzie?

W przypadku zarówno wojska, jak i innych formacji mundurowych liczba funkcjonariuszy nie jest jawna. Dlatego nie jestem w stanie podać żadnej prawdopodobnej wielkości i obawiam się, że nawet gdybym ją zmyśliła, to i tak otarłabym się o zarzuty o zdradę tajemnicy państwowej. Ale niewątpliwie wojskowi i mundurowi są obecni w obwodzie i stanowią jedną z grup społecznych tworzących lokalną społeczność.

| Jeśli wojskowych weźmiemy w nawias, to kim są pozostali?

Struktura demograficzna i etniczna obwodu jest dość typowa, większość to osoby identyfikujące się jako Rosjanie, a pozostali to reprezentanci ponad stu narodowości, z przewagą Ukraińców i Białorusinów. Takie dane niewiele mówią o społecznej specyfice regionu. Prowadząc przez wiele lat (od 2001 roku) regularne badania socjologiczne w regionie, miałam okazję przyjrzeć się innym kategoriom, które okazały się znaczące w tym kontekście, w tym takie jak kwestia urodzenia w regionie, migracji, stażu zamieszkania.

| Podział na zasymilowanych i nowicjuszy?

Asymilacja nie jest dobrym słowem, bo nie jest jasne, do czego mieliby się asymilować Rosjanie migrujący z innych regionów Rosji do obwodu kaliningradzkiego. Lokalny koloryt i uwarunkowania to coś, co znajdziemy prawie w każdym regionie Rosji, a o odrębnej kulturze nie możemy w kontekście obwodu mówić. Z badań wynikało zaś, że jeśli ktoś mieszka tutaj dłużej niż 5 lat, to jest już skłonny uważać się za miejscowego.

| A czy da się stwierdzić, jaki odsetek osób to osoby urodzone w obwodzie królewieckim, a jaki odsetek to przyjezdni?

Nie mam świeżych danych, ale kilka-kilkanaście lat temu osób, które się tu urodziły, było mniej więcej 45 procent.

| Mało.

Ten odsetek z biegiem czasu powoli rośnie, ale to normalne w sytuacji, kiedy mamy do czynienia z regionem, którego społeczeństwo powstało w całości w wyniku migracji. A ta zaczęła się w 1945 roku i wciąż trwa. Aż się prosi, żeby opisując obwód kaliningradzki, użyć amerykańskiego określenia. My też jesteśmy jak gorąca zupa w kotle, do której cały czas ktoś dodaje kolejne składniki. Jakiś stały, określony smak nie zdążył się jeszcze wygotować, a cały czas dodawane są nowe składniki. Dlatego trudno uchwycić, czym jest ta kaliningradzkość, czyli jakaś lokalna tożsamość, o której z takim zapałem toczono są dyskusje w regionie i poza nim.

Pytanie o tożsamość zawsze pada w kontekście Królewca, zwłaszcza za granicą. Wynika z przekonania, że ludzie, którzy żyją w oderwaniu od reszty kraju, muszą być w jakiś sposób inni, wytworzyć coś na kształt tożsamości wyspiarskiej.

Kiedy na początku lat dwutysięcznych zaczęliśmy badania nad tożsamością regionalną na Uniwersytecie im. Kanta, sensem tych badań było przeanalizowanie, czy kolejne powojenne fale migracji zdołały w ogóle wytworzyć jakieś więzi społeczne, które pozwalają traktować ludzi tutaj jako spójną grupę, wspólnotę, społeczność. Dopiero wiele lat później zupełnie odwrócono sens badań i refleksji na ten temat, sugerując, że osoby, które interesują się „kaliningradzką tożsamością”, to jacyś separatyści, którzy chcą odewniania regionu od Rosji. Nie, zlecenie na te badania przyszło z góry, od władz regionalnych, wynikało z obawy, że lokalne społeczeństwo właściwie się nie wytworzyło, a więc jest niestabilne i trudno będzie nim zarządzać.

Idealny Kaliningrad nie stanowi kolonii autorytarne rosyjskiego reżimu, to otwarty na świat region, przyjazny sąsiadom, który integruje się z europejską wspólnotą. To region, który przepracował swoją trudną historię i kulturową traumę, również przez pryzmat obecnej wojny.

Ponad rok trwa wojna, na Rosję nałożono sankcje i ograniczenia transportowe, które bardzo mocno odbijają się na obwodzie królewieckim. Czy wpływa to na procesy migracyjne?

Nawet według oficjalnej statystyki w 2022 roku saldo migracji spadło w porównaniu z 2021 rokiem i nie zrekompensowało negatywnego przyrostu naturalnego. Do obwodu kaliningradzkiego w 2022 roku przyjechało też mniej turystów. Przyczyny są zrozumiałe – obserwując sytuację z głębi Rosji, zwłaszcza za pośrednictwem telewizji, można odnieść wrażenie, że otoczeni przez NATO jesteśmy tutaj strefą przyfrontową, że jesteśmy regularnie bombardowani. A migrantom z innych regionów obwód wcześniej oferował, poza łagodnym klimatem, także bliskość Europy, możliwość podróżowania. Dzisiaj ta oferta jest nieaktualna, a jeśli dołożymy lęki przed eskalacją wojenną i ekonomiczne problemy regionu, to rzeczywiście byłoby bardzo ryzykowne przeprowadzać się teraz do Kaliningradu na przykład z Syberii, kupować tu dom czy mieszkanie. Mnie akurat to zatrzymanie migracji cieszy.

I Dlaczego?

Bo niekończące się fale migracji nie pozwalają wykrystalizować się naszej lokalnej społeczności. Destabilizują ją i pociągają za sobą niebezpieczne zjawiska. Chociażby masowe budownictwo mieszkaniowe, którego

jakość, estetyka, poziom wpisania się w krajobraz są po prostu przerażające. Mieszkanie w obwodzie kaliningradzkim było w ostatnich latach bardzo atrakcyjną inwestycją, nawet jeśli ktoś nie planował się tu od razu przeprowadzać, to mógł je wynajmować, także turystom, mógł trzymać je pod kątem emerytury albo liczyć, że będzie można taką nieruchomość odsprzedać z zyskiem. W obecnej sytuacji to wszystko brzmi jak mrzonki.

Z jednej strony ludzie z innych części Rosji nie przyjeżdżają już tak masowo do obwodu królewieckiego, a z drugiej mieszkańcy regionu emigrują z przyczyn politycznych i ekonomicznych, choć wtedy zazwyczaj za granicę. Czy taka emigracja nie jest degradująca dla Królewca? W końcu wyjeżdżają ludzie najlepiej wykształceni, najaktywniejsi, o wysokim poziomie świadomości obywatelskiej. Niekoniecznie. Emigrują głównie te osoby, które mogą swoją pracę spakować w walizkę. W regionie mamy wiele projektów odnowy zabytków historycznych, które realizowane są przez osoby prywatne, stworzone przez nich firmy i stowarzyszenia. Takie osoby nie mogą po prostu spakować się i wyjechać, są przywiązane do tych obiektów i do projektów, które na siebie wzięły. Jeśli ktoś budował swój biznes czy swoją twórczość wokół historycznego dziedzictwa i kulturowej specyfiki regionu, to gdzie pojedzie? Tyle że takie osoby to zazwyczaj ludzie w średnim wieku, którzy dorobili się i jakiegoś kapitału, który mogli zainwestować, i reputacji. Ale ludzie młodzi, dwudziesto- i trzydziestolatkowie, rzeczywiście są nastawieni na emigrację za granicę.

Życie w obwodzie nic im nie oferuje?

Jeśli chodzi o edukację i ścieżki rozwoju osobistego – to niewiele, zwłaszcza teraz. Studia w stolicach, Moskwie czy Petersburgu, są bardzo drogie, dla rodziców dorastających dzieci z regionu naturalnym kierunkiem była Polska. Teraz ten kierunek też jest zamknięty, ale chęć, by wypchnąć dzieci za granicę na wczesnym w miarę etapie edukacji, jest z obawy przed ekonomiczną degradacją regionu jeszcze większa. Z drugiej strony, trudno mi ocenić, czy to się nie będzie zmieniać, bo na dzieci i młodzież państwo przypuściło ofensywę ideologiczną. Nie wiem, jaki będzie jej efekt. Może uda się tak przemielić mózgi młodego pokolenia, żeby zostawali w Rosji i pracowali „ku chwale ojczyzny”.

Czy w regionie możliwe są jeszcze jakieś oddolne inicjatywy społeczne, czy ta skrajna polityzacja zawłaszczyła już wszystkie sfery życia publicznego?

Skrajna polityzacja sprawia, że od wszelkiego rodzaju organizacji czy ruchów oczekuje się skrajnej depolityzacji. Na przykład stowarzyszenie, które dba o dziedzictwo historyczne regionu może działać, byle nie wyrażało najmniejszej nawet krytyki lokalnych władz. I nie chodzi o jakieś górnolotne sprawy. Nie można na przykład skrytykować tego, w jaki sposób „zrewitalizowano” otoczenie miejskiego stawu. Nawet konstruktywna krytyka i rzeczowe uwagi od razu odbierane są jako działanie wrogie, antypaństwowe, spotykają się ze zorganizowanym hejtem. Ludzie, którzy się angażują, oskarżani są o bycie „zagranicznymi agentami”. Więc inicjatywy oddolne mogą istnieć, byle zachowały skrajną neutralność, wręcz niewinność polityczną. Wtedy można liczyć na granty, finansowanie, nawet jakiś rodzaj komunikacji z regionalnymi władzami.

Za mojej pamięci, czyli mniej więcej od połowy lat dwutysięcznych do pandemii, Królewiec bardzo się zmienił, ale trudno mi ocenić, czy to zmiana na lepsze. Czy Twoim zdaniem miasto i region rozwijały się w ostatnich latach?

Jest taka teoria socjologiczna – teoria maszyn wzrostu. W skrócie mówi ona o tym, że jest wzrost i jest rozwój. Elity biznesowe są zorientowane na wzrost, chociaż mówią bez przerwy o rozwoju. Wzrost to zjawisko policzalne, ilościowe. Wzrost jest wtedy, kiedy więcej się buduje, więcej sprzedaje, kiedy zwiększa się skala produkcji. Rozwój to zmiana o charakterze jakościowym, to większy poziom złożoności, dyferencjacja elementów, innowacje, synteza starego i nowego. W Rosji elity biznesowe, które zrosły się z elitami politycznymi, zainteresowane są wyłącznie wzrostem, podobnie jest w Kaliningradzie. W miejskiej radzie dominują deweloperzy, budowlańcy i branża transportowa. Więc mamy nowe budowy, remonty, obiekty infrastruktury, wizualnie miasto wydaje się nowsze, czystsze,

Obwód kaliningradzki jest częścią Federacji Rosyjskiej. Do 24 lutego 2022 roku mogliśmy przynajmniej udawać, że są co prawda jakieś federalne ustawy, normatywy, ale jednak wciąż mamy dużo miejsca na własną, lokalną agendę. Teraz staliśmy się jeszcze bardziej Rosją. Bardziej niż byliśmy. W warunkach sankcji i izolacji jesteśmy uzależnieni od polityki rządu federalnego. I jednocześnie świat zewnętrzny patrzy na nas w zupełnie inny sposób.

a mimo to rozumiem cię, kiedy nie wiesz, czy to zmiana na lepsze, bo to wcale nie jest rozwój.

| Czy możesz dać jakiś przykład?

W przygranicznej miejscowości Żeleznodorożnyj, czyli historycznych Gierdawach [niem. Gerdauen – red.], zrealizowano duży projekt tzw. kapitalnego remontu. Stare, przedwojenne domy odnowiono, nadano im pocztówkowy wygląd. Branża budowlana zarobiła, władze regionalne są zadowolone, ale poza remontem nic się w tej miejscowości nie wydarzyło. Nikt nie stworzył nowych miejsc pracy i mieszkańcy jak pili piwo przed telewizorem, tak nadal piją. Mają ładniejszy widok z okna, tylko tyle. Gigantyczne inwestycje, które prowadzone są w regionie, często nie tylko nie mają żadnego pożytku dla społeczności lokalnej, ale wręcz są dla niej degradujące. To nie rozwój, co najwyżej pseudorozwój, wzrost, który służy przemieleniu środków z budżetu.

| Co masz na myśli?

Tragedia obwodu kaliningradzkiego polega także na tym, że poza lokalnymi elitami mamy jeszcze elity federalne z ich interesami. Największe megaprojekty budowlane i infrastrukturalne to projekty federalne, które niszczą wszystko wokół: przyrodę, krajobraz, dziedzictwo historyczne, komfort życia zwykłych ludzi. Z punktu widzenia tych ostatnich to nie są celowe inwestycje, które poprawiają ich standard życia. Zazwyczaj jest odwrotnie. To wydzieranie atrakcyjnych kulturowo i przyrodniczo terenów pod inwestycje, które polegają na tym, że powiązani z władzą biznesmeni finansowani są z budżetu i zarabiają, a wszyscy dookoła tracą.

| Jaki jest Twoim zdaniem największy problem społeczny w obwodzie królewieckim – taki, który decyduje o jego przyszłości?

Obawiam się, że odpowiadając szczerze na to pytanie, znowu mogę narazić się na jakieś zarzuty, ale postaram się. Otóż obwód kaliningradzki jest częścią Federacji Rosyjskiej. Do 24 lutego 2022 roku mogliśmy przynajmniej udawać, że są co prawda jakieś federalne ustawy, normatywy, ale jednak wciąż mamy dużo miejsca na własną, lokalną agendę. Teraz staliśmy się jeszcze bardziej Rosją. Bardziej niż byliśmy. W warunkach sankcji i izolacji jesteśmy uzależnieni od polityki rządu federalnego. I jednocześnie świat zewnętrzny patrzy na nas w zupełnie inny sposób. Przerwano wspólne

projekty, np. unijny programy współpracy transgranicznej. W ogóle relacje z sąsiadami, z państwami europejskimi zostały zerwane na wszystkich poziomach. To sytuacja bez wyjścia. Dziś największym problemem regionu jest po prostu to, że jesteśmy częścią Rosji. Do innego wniosku nie da się dojść. Jak można dyskutować o rozwoju, skoro zostaliśmy pozbawieni najmniejszej nawet autonomii, prawda do samorządności?

Przez lata, kiedy miałam kontakt z obwodem królewieckim, wydawało mi się, że dla jego mieszkańców możliwość łatwego podróżowania na Zachód to jeden z elementów, wokół których kształtują swoją tożsamość, opowieść o sobie, w której są równoprawnymi Europejczykami. Kiedyś usłyszałam nawet opinię, że jeśli by zabrać im tę możliwość, to wyjdą na ulice, będzie kryzys polityczny. Jak ludzie w obwodzie reagują na zamknięte granice i izolację?

Przyznaję, że należałam do osób, które idealizowały czynnik otwartych granic. Mnie też się wydawało, że ich zamknięcie to będzie krytyczny moment. Ale w międzyczasie wydarzało się coś, co sprawiło, że lokalna społeczność przyjęła izolację dość spokojnie. Mianowicie pandemia, która przez dwa lata przygotowywała grunt. W końcu wtedy granice zamknięto wszędzie, to była decyzja władz, ale nie była polityczna. Poza tym ludzie zajęli się wówczas innymi problemami, chorowali sami albo ich bliscy, panował strach, wszyscy byli bardziej skupieni na sobie, na życiu prywatnym, także na ekonomicznych skutkach lockdownów. Pandemii w Rosji wykorzystano do ostatecznej delegalizacji nawet najmniejszych zgromadzeń publicznych. Wstyd się przyznać, ale czasem oddaję się rozważaniom w spiskowym duchu, że koronawirus powstał nie w chińskim, ale w rosyjskim laboratorium, tak bardzo pandemia była na rękę władzom na Kremlu. To było idealne podglebie dla tego, co w Rosji nazywane jest „specjalną operacją wojskową”.

Nikt nie protestował przeciwko zamkniętym granicom przez dwa lata pandemii, w 2022 roku nikomu to już nawet nie przyszło do głowy, tak?

Tragedia obwodu kaliningradzkiego polega także na tym, że poza lokalnymi elitami mamy jeszcze elity federalne z ich interesami. Największe megaprojekty budowlane i infrastrukturalne to projekty federalne, które niszczą wszystko wokół: przyrodę, krajobraz, dziedzictwo historyczne, komfort życia zwykłych ludzi.

Dokładnie. Chciałabym tutaj zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt izolacji. Kiedy ludzie z naszego regionu jeździli za granicę, mieli nowe punkty odniesienia. Porównywali się do tego, co widzą u sąsiadów. Nawet były gubernator Cukanow zasłynął kiedyś wypowiedzią, która stała się memem: „Litwę już dogoniliśmy, a niedługo dogonimy Polskę”. Pod względem rozwojowym oczywiście. To bardzo zabawne, bo wcale nikogo nie dogoniliśmy, a teraz już na pewno nie mamy żadnych szans w cywilizacyjnym wyścigu, ale chodzi o sam fakt, że przedstawiciel władzy przyznał, że punktem odniesienia dla Kaliningradu nie jest Czelabińsk, ani nawet Moskwa, ale sąsiednie państwa. Kaliningrad nie porównywał się z rosyjskimi miastami, tylko z Gdańskiem, Kłajpedą, Olsztynem. Z miejscami, w których bywaliśmy często i mogliśmy obserwować dynamikę ich rozwoju. Dwa lata pandemii sprawiły, że ludzie przestali jeździć za granicę, odwykli. Mało tego, zaczęli urlopy spędzać w Rosji, eksplorować atrakcyjne turystycznie i podróżniczo miejsca wewnątrz kraju. Punkty odniesienia się zmieniły.

A jeśli ludzie będą coraz mniej podróżować, jeździć i porównywać Królewiec ze światem zewnętrznym, to miasto i cały region będą coraz bardziej upodabniać się do Czelabińska?

Żeby Czelabińsk nie czuł się urażony, wolę w tym kontekście użyć jakiejś potocznej, zbiorczej nazwy rosyjskiego prowincjonalnego średniego miasta, na przykład *Muchozasizyńsk*. Ale co do istoty Twojego pytania, to tak, Kaliningrad już teraz coraz bardziej przypomina *Muchozasizyńsk*, bo to, co się buduje i jak się buduje, to totalna sztampa, to powtarzalne, zunifikowane formy o niskich walorach estetycznych. Następuje prymitywizacja przestrzeni i nie wiem, co by mogło ją zatrzymać.

A jak wyobrażasz sobie idealny Królewiec i obwód królewiecki?

Miasto i region nie noszą imienia Kalinina, nie tylko po polsku, ale także po rosyjsku. Nie wiem, jaką nazwę powinny nosić, ale na pewno nie obecną. Idealny Kaliningrad nie stanowi kolonii autorytarnego rosyjskiego reżimu, to otwarty na świat region, przyjazny sąsiadom, który integruje się z europejską wspólnotą. To region, który przepracował swoją trudną historię i kulturową traumę, również przez pryzmat obecnej wojny. Mieszkańcy szanują dziedzictwo minionych epok, nieważne kto je stworzył. Miasto i obwód rozwijają się w zrównoważony sposób, zgodnie z zasadą rezyliencji, przygotowują się do wyzwań związanych ze zmianami klima-

tu. Miasto K. jest zielone, dużo w nim ogólnodostępnej przestrzeni. Jako mieszkańcy współdecydujemy o kierunkach rozwoju, nie niszczymy tego, co ma dla nas wartość, świadomi przeszłości idziemy do przodu.

- * Na prośbę rozmówczynie zachowałam w polskim tłumaczeniu jej wypowiedzi nazwy *Kaliningrad* i obwód *kaliningradzki*, ponieważ jej zdaniem lepiej oddają one obecny kształt i kondycję miejsc, o których mowa w wywiadzie, niż zalecane przez Komisję Standaryzacji Nazw Geograficznych poza Granicami RP nazwy Królewiec i obwód królewiecki.



Czwarte państwo bałtyckie

Z Aliną Kouszyk rozmawia Michał Potocki

Alina Kouszyk jest wieloletnią dziennikarką Bielsatu z wykształceniem historycznym i politologicznym, od 2022 roku przedstawicielka Zjednoczonego Gabinetu Przejściowego Światłany Cichanouskiej ds. odrodzenia narodowego.

Michał Potocki jest redaktorem „Dziennika Gazety Prawnej”, wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim, współautor książek o współczesnej Ukrainie i Białorusi.

Michał Potocki: W listopadzie 2019 roku tysiące Białorusinów zebrały się w Wilnie na powtórny pogrzebie Kastusia Kalinouskiego, przywódcy powstania styczniowego na ziemiach białoruskich, i innych powstańców. Była Pani tam?

Alina Kouszyk: Akurat wtedy pracowałam w redakcji w Warszawie. Cóż, dziennikarz nie zawsze wybiera, gdzie jest, choć każdy czuł obowiązek, by być na miejscu, w Wilnie.

Wilno stało się wtedy na kilka godzin białoruską stolicą. Proszę opowiedzieć o znaczeniu tego wydarzenia.

To, co się wydarzyło wokół postaci Kalinouskiego, w dużej mierze zdeterminowało to, co się stało na Białorusi w 2020 roku. To historia o ogromnym znaczeniu symbolicznym dla nas wszystkich. Znaczeniu, którego do końca wciąż sobie chyba nie uświadamiamy. Można mówić o kontekstach historycznych, politycznych i narodowych. Ale to, że w zasadzie przez przypadek odnaleziono szczątki osób tak znaczących dla naszej wspólnej historii, było niesamowite. A to, że odbyło się to właśnie w takim momencie... Chyba po raz pierwszy niezależna Białoruś była częścią tak wielkiego święta na poziomie państwowym, upamiętniającego naszych wspólnych bohaterów. A w tym roku przypada sto sześćdziesiąta rocznica powstania. Wszędzie, gdzie możemy, staramy się opowiadać o postaci Kalinouskiego. Dla nas to człowiek, który zaczął formować białoruską ideę narodową i w ogóle niezależność naszego kraju. My, Białorusini, wciąż za mało o nim wiemy. On powinien być naszym Che Guevarą.

| W sensie postaci z koszulek?

Z popkultury. Była taka próba, choć pewnie nie do końca to się udało. W każdym razie tamten moment pokazał, jak bardzo potrzebujemy bohaterów. Walka Kalinouskiego ciągle trwa. Kiedy z dzisiejszej perspektywy czyta się, co pisał, widać, że mało się zmieniło. Być może wyniki tej wojny doprowadzą do zmiany sytuacji. Morze biało-czerwono-białych flag z Wilna zwiastowało to, co po niecałym roku wydarzyło się w Mińsku. Kiedy przyjeżdżam do Wilna, przychodzę na grób Kalinouskiego. Ostatnio byłam w zimie, akurat dzień po jego urodzinach. Pani, która opiekuje się cmentarzem, powiedziała, że dzień wcześniej nikogo nie było. Tak że jeszcze dużo pracy przed nami.

| To było też wspólne święto Białorusinów, Litwinów i Polaków.

Bo i nasza historia jest w znacznej mierze wspólna. Nie ma potrzeby, by ją dzielić i spierać się o to, co do kogo należy. Dlatego ważna jest też rozmowa z litewskimi politykami, którzy bywają bardzo wyczuleni na kwestię tego, co jest ich, a co nie. To, że mamy dużo wspólnego, powinno nas wzmacniać. Kalinouski był człowiekiem białoruskiej idei narodowej. Walczył o państwowość, promował język. Cieszy nas przy tym, że doceniają go też nasi sąsiedzi. Bardzo przykre było dla nas natomiast to, że podczas obchodów sto sześćdziesiątej rocznicy powstania w Cytadeli Warszawskiej nasza delegacja nie została dopuszczona ani do głosu, ani do złożenia wieńca [stało się tak w wyniku sprzeciwu Ukrainy, która nie chciała uznania w ten sposób liderki opozycji Swiatłany Cichanouskiej za równą głowom państw – M.P.]. Nasi aktywiści złożyli ten wieniec nazajutrz.

Powstanie styczniowe jest zwornikiem historii. Z jednej strony było pierwszym wydarzeniem, w którym pojawia się naród białoruski w nowoczesnym rozumieniu tego słowa. Z drugiej – ostatnim, którego bohaterowie wprost utożsamiali się z Wielkim Księstwem Litewskim. Z punktu widzenia przeciętnego Polaka, który o WKL uczył się w szkole, to państwo było tożsame z dzisiejszą Litwą. Tymczasem to nie cała prawda. Jak Białorusini postrzegają WKL i o co spieracie się z Litwinami?

Idąc na studia historyczne, najbardziej interesowałam się białoruską świadomością, czyli tym, co – umownie mówiąc – miał na myśli Adam Mickiewicz, kiedy pisał „Litwo, ojczyzno moja”.

W latach szkolnych przygotowałam referat na temat tożsamości Białorusinów, który zaczynał się właśnie tymi słowami. Wiemy przecież, że Mickiewicz urodził się w Nowogródku. Nie znalazłbyśmy go dzisiaj takim, jakim go znamy, gdyby przyszedł na świat gdzie indziej. Bardzo lubię wiersz Ryhora Baradulina *In memoria*, który kończy się słowami: „Adam Mickiewicz palić / Biełaruskija wierszy swaje / Kab napisau ich Janka Kupała” (Adam Mickiewicz pali swoje białoruskie wiersze, by napisał je Janka Kupała). Niektórzy badacze twierdzą, że Mickiewicz mógł pisać także po białorusku. Na pewno znał ten język ze swojego otoczenia. Ukraińcy przekonują dziś wszystkich, że Ruś to nie to samo, co Rosja. Podobnie my mówimy, że dawna i dzisiejsza Litwa to trochę różne organizmy. Litwa historyczna to były właśnie okolice Nowogródka. Wtedy nie mówiono o Białorusi; była Litwa, była Ruś Czarna, była Ruś Biała, zaś tereny dzisiejszej Litwy były określane mianem Żmudzi. WKL łączyło ziemie litewskie, białoruskie i ukraińskie. Nie ma sensu sprzeczać się, czy lepsza jest Pogoń białoruska, czy litewska. Choć pamiętajmy też, że statuty WKL były pisane w języku starobiałoruskim. Nowożytny język litewski został skodyfikowany znacznie później. Choć zarazem zdaję sobie sprawę, że historycy litewscy nie podzielają takiego stanowiska. Możemy o tym swobodnie rozmawiać; przecież to nie są tematy, które byłyby dziś dla kogoś bolesne. Taka rozmowa pomogłaby we wzajemnym zrozumieniu. Historia regionu jest złożona jak cała historia Europy. Białorusi ewidentnie jest zaś częścią europejskiej cywilizacji. Stąd tak diametralne różnice między stosunkiem Białorusinów i Rosjan do wojny. Mówi się, że Białorusini to tacy słowiańscy Niemcy albo Skandynawowie. Ja wolę ideę Białorusi jako czwartej republiki bałtyckiej.

Kalinouski zaczął formować białoruską ideę narodową i w ogóle niezależność naszego kraju. My, Białorusini, wciąż za mało o nim wiemy. On powinien być naszym Che Guevarą.

| Sam staram się to propagować.

Mamy dużo wspólnego. Porządek, stabilność, poszanowanie dla instytucji.

| Jednym słowem „Ordnung”, skoro mowa o Niemcach Słowiańszczyzny.

Może i tak. W każdym razie to jest zarazem źródło naszej słabości w walce z systemem. Cała ta niechęć do przemocy...

| Widoczna choćby w czasie protestów w 2020 roku.

Niechęć wynikająca z myślenia, że w XXI wieku takie rzeczy załatwia się polubownie.

Zastanawiała się Pani, z czego ta niechęć do przemocy wynika? Są tacy, którzy tłumaczą ją traumą po II wojnie światowej i w ogóle po konfliktach zbrojnych, bo w zasadzie od początku XVIII wieku i wojny północnej kolejne krwawe konflikty przetaczały się przez ziemie białoruskie, gubiąc często nawet trzecią część ludności. Z drugiej strony w treści przedwojennej, popularnej w II Rzeczypospolitej „Przepowiedni z Tęgoborza” mówiło się o „bitnej Białorusi”, więc ten stereotyp ulegał zmianom w czasie.

Myślę, że ma Pan dużo racji. Niechęć do przemocy może być związana z tym, ile razy byliśmy miejscem, a niekoniecznie stroną walk. Traciliśmy ludzi, bogactwo narodowe, miasta i wsie. Po każdej wojnie trzeba było się odbudowywać. To jest głęboko zakodowane w naszej pamięci, a II wojna światowa była po prostu ostatnią, którą najstarsze pokolenie jeszcze pamięta. Jakąś rolę odegrała w tym propaganda z czasów radzieckich i łukaszenkowskich. Dla Aleksandra Łukaszenki historia Białorusi w zasadzie zaczyna się od II wojny. Na micie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej budował narrację o państwie białoruskim. Ale to jednak tkwi dużo głębiej. Białorusini po prostu starali się przetrwać, co nie znaczy, że w ogóle nie walczyli. Teraz też nie złożyliśmy broni, walczyliśmy przede wszystkim pokojowo. Zależy nam na pokojowej transformacji państwa. Niektórzy uznają to za idealizm, ale ja sądzę, że to mądrość pokoleń.

| Jest zresztą kontrstereotyp Białorusi jako republiki partyzanckiej.

Ostatni białoruscy partyzanci ukrywali się w lasach aż do lat sześćdziesiątych. Ale chodzi mi też o wcześniejsze tradycje: husarię WKL, białoruskich żołnierzy pod Grunwaldem, Orszą, nad Sinymi Wodami. Nasza dzisiejsza walka też jest w dużej mierze partyzancka. Nie da się inaczej walczyć z dużo potężniejszym systemem. Wykorzystuje się takie metody, jakie są pod ręką. Teraz mamy kolejowych partyzantów, cyberpartyzantów, a nawet partyzantów kulturowych.

| Ludzie jak za ZSRR spotykają się na *kwartirnikach*, domowych koncertach?

Tak, choć muszą być ostrożni. Niektórzy wzywają nas do walki zbrojnej. Łatwo się mówi, ale my przecież nie mamy broni ani przygotowania. Ten,

kto wzywa, powinien wziąć odpowiedzialność za straty. Białorusini robią, co mogą, i to jest najważniejsze.

Wróćmy do kwestii mentalnościowych. To ryzykowny temat, bo trudno się generalizuje, gdy mowa o narodach, ale spróbujmy. Często się mówi, że najbliższym narodem dla Białorusinów są Ukraińcy ze względu na bliskość językową, kulturową, poniekąd również historyczną.

Chociaż moim zdaniem pod względem charakterologicznym te dwa narody znacznie się od siebie różnią. Ukraińcy są bardziej śródziemnomorscy, ekstrawertyczni, mniej zdystansowani, za to bardziej ekspresyjni, skłonni do anarchii, ale i głośnego sygnalizowania sprzeciwu. A Białorusini są bardziej bałtyccy, introwertyczni, zdystansowani, trudniej przełamują bariery przy poznawaniu nowych osób. Mam przyjaciela, który po 2020 roku wyjechał z Mińska do Kijowa, a w 2022 roku przeniósł się do Wilna. Mówi, że o ile nie był w stanie przyzwyczaić się do Ukrainy, o tyle na Litwie od razu poczuł się jak w domu. Coś w tym jest czy to kompletna nieprawda?

Myślę, że prawda leży pośrodku. Być może akurat najbardziej podobni jesteśmy do Polaków. Też lubimy się kłócić, ale gdy przychodzi co do czego, potrafimy się zjednoczyć wobec wspólnego zagrożenia. Ja też nie lubię generalizować. Jesteśmy narodem unikatowym, tak jak wszyscy nasi sąsiedzi. Z Ukraińcami mamy najbliższe sobie języki, rozumiemy się bez tłumaczy.

I Czego dowodem jest dwujęzyczny program „Biazwiz/Bezviz” w Bielsacie.

Wcześniej latami tłumaczyliśmy w Bielsacie ukraińskie wypowiedzi na białoruski. To też wymagało przełamania pewnej bariery. Co do charakteru, skoro nas nazywają Skandynawami czy Bałtami Słowiańszczyzny, to Ukraińców można nazwać Włochami Słowiańszczyzny. Nasze tempo życia jest wolniejsze, może trochę inne wartości wyznajemy. Wiele razy słyszałam pochwały pod adresem białoruskich pracowników za dokładność, solidność, dotrzymywanie słowa. To ważna cecha. Nie czekamy, aż ktoś zrobi porządek wokół nas. Może dlatego, że nigdy nie mieliśmy silnego, demokratycznego państwa, które by coś mogło zrobić dla obywateli. Widać to na białoruskiej wsi. Może biednie, ale schludnie. Zadbane gospodarstwa, trawa skoszona nawet za płotem, kwiatuszki posadzone.

Białoruś otrzymała niepodległość w prezencje, a narody bałtyckie musiały ją wywalczyć kosztem wielu ofiar poniesionych w dekadach poprzedzających wyzwolenie. Najwyraźniej teraz przyszła nasza kolej, by zapłacić rachunek.

Polska jest pod tym względem podobna. Czy Białorusini dobrze odnajdują się w Wilnie? Myślę, że tak. I żartują, że to tak, jakby białoruska stolica została przeniesiona do Wilna i Warszawy.

W Wilnie białoruska obecność jest chyba bardziej widoczna. Może to przez różnicę wielkości miast.

W Warszawie też mamy kilka swoich miejsc. Nie wszystkie są wyhaftowane wyszywankami, ale mają w sobie tę dyskretną białoruską tożsamość. Może to też jest nasza cecha. Nie lubimy rzucać się w oczy, ale robimy swoje. Mam nadzieję, że to będzie miało swój efekt polityczny.

A jak na te kwestie patrzy reżim? Był taki moment między 2010 a 2019 rokiem, kiedy próbowano zintegrować niektóre elementy historii WKL z narracją państwową. To się chyba zaczęło na 600-lecie Grunwaldu, a zakończyło właśnie pogrzebem Kalinouskiego w Wilnie, na który przyjechał wicepremier Ihar Pietryszenka i musiał przemaszzerować między tymi wszystkimi biało-czerwono-białymi flagami. Były różne inne drobne wrzutki: jest ulica Kalinouskiego w Mińsku, była seria historycznych monet banku centralnego, włącznie z upamiętniającą zwycięstwo nad Moskwą spod Orszy. To była świadoma polityka lewarowania wobec Rosji czy komuś po prostu trochę bardziej zależało?

I to, i to. Zawsze przy tego typu akcjach ważna była rola jednej konkretnej osoby. Jeśli ktoś chciał coś zrobić, musiał się do niej przebić. Przy czym nie powiedziałabym, że to była jakaś szersza doktryna. To były czasy, kiedy represje trochę ustały i pojawiła się pewna umowna normalność. A skoro tak, to prawdziwa historia mogła się łatwiej przebić na powierzchnię. Pamiętamy też, że jeszcze za czasów Dalii Grybauskaitė [prezydent Litwy w latach 2009-2019 – M.P.] relacje litewsko-białoruskie nie były takie złe. W oficjalnej retoryce dyplomacji Łukaszenki kraje bałtyckie zawsze są postrzegane jako potencjalni wrogowie i zdrajcy projektu państwa związkowego. Ciągłe porównywanie kondycji gospodarczej krajów bałtyckich z Białorusią powinno w oczach odbiorcy dowodzić błędności ich strategii ucieczki od wspólnego dziedzictwa ZSRR i dążenia do Europy i NATO. Także zakrojone na szeroką skalę ćwiczenia wojsk białoruskich i rosyjskich na granicach z państwami bałtyckimi mają wywoływać permanentne napięcie w związku z groźbą eskalacji działań zbrojnych na ich granicach. Kontynuując sowiecką doktrynę wojskową, ministerstwo obrony Białorusi uważa NATO za potencjalnego wroga i stara się to demonstrować na

wszelkie możliwe sposoby. Po 2020 roku, kiedy rządy krajów bałtyckich otwarcie poparły białoruski ruch demokratyczny Swiatłany Cichanouskiej, stosunki te uległy maksymalnemu pogorszeniu. Na Białorusi wszczynane są postępowania karne przeciwko litewskim i łotewskim politykom i działaczom, trwa agresywna retoryka, częściowo zgodna z rosyjskimi normami imperialnymi. Budowa białoruskiej elektrowni jądrowej pod Ostrowcem również spowodowała pogorszenie stosunków z Litwą. Od początku kryzysu migracyjnego w 2021 roku granice krajów bałtyckich i Polski są zagrożone również nielegalnym przemieszczaniem się setek uchodźców. Jednocześnie do 2021 roku współpraca gospodarcza była bardzo znacząca i dotyczyła tak wrażliwych aspektów białoruskiego eksportu, jak potas, produkty naftowe i wyroby z drewna. Kraje bałtyckie były też jednym ze szlaków przemytu białoruskich papierosów.

Historia Białorusi i Litwy jest w znacznej mierze wspólna. Nie ma potrzeby, by ją dzielić i spierać się o to, co do kogo należy.

Po 2020 roku nawet drobne odniesienia do pozytywnych aspektów wspólnej historii zniknęły i teraz białoruska narracja państwowa podobna jest do hymnu z czasów ZSRR: „My, Bietarusy, z bratniaju Russiu / Razam szukali k szczasciu daroh” (My, Białorusini, z bratnią Rusią razem szukaliśmy dróg do szczęścia). I buduje tym samym rezerwat „ruskiego miru”. Nachalnie, agresywnie, z różnych stron, od przedszkoli po konferencje naukowe. Ostatnio wzmożły się naciski na historyków. W historiografii Łukaszenki dominuje raczej wielkoruska narracja o wiecznym braterstwie trzech ludów słowiańskich pod przewodnictwem Moskwy, romantyzacja i wyolbrzymianie znaczenia okresu sowieckiego jako głównego etapu istnienia i rozwoju Białorusi, którego kulminacją było powstanie nowoczesnego państwa pod przywództwem Łukaszenki. Jednocześnie w niezależnej historiografii i w ruchu opozycyjnym istnieje przeciwna tendencja heroizowania okresu WKL jako tego, który miał największy wpływ na tożsamość Białorusinów i historyczne losy narodu. Podkreśla się narodotwórczy i państwowotwórczy charakter tego państwa dla Białorusinów, jego rywalizację z państwem moskiewskim. Mamy gloryfikację mężów stanu i działaczy jako części panteonu białoruskich bohaterów. Większość Białorusinów wykształconych po odzyskaniu niepodległości uważa WKL za swoje dziedzictwo historyczne i przeważnie ma do niego pozytywny stosunek. Trwa proces odrodzenia

narodowego, którego nie da się zatrzymać. To mnie cieszy, choć procesy historyczne bywają wolniejsze niż nasze percepcje życiowe. Jesteśmy być może najbardziej spóźnionym dzieckiem rozpadu Związku Radzieckiego. Ta droga jeszcze trochę potrwa, ale nie ma innego wyjścia.

W ciągu ostatnich lat w kręgach białoruskiej opozycji zapanował konsensus może nie co do NATO, ale na pewno co do różnych koncepcji współpracy regionalnej – od litewsko-polsko-ukraińskiego Trójkąta Lubelskiego, w którym przewidziano miejsce dla demokratycznej Białorusi, po Trójmorze, czy bardziej mglistą koncepcję sojuszu bałto-czarnomorskiego. Dekadę temu takiego zainteresowania nie było.

Wojna zmieniła bardzo dużo. To straszne wydarzenie, dramatyczne dla naszego regionu, ale z drugiej strony pokazało wyraźnie, co jest czarne, a co białe.

Gdyby nie wygrana Łukaszenki w wyborach w 1994 roku, Białoruś miałaby szansę być czwartym państwem bałtyckim? Taką większą Łotwą z członkostwem w Unii Europejskiej?

Projekty takie jak Czworokąt Lubelski (już z planowanym udziałem Białorusi), Międzymorze czy „nowa Rzeczpospolita Obojga Narodów” mogą mieć dla przyszłości Białorusi istotne znaczenie militarne, polityczne, gospodarcze i kulturowe. Jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych pomysł bałtycko-czarnomorskiego kolektora energetycznego był promowany przez opozycję jako szansa na stworzenie samowystarczальной infrastruktury energetycznej dla byłych zachodnich republik Związku Radzieckiego, która byłaby wolna od zagrożenia energetycznego, szantażu ze strony Rosji. Wspólne dziedzictwo daje szansę narodom zamieszkującym Litwę, Łotwę, Ukrainę, Polskę i Białoruś na nawiązanie intensywnych kontak-

tów kulturalnych i pogłębienie przyjaznych stosunków. Wzmocnienie idei Europy Środkowej, europejskiej przyszłości dla krajów bałtyckich, Ukrainy i Białorusi powinno stać się fundamentem tożsamości, która z kolei powinna przywrócić nam dawne tradycje i paneuropejską przestrzeń kulturową, w przeciwieństwie do narzucanych obecnie idei eurazjatyizmu i „ruskiego miru”. Cena

Porównywanie kondycji gospodarczej krajów bałtyckich z Białorusią powinno w oczach odbiorcy dowodzić błędności ich strategii ucieczki od wspólnego dziedzictwa ZSRR i dążenia do Europy i NATO.

swobody jest wysoka. Często płaci ją cały naród. My otrzymaliśmy niepodległość w prezencie, a narody bałtyckie musiały ją wywalczyć kosztem wielu ofiar poniesionych w dekadach poprzedzających wyzwolenie. Najwyraźniej teraz przyszła nasza kolej, by zapłacić rachunek. Czy bez 1994 roku byliśmy drugą Łotwą? Białoruś pozostawałaby Białorusią. Natomiast jako niezbyt duży kraj z dobrą infrastrukturą nie byłoby wielkiego problemu, by przy odpowiednich inwestycjach dość szybko doprowadzić do poziomu, który jest potrzebny do tego, żeby stać się częścią Unii Europejskiej.

Jakie jest pierwsze skojarzenie Białorusinów z Morzem Bałtyckim? Jak rozumiesz, nie jest to tylko rosyjskie piwo Bałtika?

W ogóle nie dotyczy ono piwa. Mam wrażenie, że Bałtyk kojarzy się w pierwszym rzędzie z Jurmałą i tamtejszym festiwalem muzycznym. A kolejne warstwy skojarzenia to same kraje bałtyckie jako te bardziej europejskie, pełne takiego fajnego flow. Ja ze względu na przeszłość zawodową dołożę do tego skojarzenia z portami litewskimi czy łotewskimi.

Przed nałożeniem sankcji będącymi podstawą handlu zagranicznego Białorusi.

A poza tym Bałtyk to ładne, piaszczyste plaże, z których wojna i sankcje wywiały turystów z Białorusi. Mam nadzieję, że to się wkrótce zmieni.

Kiedy w swoich latach szkolnych albo studenckich słyszała Pani, że ktoś jedzie „nad morze”, o jakim morzu zwykle była mowa?

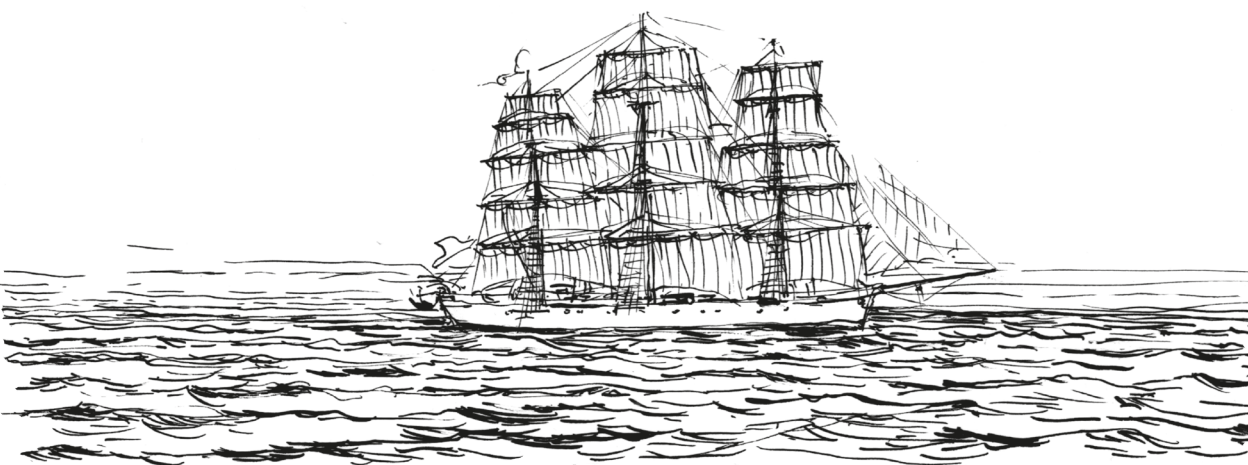
O Morzu Czarnym. Jeździło się na Krym. Bałtyk był chłodniejszy, choć sama bywałam i nad nim. Takie wyjazdy zrobiły się powszechne relatywnie niedawno. Sama pierwszy raz pojechałam na Krym po ukończeniu dziesiątej klasy. Jechaliśmy pociągiem. Z Grodna to kawał drogi, w dodatku z przesiadką. Białorusinom brakuje słońca. Dlatego zawsze chcą pojechać gdzieś, gdzie jest ciepło. Niektórzy znajomi jeździli nad Bałtyk, ale nikt tego za bardzo nie rozumiał.

Czy w białoruskiej świadomości albo podświadomości istnieje coś takiego, jak tęsknota za dostępem do morza, taka jak u Czechów?

Nie. Białorusini są pragmatyczni i przyziemni. Przede wszystkim trzeba zadbać o swoją okolicę, o to, co jest, zamiast marzyć o własnych morzach. Nigdy nie czułam takiej tęsknoty. Nie mamy morza, nie mamy też gór, za to mamy jeziora. Nasza przyroda jest inna. Jesteśmy ludem rzek i kanałów.

Łukaszence zdarzało się opowiadać, że chętnie przejąłby od Rosji obwód królewiecki i zrobiłby z niego raj dla rolników. Była też legenda, jakoby Pancielajmon Panamarenka [kierownik komunistycznej Białorusi w latach 1938-1947 – M.P.] proponował Moskwie, by przyłączyć ten obwód do Białorusi.

Kaliningrad nie jest miastem obecnym w białoruskiej wyobraźni. Ja zaś nigdy nie traktowałam poważnie słów Łukaszenki. Skoro chciał gdzieś zrobić raj, mógł zacząć od Białorusi.





Dialog dla samego dialogu

Z Aleksandrą Fedorską,
politolożką i znawczynią Niemiec,
rozmawia Kaja Puto

Aleksandra Fedorska jest politolożką i niezależną korespondentką niemieckich oraz polskich mediów. Redaktorka i szefowa działu wodór w portalu Biznesalert. Zajmuje się stosunkami polsko-niemieckimi w dziedzinie energetyki, gospodarki, infrastruktury i mobilności. Większość życia spędziła w Niemczech.

Kaja Puto jest dziennikarką i redaktorką specjalizującą się w tematyce Europy Wschodniej oraz przemian społecznych. Związana z „Krytyką Polityczną”, berlińskim stowarzyszeniem n-ost – The Network for Reporting on Eastern Europe oraz Stowarzyszeniem Reporterów Rekolektyw. Studiowała kulturoznawstwo i filozofię w Krakowie oraz wschodoznawstwo w Berlinie i Tbilisi.

Kaja Puto: W lipcu dobiega końca roczne przewodnictwo Niemiec w Radzie Państw Morza Bałtyckiego. Jakie postawiono sobie na ten rok cele i czy udało się je osiągnąć?

Aleksandra Fedorska: Głównym priorytetem prezydencji Niemiec w Radzie była rozbudowa farm wiatrowych. Jednak nie doszło w tej sprawie do żadnych rewolucyjnych ruchów, a opinia publiczna w Niemczech tego tematu wręcz nie zauważyła. Odnoszę wrażenie, że zadziałał tu klasyczny niemiecki schemat: kiedy nie mamy na coś pomysłu, mówimy o zielonej transformacji i rozbudowie OZE.

Kolejnym problemem przedstawianym jako priorytetowy było wydobycie i zabezpieczanie amunicji wojennej na dnie Bałtyku. To ważna kwestia dla bezpieczeństwa żeglugi, często podejmowana lokalnie w nadbałtyckich landach. Co jednak rażące w tej sprawie, w Meklemburgii tym tematem zajmuje się kontrowersyjna Fundacja na rzecz Ochrony Klimatu OV, która dopinała budowę Nord Stream 2 już po tym, jak Amerykanie nałożyli sankcje na ten projekt.

Trzecim hasłem prezydencji była wymiana młodzieży, czyli działanie typu *soft power*. I właściwie to by było na tyle. Czy Niemcy są po tym roku z siebie sami zadowoleniem? Nie wiem, bo sami o tym nic nie mówią.

I Jak Pani sądzi – dlaczego?

Pewnie dlatego, że mają dostęp do dwóch mórz: oprócz Bałtyku jest to Morze Północne. I to drugie jest dla nich ważniejsze. Widać to chociażby

w kontekście energetyki wiatrowej. Niemieckie farmy zainstalowane na Morzu Północnym dysponują mocą produkcyjną rzędu 7,2-7,3 gigawatów prądu, na Bałtyku – zaledwie 1 gigawata. To szalona dysproporcja.

! Nie wynika to z różnicy warunków wiatrowych?

Również. Głównie chodzi jednak o to, że produkcja prądu na Morzu Północnym jest bardziej opłacalna. Energetyka wiatrowa w formie *offshore* [na morzu – red.] to bardzo drogie przedsięwzięcie, które potrzebuje odpowiedniej infrastruktury: portów, turbin, kabli, transportu. To wszystko jest lepiej rozwinięte na zachodzie Niemiec. A bałtyckie wybrzeże Niemiec to słabo rozwinięty region. Ponadto rząd landowy w Meklemburgii jest problematyczny we współpracy z rządem federalnym. Jest ospały, roszczeniowy, Niemcy powiedzieliby – „bardzo wschodni”.

! Minister spraw zagranicznych Niemiec Annalena Baerbock na progu wspomnianej prezydencji podkreśliła, że po inwazji Rosji na Ukrainę Rada Państw Morza Bałtyckiego uzyskała geopolityczne znaczenie. Co to oznacza w praktyce?

Niewątpliwie uzyskała, doszło do tego w wyniku szeregu działań należących do niej państw. Finlandia przystąpiła do NATO, to samo planuje Szwecja. Członkostwo Rosji w Radzie zostało zawieszono, następnie Rosja sama ją opuściła. Niemcy mocno zaangażowały się w pomoc zbrojeniową Ukrainie. Nie znaczy to jednak, że region Bałtyku urósł w oczach Niemców. Polska i kraje bałtyckie zawsze patrzyły na niego inaczej – w kontekście bezpieczeństwa, w kontekście zbrojeń. Po inwazji Rosji, Niemcy lepiej rozumieją tę perspektywę, ale Bałtyk nie stał się dla nich priorytetowy. Wciąż nie mają pomysłu na eksploatację tego regionu w kontekście politycznym, logiczne więc, że nie przedstawiły go podczas prezydencji w Radzie.

! Rosyjska agresja na Ukrainę poskutkowała zawieszeniem projektów Nord Stream, co pozbawiło Niemcy około czwartej części miksu energetycznego. Farmy wiatrowe to jeden z kierunków, które Berlin chce rozwijać, ale czy możemy sobie wyobrazić, że Nord Stream jeszcze wróci do gry?

Obecnie jest to niemożliwe, ale nie wiemy, co będzie w przyszłości. Wojna się toczy. Nie wiemy, czym się skończy i czy Putin utrzyma się u władzy. Jeśli okoliczności pozwolą Niemcom uzyskać korzyści polityczne i ekonomiczne z restartu tego projektu, nie można wykluczyć, że dojdzie do

jego realizacji. Uszkodzone w wyniku wybuchów rury można naprawić, można też położyć nowe.

Pamiętajmy jednak, że gaz miał być dla Niemiec surowcem przejściowym na drodze do gospodarki bezemisyjnej. Dzisiaj niemieckim priorytetem jest zielony wodór pozyskiwany z wody przy pomocy prądu z OZE – to

on ma zastąpić braki gazu ziemnego. Do wdrożenia tego planu wykorzystana ma zostać infrastruktura, która powstała w związku z Nord Stream – rury przesyłowe, ale również elektrociepłownie gazowe. Nie można jednak wykluczyć, że w przyszłości również Rosja zostanie producentem wodoru. Można sobie zatem wyobrazić, że niemiecko-rosyjska współpraca zostanie wznowiona na tym właśnie polu.

Niemcy nie mają pomysłu na eksploatację regionu bałtyckiego w kontekście politycznym.

| Co mogłoby skłonić Rosję do przejścia na zielone technologie?

Popyt. Dziś to oczywiście teoretyczne rozważania, ale zapotrzebowanie energetyczne Niemiec jest szalone, więc jeśli Niemcy wyszły z atomu, chcą wyjść z węgla i gazu, to będą wodoru potrzebowały w szalonych ilościach. W 2045 roku – kiedy według planów mają całkowicie odejść od gazu – będą potrzebowały 700 terawatogodzin energii z wodoru rocznie. Dla porównania, polskie zużycie prądu to 165 terawatogodzin. Dlatego można założyć, że Niemcy będą na ten temat rozmawiać z każdym partnerem.

| A z jakimi krajami już dziś Niemcy planują współpracę na tym polu?

Przede wszystkim z Danią, która już dziś ma warunki potrzebne do produkcji wodoru. Zgodnie z planem wodór produkowany będzie na Bornholmie przy pomocy wytwarzanego lokalnie prądu z OZE, a stamtąd wysyłany wodorociągiem do Niemiec. Podobne umowy zostały zawarte już z Norwegią i Holandią, a w opisie duńsko-niemieckiego projektu rozważa się przyszłe podłączenia pod Szwedów i Finów. Podpisano też umowy na dostawę wodoru z afrykańskimi krajami – Marokiem, Senegalem i Namibią. Szczególnie ta ostatnia współpraca wykracza poza ramy zdrowego rozsądku, zważywszy na kolonialne, pełne bólu i krwi relacje Niemiec z Namibią.

| Polska nie planuje, póki co, produkcji wodoru – a czy jest w niemieckich planach widziana jako jego odbiorca?

Niemcy panicznie boją się atomu, co wynika z długiej tradycji ruchów antyatomowych oraz lęków uruchomionych po katastrofie w Fukushima.

Jeśli mówimy o wodorociągu z Danii, to nie, mimo że jego wylot będzie się znajdował w pobliżu polskiej granicy, tam, gdzie kończyły się Nord Streamy. Polskę widać za to w planach „wodoryzacji” przygranicznych zakładów przemysłowych – na przykład rafinerii w Schwedt. Wymieniana jest tam jako

potencjalny dostawca prądu z OZE, który posłużyłby produkcji wodoru. Inny przykład stanowi huta w Eisenhüttenstadt. Jej właściciel, Arcelor Mittal, który posiada również huty w Polsce, chce je połączyć wodorociągiem. To sprzyjałoby przestawieniu się na „zieloną stal”.

Polska ma inny pomysł na bezemisyjną energię: atom. Pierwsze reaktory mają powstać w pobliżu Bałtyku, przeciwko czemu protestuje strona niemiecka. Cztery kraje związkowe: Brandenburgia, Meklemburgia-Pomorze Przednie, Saksonia i Berlin zwróciły się do Polski o wstrzymanie projektu. Dlaczego?

To wynik kampanii lokalnych polityków z partii Zielonych oraz niezbyt odpowiedzialnego zachowania niemieckich mediów, które roztaczają wizje nadciągających nad Niemcy chmur radioaktywnych. Tego rodzaju hasła trafiają na podatny grunt, bo Niemcy panicznie boją się atomu, co wynika z długiej tradycji ruchów antyatomowych oraz lęków uruchomionych po katastrofie w Fukushima. Media powołują się przy tym na analizę zleconą przez Zielonych, która dotyczyła skutków potencjalnej awarii na terenie Polski, i niestety nie była ona rzetelna.

Co to znaczy?

Wraz z redakcją Biznes Alert skierowaliśmy pytania do autorów tej analizy i okazało się, że wbrew deklaracjom nie byli związani z prestiżową uczelnią szwajcarską i po części należeli do ruchu antyatomowego. Ponadto eksperci Narodowego Centrum Badań Jądrowych sprawdzili dla portalu Energetyka24 dane, na których opierały się fundamentalne założenia tych badań. Okazało się, że zakładały przerysowaną skalę zniszczeń i nie uwzględniały instalowanych obecnie systemów bezpieczeństwa.

Kolejną bałtycką kością niezgody między Polską a Niemcami jest plan budowy dużego portu w Świnoujściu. Dlaczego niemieckie gminy przeciwko temu protestują?

Wyspa Uznam to z polskiego punktu widzenia nie tylko nadmorski kurort, ale i punkt ważny w kontekście obronności oraz transportu gazu. Z niemieckiego punktu widzenia to koniec świata, miejscowości letniskowe w dzikich okolicznościach przyrody. To miejsce, w którym zamożny emeryt z Frankfurtu nad Menem chętnie kupi sobie domek i posłucha szumu morza. Taki emeryt statystycznie jest osobą wrażliwą ekologicznie i chce wypoczywać bez brudu czy spalin. Patrzy w stronę Świnoujścia i widzi płomień na wieży wydmuchów gazoportu, boi się tego ognia. Jego głos wzmacniają lokalne zrzeszenia turystyczne, które chcą bronić wyspy przed upadkiem.

Polski rząd chce forsować swoje plany użegłownienia Odry, nie zważając na krytykę płynącą ze strony Berlina, a niemieccy aktywiści i politycy Zielonych nie chcą słyszeć o innym scenariuszu niż renaturyzacja Odry.

Otwarcie w 2016 roku gazoportu w Świnoujściu również budziło w Niemczech kontrowersje. A w ciągu ostatniego roku powstały tam dwa takie terminale i planowane są kolejne. Z zapowiedzi ministra gospodarki Meklemburgii-Pomorza Przedniego Reinharda Meyera wynika, że ten w pobliżu wyspy Rugia miałby stać się największym terminalem na świecie.

Ta zmiana podejścia wynika oczywiście z tego, że zabrakło rosyjskiego gazu. Jednak te nowe gazoporty są małe i zainstalowane na morzu w formie FSRU [Floating Storage Regasification Unit – red.], ciężko je porównać z portem w Świnoujściu. Z kolei budowa dużego gazoportu w pobliżu Rugii budzi tak ogromne protesty, że nie wiadomo, czy w ogóle powstanie. Tego rodzaju tematy powodują kontrowersje nie tylko na linii Polska – Niemcy, ale również wewnątrz społeczeństwa niemieckiego. Niemcy z jednej strony chcą rozwoju gospodarki, z drugiej – postrzegają naturę romantycznie, mają potrzebę harmonii między człowiekiem a otaczającą go przyrodą.

Temat portu w Świnoujściu łączy się z wizją rozwoju Odry, którą Polska – w przeciwieństwie do Niemiec – chce mocniej eksploatować żeglugowo.

Kłopot polega na tym, że obie strony widzą sprawę czarno-biało. Polski rząd chce forsować swoje plany użegłownienia Odry, nie zważając na krytykę płynącą ze strony Berlina, a niemieccy aktywiści i politycy Zielonych nie chcą słyszeć o innym scenariuszu niż renaturyzacja Odry, czyli przy-

wrócenie jej do stanu bliskiego naturalnemu, co oczywiście wyklucza jej eksploatację przez człowieka.

Świat jest technologicznie na takim etapie, że możemy pogodzić jedno i drugie. Polska potrzebuje chociaż jednej drogi wodnej, a w kontekście budowy portu w Świnoujściu użeglowienie Odry nabiera ekonomicznego sensu. Skorzystałby na tym region wrocławski, w którym prężnie rozwija się na przykład przemysł motoryzacyjny. Obecnie baterie do samochodów elektrycznych transportowane są ciężarówkami, a mogłyby być spławiane. Użeglowienie można przeprowadzić z szacunkiem dla natury, a transport rzeczny jest przecież bardziej ekologiczny niż drogowy, co zdaje się ubiegać uwagę zielonych aktywistów.

| Tylko że rzeki wysychają...

A Odra sama w sobie jest dość płytka. Tak, to jest problem, również w samych Niemczech, gdzie barki już dziś kursują rzekami nie w pełni załadowane. Jednak, jak twierdzi profesor Horst Linde, odpowiedzią na ten problem są płytsze statki. To jest technologicznie możliwe. Warto podkreślić, że po stronie niemieckiej również znajdziemy zwolenników użeglowienia Odry. To na przykład lokalne izby przemysłowo-handlowe, rafineria czy fabryka papieru w Schwedt. Te głosy przyćmiewane są jednak przez aktywistów. Być może to wina również nas, dziennikarzy, bo z aktywistami bardzo łatwo pracować. Z jednej strony, sprawnie argumentują swoją pozycję, chętnie odpowiadają na pytania, wysłają przydatne dla materiału zdjęcia. Z drugiej strony, ich opinie nie są reprezentatywne dla całego społeczeństwa.

Kryzys klimatyczny wymaga działań i wyrzeczeń od wszystkich państw. Jednak z perspektywy tych mniej rozwiniętych wydaje się to niesprawiedliwe. Niemcy dysponują ogromnymi portami morskimi, świetnie rozwiniętą żeglugą śródlądową, a krytykują wysiłki modernizacyjne Polski.

Tutaj wracamy do niemieckiej mięty do natury i związanego z nią oporu wobec rozwoju technologicznego. Być może związane jest to z doświadczeniami z XIX wieku, który przyniósł Niemcom katastrofę ekologiczną: zatruty Ren i wycięte lasy. Ta wrażliwość dyktuje niemiecką ostrożność w dobie kryzysu klimatycznego. Niemcy wymagają tego również od innych, w nieuprawniony, moim zdaniem, sposób.

| Dlaczego?

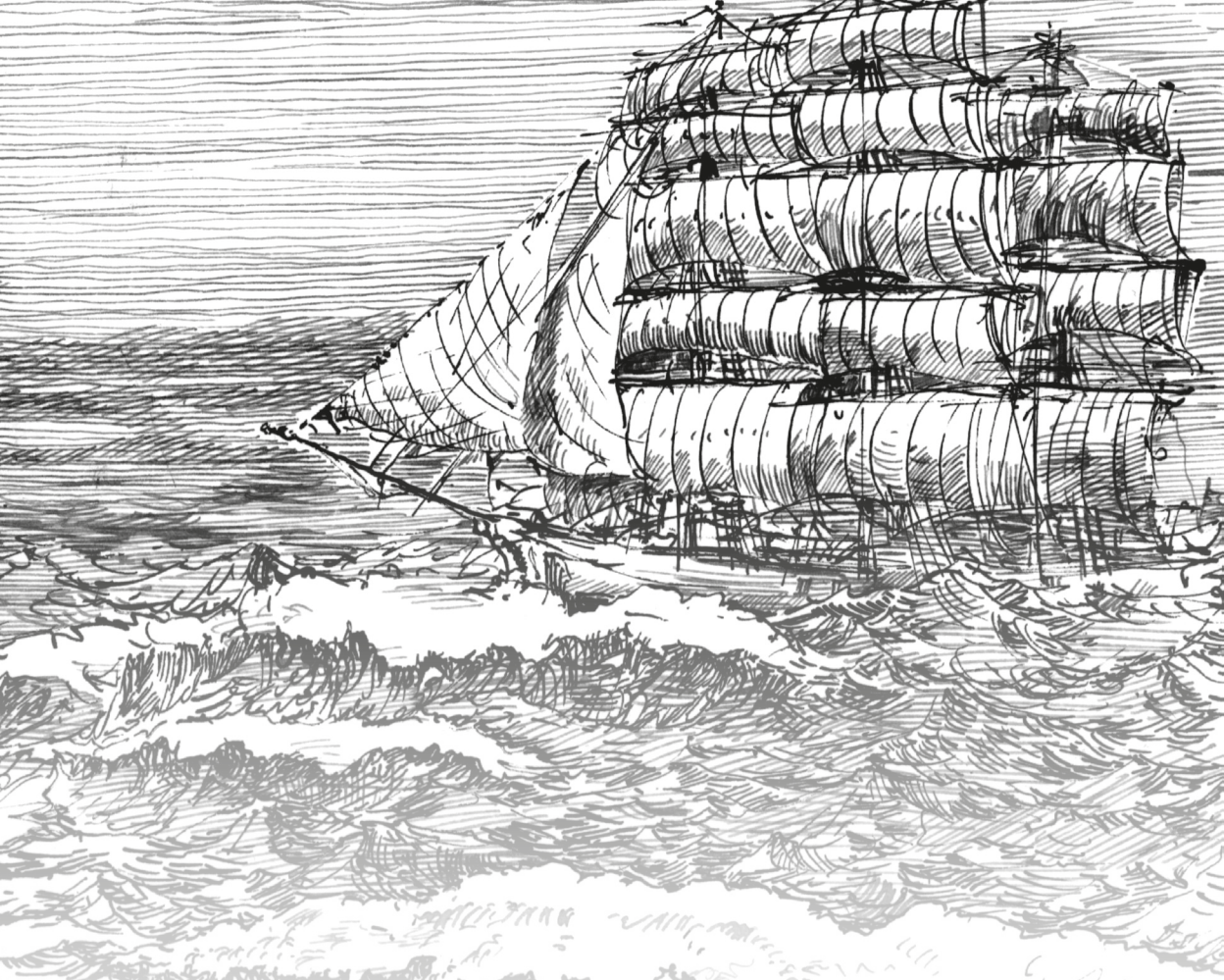
Pewien aktywista klimatyczny powiedział mi kiedyś w wywiadzie: „nie powtarzajcie naszych błędów”. To stwierdzenie wydaje mi się pouczające, tak jakby starszy brat mówił małemu, by nie wkładał palców do ognia. Czasem dochodzi do tego hipokryzja. W ubiegłym roku uczestniczyłam w spotkaniu z przeciwnikami budowy portu w Świnoujściu. Jeden z przedstawicieli niemieckiej branży turystycznej dowodził, że Świnoujście powinno rozwijać się w kierunku turystyki ekologicznej. Tylko że to spotkanie odbywało się w luksusowym hotelu spa po niemieckiej stronie granicy, a takie przybytki nie mają wiele wspólnego z ekologią. W moim odczuciu pouczanie nie doprowadzi do sprawnej współpracy w obliczu globalnych wyzwań, do których należy kryzys klimatyczny.

Czy w niemieckiej debacie publicznej pojawia się jakaś refleksja na temat tego pouczania?

Tak, ale niemal wyłącznie w kontekście krajów globalnego Południa. We współpracy z krajami europejskimi są natomiast przyzwyczajeni do narzucania własnego zdania jako największa w regionie gospodarka i gracz dominujący politycznie. Nie dotyczy to wyłącznie Polski, z podobną niemiecką postawą spotykają się na przykład Duńczycy, którzy przez lata nie mogli zrealizować projektu tunelu między wyspą Lolland a Niemcami. Niemcy pragną partnerstwa ze swoimi sąsiadami, ale chcą z nimi rozmawiać tylko o jednym: „róbcie zieloną transformację i wszystko będzie dobrze”. Jakby zacięła im się płyta. Zielona transformacja jest koniecznością, to oczywiste, jednak nie jest receptą na rozwiązanie wszystkich problemów.

Tę kwestię widać również w niemieckiej polityce wobec Bałtyku. Niemcy nie wykorzystały posiadanego potencjału, zawężając swoją prezydencję w Radzie Państw Morza Bałtyckiego do rytualnych haseł. Niemieckie MSZ uważa, że Berlin przyczynił się w tym kontekście do powstania forum dialogu w basenie Morza Bałtyckiego. Tyle że w każdej możliwej organizacji międzynarodowej podejmowany jest dialog. Dialog dla samego dialogu nie prowadzi do niczego, jeśli jest pusty, monotematyczny i nie wnosi nic nowego.

Szerszy wachlarz pomysłów na przyszłość, kreatywność i gotowość do kompromisów – oto, czego Europa potrzebuje dziś od swoich liderów.



Dzieci maja głos.

**Czyli niepełnoletni
w państwie opiekuńczym**

Z Maciejem Czarneckim,
dziennikarzem i reporterem,
rozmawia Monika Frenkiel

Maciej Czarnecki jest dziennikarzem działu zagranicznego „Gazety Wyborczej”. Absolwent prawa i antropologii kulturowej na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, stypendysta amerykańskiego World Press Institute. W swojej pracy reporterskiej tropił losy Afrykanerów w Gruzji, w Nigrze rozmawiał z mieszkańcami marzącymi o emigracji do Europy, kibicował nawróconemu gangsterowi w Danii, przepytywał zwolenników brexitu w Wielkiej Brytanii. Autor książek *Dzieci Norwegii* (za którą otrzymał Nagrodę MediaTory 2017 w kategorii ObserwaTOR) i *Skandynawia halal. Islam w krainie białych nocy*.

Monika Frenkiel jest dziennikarką i krytyczką literacką. Publikowała teksty w „Gazecie Wyborczej”, „Polskapresse”, „Onecie”, „Newsweeku”. Prowadzi bloga literackiego „Nie samą pracą”.

Monika Frenkiel: Zaczynamy od historii – jak wyglądała i wygląda współcześnie w Norwegii tradycja opieki nad dzieckiem i traktowania dzieci? Norwegia była pierwszym krajem, w którym utworzono funkcję rzecznika praw dziecka.

Maciej Czarnecki: System opieki państwa nad dziećmi ma długą tradycję. Pierwsza ustawa powstała w 1896 roku – urząd, który wtedy powołano, początkowo miał odbierać dzieci rodzinom patologicznym. Często też na celowniku znajdowały się mniejszości etniczne. Był nawet wyrok z 1929 roku wydany przez norweskiego sędziego, w którym wprost wyłożono, że sam fakt, iż dziecko pochodzi z „cygańskiej” rodziny, jest dostatecznym powodem do jego odebrania. To mroczne karty z historii Norwegii. W ustawie z 1992 roku myślą przewodnią jest dbanie o najlepszy interes dziecka i ten zapis jak mantra powtarza się we wszystkich regulacjach i raportach, a jeszcze bardziej myśl ta została rozwinięta w najnowszej ustawie, która weszła w życie w 2023 roku. Ktoś mógłby powiedzieć, że w porównaniu z polskimi, norweskie służby są bardziej skoncentrowane na dbaniu o interes dziecka niż o interes rodziny.

I z jakich instytucji składa się w Norwegii system opieki nad dziećmi?

Podstawową instytucją jest Barnevernet. W każdej gminie, a jest ich w Norwegii ponad 350, od Oslo po północne rubieże, istnieje taki urząd, mniejszy lub większy. Barnevernet ma za zadanie dbanie o dobro dzieci i reagowanie na niepokojące sygnały. Natomiast w system opieki zaangażowany jest cały sektor publiczny: szkoła, przychodnie, psychologowie, policja.

Wyrok z 1929 roku wydany przez norweskiego sędziego, w którym wprost wyłożono, że sam fakt, iż dziecko pochodzi z „cygańskiej” rodziny, jest dostatecznym powodem do jego odebrania. To mroczne karty z historii Norwegii.

Jeżeli dochodzi do popełnienia przestępstwa, a ktoś o nie podejrzany posiada dzieci, to z automatu zawiadomienie wędruje do Barnevernetu. Opisywałem takie przypadki – na przykład Polaka, który został przyłapany na paleniu marihuany. Policja sprawdziła, że mężczyzna ma dwie córeczki, od razu zawiadomiła Barnevernet, żeby wysądował, czy dzieci nie są zaniedbywane i czy otacza się je odpowiednią opieką. Okazało się, że dzieci

są w świetnej kondycji, dobrze radzą sobie w szkole, mają bliski kontakt z rodzicami, rówieśnikami. Sprawa została zamknięta. W większych gminach Barnevernet zatrudnia po kilkadziesiąt osób, w mniejszych to jedna czy dwie osoby, ale wszędzie urząd funkcjonuje.

Czy ktoś kontroluje działania Barevernetu? Można się odwoływać od jego decyzji?

Urząd nie działa samodzielnie. Najbardziej radykalną interwencją jest zabranie dziecka z domu rodzinnego, urzędnik może podjąć taką decyzję w trybie natychmiastowym, jeżeli uważa, że występuje duże niebezpieczeństwo, że dziecku może stać się zaraz krzywda. Zawsze takie działanie podlega jednak kontroli – jej pierwszym szczeblem jest *quasi*-sądowa komisja, w której skład wchodzi prawnicy, eksperci i ławnicy. To organ kolegialny, wieloosobowy, który może przychylić się do decyzji urzędnika albo ją uchylić. Dziecko nie jest wówczas odbierane albo – jeśli zostało zabrane – jest zwracane w trybie natychmiastowym. Od decyzji tego organu można odwołać się do sądów powszechnych. Rodzice nierzadko decydują się na batalię sądową i mają szansę ją wygrać. Zawsze to podkreślam, bo zdarzają się różne pomysły na walkę z zaistniałą sytuacją. Niektórzy rodzice sięgają po środki pozaprawne – albo wyjeżdżają do Polski po jakichkolwiek sygnałach zaniepokojenia, albo – jeżeli dziecko już zostało zabrane – wręcz odbierają je z rodziny zastępczej i jadą z nim do Polski. Korzystają czasami przy tym z usług różnych „detektywów”. W nowej ustawie znalazł się paragraf mówiący, że jeżeli rodzicom została odebrana opieka, to taki wyjazd z dzieckiem jest traktowany jak porwanie. Rodzice się zzymają na to nazewnictwo, bo uważają, że nie można „porwać” własnego dziecka. Najślynnniejsza historia odebrania dziecka to ta z 2011 roku,

gdzie pan Krzysztof Rutkowski, mianujący się detektywem, pojechał spod Larviku odbijać z rodziny zastępczej małą Nikolę. Akcja się powiodła i wyglądała dość spektakularnie, bo dziewczynka musiała wychodzić po linie przez okno. Dziecko szybko zostało przewiezione samochodami przez Danię do Polski. Rutkowski zabrał ze sobą ekipę telewizyjną, więc polskie media szeroko relacjonowały akcję, niestety dość jednostronnie, opierając się tylko na wersji rodziców. Pojawiały się tytuły, że Nikola została zabrana rodzicom, bo była smutna. Nikt nie pokusił się o zbadanie sytuacji. Co prawda urzędy nie rozmawiają z dziennikarzami ze względu na ochronę danych osobowych, ale można poprosić rodziców o dokumenty z postępowania, na przykład z komisji, gdzie przedstawione są zarzuty wobec rodziców. Mam wrażenie, że właśnie takie sprawy przyczyniły się do budowania czarnej legendy norweskich służb, funkcjonującej wśród części tamtejszej Polonii. Ale są i osoby z Polonii, które mają neutralne albo dobre doświadczenia z norweskimi służbami.

Norweskie prawo zastrzega, że zasada biologiczna, czyli to, że dziecko powinno być przy rodzicach, jest najważniejsza. Dopiero kiedy zasady tej nie udaje się wcielić w życie, jeśli dziecku dzieje się krzywda, to wchodzi w grę inne rozwiązania.

W Polsce główną zasadą opieki nad dzieckiem jest pozostawienie go w rodzinie biologicznej. To utrzymanie integralności rodziny jest najważniejsze. A jak jest w Norwegii?

Mamy do czynienia z różnicami nie tylko prawnymi, ale i kulturowymi. Norweskie prawo zastrzega, że zasada biologiczna, czyli to, że dziecko powinno być przy rodzicach, jest najważniejsza. Dopiero kiedy zasady tej nie udaje się wcielić w życie, jeśli dziecku dzieje się krzywda, to wchodzi w grę inne rozwiązania. Polskie prawo też podkreśla dbałość o ochronę dzieci. Natomiast różnice kulturowe wpływają na sposób realizacji tego prawa i jest tak od lat. Jedną z polskich pracowniczek socjalnych nazwała to „polską mistyką miłości”. To przekonanie, że najlepsze dla dziecka jest pozostawienie w rodzinie, niezależnie od tego, co by się działo. Odbieranie dzieci wchodzi w rachubę, ale tylko w najcięższych przypadkach, a i to nie zawsze. Przekonaliśmy się o tym choćby po tragicznej historii ośmioletniego Kamila z Częstochowy. W krajach skandynawskich poprzeczka interwencji służb jest zawieszona niżej i priorytetem jest nie dobro rodziny, czy utrzymanie jej razem, ale dziecka. Większość pracy służb ochrony dziecka

w Norwegii wykonuje się w rodzinie, natomiast relatywnie częściej, niż na przykład w Polsce, dokonuje się tych najpoważniejszych interwencji, czyli zabrania dziecka z rodziny i przekazania go do rodziny zastępczej.

W Polsce system przeciwdziałania przemocy w rodzinie ma charakter reaktywny i często reaguje za późno. Norwegia ma inne podejście: prewencyjne.

W Norwegii nie tylko ważne jest reagowanie na określone przypadki, ale przede wszystkim jak najwcześniejsze udzielenie pomocy rodzinom potrzebującym. W ten sposób zapobiega się różnym złym sytuacjom.

W ostatnich latach Norwegia odbiera rodzicom mniej dzieci.

Nowa ustawa nie zmienia całkiem systemu norweskiego państwa opiekuńczego, ale próbuje wmontować pewne zabezpieczenia.

Choć najnowsza ustawa, która weszła w życie w 2023 roku, przewiduje nawet możliwość odebrania noworodka matce tuż po urodzeniu. Stanie się tak, jeżeli zachodzi wysokie prawdopodobieństwo, że w rodzinie może dojść do jakis nadużyć. Zapis ten był zresztą mocno dyskutowany w Norwegii. Podkreślimy jednak: pracownicy socjalni reagują na niepokojące sygnały, ale w większości przy-

padków interwencja nie polega na odbieraniu dzieci – to skrajne sytuacje. Praca służb socjalnych polega między innymi na monitorowaniu sytuacji. To nie jest przypadek, że w przedszkolach czy szkołach nauczyciele wypytują dzieci, niby od niechcienia, jak tam w domu, co robili rodzice w weekend, czy dobrze się czujesz itd. Nauczyciele również z rodzicami rozmawiają o sytuacji w domu. Reagują na podejrzone sygnały, na przykład kiedy zauważą siniaki u dziecka. Te siniaki mogą być oczywiście od zabawy, ale mogą być też od uderzenia. Takie „sygnały zaniepokojenia” kierowane są do Barnevernetu. Te „sygnały zaniepokojenia” pochodzą nie tylko od nauczycieli, pracowników w przychodniach czy pracowników sektora publicznego, w system „ostrzegania” włączone jest całe norweskie społeczeństwo. Sąsiad, przechodzień, który słyszy, że matka na ulicy krzyczy na dziecko, członek rodziny. Polacy w Norwegii nazywają to donosami – już samo to słowo jest pejoratywne i źle się nam kojarzy. Norweg nie powie o donosie, tylko właśnie o „sygnale zaniepokojenia”. Służby je potem sprawdzają i albo podejmują interwencję, albo nie. Zdarza się, że po wstępnym dochodzeniu, które trwa tydzień, przekonują się, że „sygnał zaniepokojenia” był nieuzasadniony i nie ma potrzeby interweniować. Natomiast jeżeli trzeba podjąć działanie, to istnieje cała gama środków, które

mogą zostać użyte, począwszy od monitorowania sytuacji przez poradnictwo dla rodziców, zapewnienie im różnorodnej pomocy w domu, bo często problemy wynikają z tego, że rodzice nie do końca sobie radzą finansowo albo po prostu brak im czasu. Prawo przewiduje możliwości ich odciążenia: dziecko w weekend czy przez kilka godzin dziennie może zostać otoczone opieką pracowników socjalnych albo może spędzać więcej czasu w świetlicy. Pracownicy mogą też pomóc rodzicom w uzyskaniu wsparcia finansowego. Do odebrania dzieci dochodzi w najcięższych przypadkach. Najpierw państwo stara się udzielić pomocy.

W 2005 roku Norwegia żyła głośną sprawą dotyczącą zakatowania przez ojczyma ośmioletniego Christoffera Gjerstada. Sprawa ta przyczyniła się do znacznie bardziej energicznego działania służb norweskich.

Barnevernet budzi grozę w Polakach. Skąd ten strach Polaków przed norweskim systemem?

W grę wchodzi kilka kwestii. Na pewno dezinformacja, której źródłem są nie tylko mainstreamowe media, ale też różne opowieści, fora internetowe, mało wiarygodne strony w mediach społecznościowych itd. Ludzie powtarzają różne, czasem niestworzone historie i to pada na podatny grunt. Druga rzecz – w Norwegii istnieje znacznie większe niż w Polsce zaufanie do państwa, co oczywiście da się wytłumaczyć w kontekście historycznym. Czterdzieści lat komunizmu w Polsce zrobiło swoje. Norwegia to z kolei państwo opiekuńcze, które stara się pomagać obywatelom. Dla nas nie do pomyślenia jest, że norweski urząd może pomóc w optymalizacji podatkowej, czyli podpowiedzieć obywatelowi, co zrobić, by legalnie płacić mniejsze podatki. Państwo norweskie dekadami pracowało na zaufanie obywateli i to przekłada się na ich postawę. Z drugiej strony ta sytuacja jest trochę niebezpieczna, bo przeszkadza Norwegom w dostrzeganiu błędów w systemie, a system nie jest idealny, tylko trudno o tym mówić. Norwegowie uważają, że mają państwo prawie idealne. „Być w czymś dobrym, to takie norweskie” – powiedziała była premier Norwegii, Gro Harlem Brundtland, i to jest powszechne przekonanie. A w najlepszym państwie na świecie nie może istnieć przecież system, który popełnia poważne błędy. Debata na temat błędów systemu toczy się w Norwegii. Podejmowane są działania naprawcze.

Niektórzy wręcz uważają, że lepiej zabrać rodzinie jedno dziecko więcej, niż doprowadzić do tragedii.

Zabranie dziecka to już jest tragedia. To rozwiązanie jest źródłem ogromnej traumy dla dziecka i rodziców. Musimy szukać idealnych rozwiązań, równowagi między interwencją państwa a brakiem interwencji, przynajmniej tej najostrzejszej. Rozmawiałem z rodzicami, którzy niesłusznie stracili dzieci, co zostało później potwierdzone przez sąd. To traumy, które na lata odciskają się w psychice dziecka. W 2005 roku Norwegia żyła głośną sprawą dotyczącą zakatowania przez ojczyma ośmioletniego Christoffera Gjerstada. Sprawa ta przyczyniła się do znacznie bardziej energicznego działania służb norweskich. Na pewno zapobiegło to kolejnym tragediom, ale doprowadziło do sytuacji, w których część dzieci była odbierana bez odpowiednio przeprowadzonych śledztw, w kompletowaniu materiału dowodowego popełniano błędy. Spraw było zbyt dużo, zaczęto więc zatrudniać pracowników, którzy nie byli odpowiednio wykształceni, skończyli trzyletnie studia, byli młodzi, nie nabyli odpowiedniego doświadczenia, dlatego trzymali się konsekwentnie jednej wersji zdarzeń.

Czy w samym Barnevernetecie jako instytucji też zachodzą zmiany? Jest miejsce na autorefleksję na przykład na temat różnic kulturowych, które mogą prowadzić do konfliktu na linii instytucja – rodzice?

Tak, w Norwegii cały czas toczy się dyskusja na temat optymalnego funkcjonowania służb. Środowiska intelektualistów wystosowywały listy, demonstrowały mniejszości etniczne, wszczęto sprawy przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka i wtedy zaczęły się pewne zmiany. W ostatnich latach Norwegia odbiera rodzicom mniej dzieci. Nowa ustawa nie zmienia całkiem systemu norweskiego państwa opiekuńczego, ale próbuje wmontowywać pewne zabezpieczenia. Za wcześniej jeszcze oceniać, czy te zabezpieczenia działają, bo ustawa funkcjonuje od pierwszego stycznia bieżącego roku, a część regulacji wchodzi w życie dopiero od lipca. W marcu bieżącego roku ukazał się także raport specjalnie powołanej komisji, który zawiera dość ostrą – jak na Norwegię – krytykę systemu, pojawiają się w nim między innymi zarzuty, że zdanie dzieci w zbyt małym stopniu brane jest pod uwagę. Podobne uwagi dotyczą roli rodziców, ich partycypacja w procesie została także oceniona jako zbyt mała. System uważa się za konfrontacyjny. Pojawiły się konkretne postulaty – na przykład powołania w kontekście każdej sprawy reprezentanta praw dzieci, który dba,

by zdanie dziecka zostało uwzględnione. Takie stanowisko funkcjonuje w Szwecji i wydaje się, że osoba ta pełni pozytywną rolę. Pytanie, na ile te zmiany zostaną wprowadzone w życie.

W norweskim systemie dziecko ma znacznie większą podmiotowość niż w Polsce, na poziomie zarówno kulturowym, jak i prawnym.

Tak, dziecko w Norwegii ma znacznie bardziej autonomiczną pozycję niż w Polsce. Jest traktowane jako jednostka posiadająca swoje prawa i swój ogłód świata. Nie jest kimś, kto musi się podporządkować woli rodziców. To kwestia zarówno prawna – na przykład w kontekście wyboru szkoły dziecko ma możliwość wyrażenia własnego zdania, podobnie w kwestiach opieki czy praktyk religijnych, jak też kwestia kulturowa. W Norwegii popularna jest historyjka, jak to przedszkolanka uważa, że dziecko powinno założyć kurtkę, bo na zewnątrz jest zimno, sama jednak nie wyda stosownego polecenia, poczeka aż dziecko wyjdzie na dwór, przekona się, że jest zimno, wróci i samo poprosi o kurteczkę. Pytałem przedszkolanki w Norwegii, czy rzeczywiście tak jest, a one na mnie patrzyły ze zdziwieniem: „A jak ma być?”. Wola dziecka ma znaczenie, nie do pomyślenia jest dyscyplinowanie. Szarpnięcie dziecka jest bardzo źle widziane, stanowi przejaw fizycznego naruszania autonomii jednostki. Jadąc do Norwegii, trzeba się tego nauczyć.



Państwo – wspólne dobro i troska

Z prof. Ryszardem Czarnym, politologiem specjalizującym się w problematyce państw skandynawskich i byłym ambasadorem RP w Szwecji, Norwegii i Islandii, rozmawia Jakub Bielamowicz

Ryszard Czarny jest profesorem nauk humanistycznych w zakresie nauk politycznych (2004), zajmującym się przede wszystkim polityką zagraniczną i bezpieczeństwem państw nordyckich. Jest autorem 21 monografii (w tym 4 wydanych w j. angielskim przez Springer International Publishing Switzerland: *The High North. Between Geography and Politics*, 2015, *A Modern Nordic Saga: Politics, Economy and Society*, 2017, *Sweden: From Neutrality to International Solidarity*, 2018, *The Nordic Dimension of Energy Security*, 2020), 3 podręczników oraz ponad 150 rozpraw i artykułów. Ponadto był senatorem RP i wicemarszałkiem Senatu III kadencji, ministrem edukacji narodowej (1995-1996), ambasadorem RP w Królestwie Szwecji (1997-2001) oraz w Królestwie Norwegii i Republice Islandii (2005-2007).

Jakub Bielamowicz jest analitykiem ds. Bałkanów i Europy Środkowej w Instytucie Nowej Europy. Komentator wydarzeń z regionu dla mediów krajowych i zagranicznych. Absolwent prawa na UJ i handlu zagranicznego w SGH, studiował także na Uniwersytecie Wiedeńskim. Wcześniej pracował w dyplomacji, m.in. jako asystent ds. politycznych i ekonomicznych Ambasadora Szwajcarii w Polsce.

Jakub Bielamowicz: Chciałbym, abyśmy w tej rozmowie spojrzeli na Skandynawię z perspektywy polskiego dyplomaty, który przez lata poznawał z bliska kraje tego regionu. Pierwszą Pańską placówką był Sztokholm, następnie pełnił Pan służbę dyplomatyczną w Norwegii i Islandii. W jaki sposób rozwinęła się Pana fascynacja regionem, która, jak rozumiem, zaowocowała możliwością wyjazdu na Północ z paszportem dyplomatycznym w rękę?

Ryszard Czarny: Służba w dyplomacji nigdy nie była celem, do którego usilnie dążyłem. Moje życie zawodowe koncentrowało się przede wszystkim na pracy naukowej w obszarze stosunków międzynarodowych, bezpieczeństwa i politologii. Krajami skandynawskimi zacząłem się zajmować na poważnie dość późno, gdyż dopiero na poziomie doktoratu na Uniwersytecie Jagiellońskim. Na początku lat siedemdziesiątych byłem jedną z dwóch osób w Polsce, które zaczęły zgłębiać dość egzotyczny wówczas temat „regionalizmu w stosunkach międzynarodowych”. Większość tego typu prac politologicznych dotyczyła stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, z Niemcami itd. Zresztą, w ogóle nie istniało wówczas coś takiego jak polska polityka północna. Postawiłem się więc skoncentrować na tej niszy, którą wówczas nikt inny się w Polsce nie zajmował. W ukierunkowaniu się pomógł mi także wyjazd w 1975 roku na stypendium w wyższej szkole w Östersund, na które nie było chętnych, bo wynosiło jedynie 150 koron szwedzkich miesięcznie. Miałem to szczęście, że na miejscu dostałem

jeszcze zakwaterowanie i wyżywienie. Pobyt ten pozwolił mi nie tylko na studiowanie dostępnych tam źródeł w języku angielskim, ale także na naukę szwedzkiego. Mogłem uczestniczyć w lokalnych zajęciach, miałem do dyspozycji wręcz indywidualnego lektora, bibliotekę i oczywiście całe otoczenie, które mówiło po szwedzku.

Poza tym przez czternaście lat zajmowałem się polityką. W latach dziewięćdziesiątych byłem senatorem RP reprezentującym dawne województwo kieleckie, w tym także jako wicemarszałek Senatu. Następnie w rządzie Józefa Oleksego pełniłem funkcję ministra edukacji narodowej. Dopiero potem otrzymałem od prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego propozycję objęcia placówki w Sztokholmie. Jednym z głównych powodów złożenia mi tej oferty była właśnie dobra znajomość szwedzkiego, o którą w tamtych latach w Polsce było dość trudno, także w polskim MSZ.

Pragnę zaznaczyć, że lata mojej misji ambasadorskiej w Szwecji przypadły na okres trudnej kohabitacji pomiędzy pałacem prezydenckim prezydenta Kwaśniewskiego a postsolidarnościowym rządem Jerzego Buzka, w którym na czele MSZ stali profesorowie Geremek i Bartoszewski. Pomimo dużych różnic pomiędzy tymi środowiskami, zupełnie innych korzeni politycznych, łączyły nas wspólne cele w polityce zagranicznej, w tym przede wszystkim wielkie pragnienie, by trwale osadzić Polskę w strukturach zachodnich. W późniejszych latach było już coraz trudniej o prowadzenie polityki państwa ponad podziałami. Ale to, na co mogliśmy zawsze liczyć, niezależnie od tego, kto u nas rządził, to pełne i zaangażowane wsparcie krajów skandynawskich dla naszego prozachodniego kursu w polityce zagranicznej po 1989 roku. Nie było ono oczywiście całkiem bezinteresowne, gdyż Skandynawowie upatrywali w naszym otwarciu na Zachód ogromnej szansy przede wszystkim w zakresie ekspansji swoich firm.

Życie w krajach skandynawskich jest w powszechnym odczuciu utożsamiane z wysokim standardem, dużą stabilnością polityczno-społeczną, ale także dużo wyższymi kosztami życia i trudniejszymi warunkami pogodowymi. Jak to wyglądało z perspektywy polskiego dyplomaty?

Szczególnym przywilejem było móc reprezentować Polskę, przechodzącą przez trudne lata transformacji, w krajach o tak wysokim standardzie życia. Oczywiście były z tym związane liczne trudności, o których Pan wspomina, zwłaszcza w początkowych latach mojej pracy w MSZ. Mimo że wysokość wynagrodzenia dyplomatów przebywających na placówkach

jest uzależniona od uśrednionych kosztów życia w kraju przyjmującym, to ówczesne zarobki w polskim ministerstwie nie rozpieszczały.

Pewne komplikacje, które z dzisiejszej perspektywy wydają się już tylko zabawne, wystąpiły nawet przed samym wyjazdem na placówkę. Podczas ceremonii składania listów uwierzytelniają-

cych u króla Szwecji obowiązkowym elementem stroju dyplomaty poza frakiem jest także cylinder. W połowie lat dziewięćdziesiątych, nawet w Warszawie, z ogromnym trudem można było go dostać. Ale naprawdę warto było się natrudzić, gdyż ta pierwsza audyencja u króla Karola XVI Gustawa była przeżyciem, które zapamiętałem na całe życie. Bardzo podniosłym momentem był już sam przejazd karocą z rezydencji ambasadora przez miasto na Zamek Królewski w Sztokholmie. Nie ukrywam, że dzięki znajomości szwedzkiego – którą mogło się wtedy pochwalić stosunkowo niewielu członków korpusu dyplomatycznego – udało mi się zaskarbić uwagę króla i w efekcie aż trzykrotnie wydłużyć zwyczajową pięciominutową wizytę, wywołując tym zniecierpliwienie personelu dworskiego i innych dyplomatów, którzy tego dnia również składali swoje listy uwierzytelniające na ręce monarchy.

Dla mnie, jako niezawodowego dyplomaty, i dla towarzyszącej mi rodziny dodatkowym utrudnieniem była konieczność rezygnacji z pracy przez moją żonę, która z zawodu jest sędzią. W związku z tym praktycznie nie mogła podjąć innej pracy na miejscu, nie miała także początkowo opłacanych składek ubezpieczenia społecznego. Na szczęście sytuacja bytowa polskich dyplomatów i ich rodzin stale się poprawiała.

Jeśli chodzi o trudniejsze warunki pogodowe, to może powtórzę tylko krótko za Skandynawami: „Nie ma złej pogody, są tylko źle ubrani ludzie”. Naprawdę miło wspominam tamtejszą kulturę przemieszczania się po Sztokholmie rowerem, niezależnie od pogody za oknem.

W Szwecji nie jest niczym negatywnym czy niestosownym, jeśli na przykład poinformuje się służby publiczne o tym, że ktoś zatrudnia pracowników na czarno. Pierwszą myślą Szweda będzie, że jest to działanie na niekorzyść budżetu państwa i lokalnego rynku pracy, a nie przejaw swoiście rozumianego sprytu czy zaradności.

O krajach skandynawskich mówi się bardzo często w ujęciu zbiorczym, głównie ze względu na położenie geograficzne, przeplatającą się historię, ale także

bliskość językową. Jakie są Pana doświadczenia językowe wyniesione z pobytu na tamtejszych placówkach?

Mimo że Szwedzi są w europejskiej czołówce najbardziej anglojęzycznych narodów, to znajomość szwedzkiego dawała mi możliwość szczególnie bliskiego kontaktu z życiem społeczno-ekonomicznym i kulturą tego kraju, a ze względu na duże podobieństwa pomiędzy językami regionu otwierała wiele drzwi także w całej Skandynawii. Ci, którzy nie znają języka, będą niestety zawsze skazani na przeżywanie Skandynawii przez pewien filtr tłumaczeń, które mogą być obciążone wadą uproszczeń lub zniekształceń. Tym bardziej że w języku szwedzkim jest wiele pojedynczych, nieprzetłumaczalnych słów i określeń, które opisują całe złożone zjawiska. Jednym z moich ulubionych jest szwedzkie „lagom”, które można przetłumaczyć na polski jako „ni mniej, ni więcej”, „tak w sam raz”. To określenie odnosi się zresztą do szerszego zjawiska, jakim wśród Szwedów jest pewnego rodzaju umiarkowanie, dystans czy niechęć do popadania w skrajności.

Szczególnym wyróżnieniem dla obcokrajowca jest zaproszenie od Szweda do jego domu. Nie muszę chyba dodawać, że szanse dyplomaty na ten dość trudny zaszczyt wyraźnie rosną, gdy zna się język. Dzięki szwedzkiemu udało mi się zbudować dobre kontakty z wieloma przedstawicielami życia publicznego, w tym z wieloletnim socjaldemokratycznym premierem Göranem Perssonem, który następnie podczas wizyt prezydenta Kwaśniewskiego ciepło przyjmował polską delegację i szczególną uwagę poświęcał naszej transformacji i eurointegracyjnym dążeniom.

Mówiąc o językach skandynawskich, faktycznie trzeba zaznaczyć, że są one do siebie podobne, wręcz wzajemnie zrozumiałe, jak na przykład szwedzki i norweski, pomimo że ten drugi szczególnie wyróżnia się licznymi odmianami regionalnymi. Dialekty norweskiego potrafią być do tego stopnia różne, że Norwegowie z Oslo mogą mieć realny problem ze zrozumieniem mieszkańców Bergen, nazywanego zresztą „bramą do norweskich fiordów”. Z ciekawą sytuacją miałem do czynienia po przyjeździe na moją drugą skandynawską placówkę, właśnie w Oslo. Podczas ceremonii składania listów uwierzytelniających na tamtejszym Zamku Królewskim rozpocząłem kurtuazyjną rozmowę z Haraldem V w języku angielskim. Król jednak dość szybko mnie zapytał, dlaczego nie posługuje się szwedzkim, o którym przeczytał przed spotkaniem w moim CV. Odpowiedziałem, że chyba nie bardzo wypada mówić mi w tym języku na Zamku Królewskim w Oslo w setną rocznicę zerwania przez Norwegię unii szwedzko-norwe-

skiej, bo akurat w tym dniu przyszło mi składać listy uwierzytelniające. Jego Wysokość obrócił to w żart, podkreślając swoje rodzinne koligacje ze Szwecją, i rozmowę kontynuowaliśmy już po szwedzku.

Bez wątpienia pewne różnice kulturowe występują także pomiędzy Polską a krajami skandynawskimi.

Faktycznie w wielu aspektach różnimy się od Skandynawów, co czyniło pobyt w tych krajach szczególnie ciekawym doświadczeniem. Kiedy przyjechałem do Szwecji jako polski ambasador w połowie lat dziewięćdziesiątych, to duże wrażenie zrobiła na mnie tamtejsza administracja publiczna, bardzo wydajna i dobrze zorganizowana. Do polskich urzędów można było wówczas wejść co prawda o dowolnej porze, ale trzeba było się uzbroić w cierpliwość. Tymczasem w Szwecji już wówczas urzędy publiczne funkcjonowały w dużej mierze w oparciu o wcześniej umówione, sprawnie przebiegające wizyty. Ciekawą specyfiką szwedzkiej administracji są również małe, *stricte* polityczne ministerstwa i liczne, wyspecjalizowane agendy rządowe, które pomimo organizacyjnego podporządkowania tym ministerstwom postrzegane są nawet jako *de facto* sprawujące władzę w kraju. Uwagę zwracała szczególnie dbałość Szwedów o bezpieczeństwo w urzędach, do których wchodziło się przez bramki, oczywiście będąc wcześniej umówionym. Wydaje się, że przynajmniej do pewnego stopnia było to również dziedzictwo zamachu na szwedzkiego premiera Olofa Palme, który dekadę wcześniej został zastrzelony w samym centrum Sztokholmu.

W tamtym czasie dyplomata przyjeżdżający z Polski na placówkę w Sztokholmie mógł doznać także szoku kulinarnego. Myślę, że możemy się zgodzić co do tego, że łosoś w latach dziewięćdziesiątych był wciąż jeszcze dla nas pewnego rodzaju delikatesem. Tymczasem w Szwecji było to popularne danie serwowane w trakcie lunchów roboczych, co skutecznie wyleczyło mnie z jedzenia łososia. Zresztą, przeciwko karmieniu łososiem przez sześć dni w tygodniu protestowali robotnicy rolni już na początku XX wieku.

To, co także dość szybko rzuca się w oczy, to zupełnie inne rozumienie „donosicielstwa”. W Szwecji nie jest niczym negatywnym czy niestosownym, jeśli na przykład poinformuje się służby publiczne o tym, że ktoś

Narody skandynawskie cechuje szczególna dbałość o dobro wspólne i swoista mądrość zbiorowa.

zatrudnia pracowników na czarno. Pierwszą myślą Szweda będzie, że jest to działanie na niekorzyść budżetu państwa i lokalnego rynku pracy, a nie przejaw swoście rozumianego sprytu czy zaradności. To podejście wynika przede wszystkim z tego, że narody skandynawskie cechuje szczególnie dbałość o dobro wspólne i swoista mądrość zbiorowa.

Porozmawiajmy zatem trochę o naszej polityce zagranicznej wobec państw skandynawskich. W jaki sposób staramy się realizować nasze interesy w tym regionie Europy?

W mojej ocenie dość przełomowym – niestety w negatywnym sensie – momentem dla naszych relacji z państwami skandynawskimi był rok 2004 i wstąpienie Polski do Unii Europejskiej. Do tamtego momentu Skandynawia, w tym w szczególności Szwecja, wiązała z przechodzącą transformacją Polską duże nadzieje. Wyobrażano sobie nas nie tylko jako zwornik pomiędzy Wschodem a Zachodem, ale także między Północą a Południem. Jak jednak pokazała później historia, uwaga naszej dyplomacji praktycznie całkowicie skoncentrowała się na tej pierwszej osi, w tym przede wszystkim relacjach z Brukselą i zachodnimi stolicami, ewentualnie na innych bardziej regionalnych formatach, takich jak Grupa Wyszehradzka. To był koniec polskiej polityki północnej. Nasze relacje ze Skandynawią rozwijaliśmy w kolejnych latach w dużej mierze już tylko w ramach Unii Europejskiej.

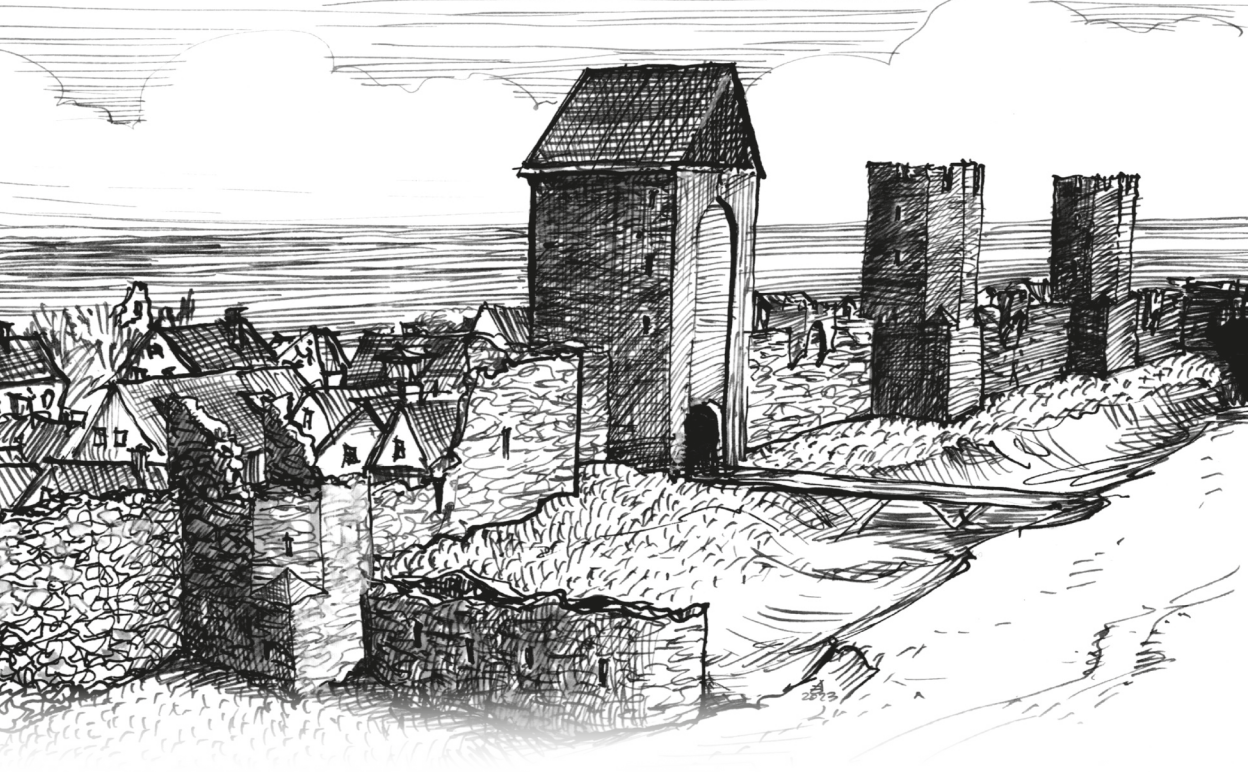
Równie ważnym motorem napędowym naszych relacji z państwami skandynawskimi była bez wątpienia stale rosnąca obecność Polonii. Szczególnie ciekawy przykład stanowi tutaj Islandia, gdzie także byłem akredytowany w trakcie misji ambasadorskiej w Norwegii. W tamtym czasie, czyli w połowie lat dwutysięcznych, na wyspę zaczęli napływać masowo nasi rodacy, głównie oczywiście w poszukiwaniu pracy i wyższego standardu życia. W ciągu niespełna dwóch dekad staliśmy się na Islandii największą mniejszością narodową, która jest ceniona na tamtejszym rynku pracy. Ku zaskoczeniu wielu dobrze radzimy sobie także z dość trudnym dla nas językiem islandzkim, mimo że wiele informacji w przestrzeni publicznej czy dodatków do gazet dostępnych jest także po polsku. Taki dynamiczny wzrost liczebności Polonii musiał pociągnąć za sobą także zmiany w relacjach międzypaństwowych. Na początku Polacy musieli się wybrać w co najmniej dwudniową podróż do Oslo, by na przykład wyrobić paszport dla dziecka. Nie muszę chyba tłumaczyć, z jakim nakładem organizacyj-

nym i finansowym było to związane. Zresztą nasz budżet też ponosił koszty w związku z brakiem placówki w Reykjavíku, gdyż część wsparcia konsularnego na miejscu świadczyły na rzecz Polaków także ambasady innych krajów Unii Europejskiej w ramach unijnej pomocy prawnej, za którą musieliśmy płacić. Od tamtego czasu na szczęście znacznie rozwinęliśmy naszą dyplomatyczną obecność na wyspie. W 2008 roku uruchomiliśmy w Reykjavíku konsulat, który pięć lat później został podniesiony do placówki w randze ambasady.

Przechodząc do czasów współczesnych, to niebagatelnym wydarzeniem z punktu widzenia naszej polityki bezpieczeństwa jest oczywiście rozszerzenie NATO o Finlandię i – miejmy nadzieję – wkrótce także Szwecję. W przypadku tych dwóch krajów dokonała się wręcz epokowa zmiana myślenia. Do momentu wybuchu wojny w Ukrainie, przystąpienie do sojuszu obronnych w ogóle nie było w tych krajach przedmiotem poważnej debaty. W Szwecji ze względu na politykę neutralności, a w Finlandii rzecz jasna z uwagi na szczególnie charakter stosunków niegdyś z ZSRR, a później z Rosją. Obserwując jednak obecną, błyskawiczną ścieżkę akcesji obu krajów, widzimy, że zarówno Szwecja, jak i Finlandia były dobrze do tego członkostwa przygotowane pomimo braku formalnych dążeń.

Po tych wszystkich latach spędzonych w Skandynawii z nieskrywaną fascynacją wspominam możliwość przyglądania i uczenia się od najlepszych. I to w tak wielu dziedzinach, jak wskazują przecież liczne międzynarodowe rankingi. Uważam, że za sprawą szczególnej przychylności Skandynawów wobec Polski moglibyśmy od nich zaczerpnąć jeszcze wielu dobrych praktyk.

Po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej nasza dyplomacja praktycznie całkowicie skoncentrowała się na relacjach z Brukselą i zachodnimi stolicami. To był koniec polskiej polityki północnej. Nasze relacje ze Skandynawią rozwijaliśmy w kolejnych latach w dużej mierze już tylko w ramach Unii Europejskiej.



W poszukiwaniu dobrostanu

Z Katarzyną Tubylewicz, pisarką, tłumaczką,
dyplomatką, rozmawia Monika Frenkiel

Katarzyna Tubylewicz jest pisarką, tłumaczką, publicystką i kulturoznawczynią. Absolwentka kulturoznawstwa w Ośrodku Studiów Amerykańskich UW, studiowała również polonistykę na UW oraz skandynawistykę na Uniwersytecie Sztokholmskim i przekład literatury pięknej na Södertörns högskola. W latach 2006-2012 była dyrektorką Instytutu Polskiego w Sztokholmie i attaché kultury w Ambasadzie RP. Prowadziła również zajęcia na temat kultury polskiej na Uniwersytecie Sztokholmskim i na temat przekładu na Uniwersytecie w Uppsali. Autorka książek o Szwecji, m.in. *Moralisci: jak Szwedzi uczą się na błędach i inne historie, Sztokholm. Miasto, które tętni ciszą, Bardzo zimna wiosna, Samotny jak Szwed? O ludziach Północy, którzy lubią bywać sami, Szwedzka sztuka kochania. O miłości i seksie na Północy.*

Monika Frenkiel jest dziennikarką i krytyczką literacką. Publikowała w „Gazecie Wyborczej”, „Polskapresse”, „Onecie”, „Newsweeku”. Prowadzi bloga literackiego „Nie samą pracą”.

Monika Frenkiel: Jedną z najważniejszych rzeczy w życiu Polaków stanowi praca. Jak życiowe priorytety wyglądają w Szwecji?

Katarzyna Tubylewicz: Z jednej strony jest podobnie. Kiedy spotykają się nieznajomi ludzie, pytanie „czym się zajmujesz” jest jednym z dawanych jako pierwsze, co świadczy o tym, że praca to ważny element tożsamości. W Szwecji procentowo pracuje więcej ludzi niż w Polsce, bo kraj ten ma najwyższy w Unii Europejskiej udział kobiet w rynku pracy – ponad 80 procent Szwedek pracuje zawodowo. Tu właściwie w ogóle nie występuje zjawisko pani domu zajmującej się dziećmi. Jednocześnie w Szwecji jest dużo zdrowego balansu między świadomością, że praca jest ważna, bo dzięki niej jest się niezależnym, a rozumieniem faktu, że życie nie składa się tylko z pracy. Na pewno w środowisku wielkomiejskim i na pewno wśród klasy średniej ważnym elementem życia jest rozwój zawodowy, ale priorytet stanowi też na przykład zdrowe życie, którego częścią jest odpowiednia dieta i ruch. Szwecja jest krajem, w którym od ponad dwudziestu lat przepisuje się ruch na receptę, jako lekarstwo. Wielu ludzi uprawia sport i to jest istotna część ich życia. Jeśli miałabym określić, co stanowi centrum szwedzkiej egzystencji, to powiedziałabym, że jest to poszukiwanie dobrostanu. W polskiej mentalności wciąż jest dużo cierpiętnictwa, które z jednej strony wynika z katolicyzmu, a z drugiej ma związek z historią. Jesteśmy przekonani, że życie ma być trudne. Szwedzi są przekonani, że życie może być dobre. Mają duże zaufanie do spo-

leczeństwa, innych ludzi. Więcej uwagi poświęcają miłym rzeczom i jak jest im dobrze, nie denerwują się, że coś zaraz spadnie im na głowę, jak mają to w zwyczaju Polacy.

W Polsce pojęcie *work life balance* dopiero się pojawia i dotyczy raczej osób młodych. Ludzie około czterdziestki wciąż żyją w kulcie nadgodzin i poświęcania wszystkiego dla pracy.

Opowiem anegdotę, która wiele mówi o Szwecji. W latach 2006-2012 byłam dyplomatką i attaché kultury oraz szefową Instytutu Polskiego w Szwecji. To był dobry czas dla promocji polskiej kultury za granicą i intensywnie pracowaliśmy, żeby mieć dobry kontakt ze szwedzkimi instytucjami kultury. Ja i moja zastępczyni odbywałyśmy wiele spotkań z potencjalnymi szwedzkimi partnerami. Miałyśmy w sobie jeszcze dość silnego ducha polskiego, więc wydawało nam się, że najlepiej będzie, jak będziemy opowiadać, jakie jesteśmy zapracowane, że pracujemy dniami i nocami, w czasie weekendów. Wtedy w Polsce, jak chciało się zrobić dobre wrażenie, to tak właśnie należało mówić. Szybko zauważyłam, że Szwedzi są tymi naszymi opowieściami przerażeni. Że to w ogóle nie budzi zaufania. Sprawia się wrażenie osoby niezrównoważonej, która robi coś, co jest niezdrowe, niezgodnie z zasadami i właściwie nie wiadomo, czemu miałyby to służyć. Byłyśmy odbierane jak niestabilne emocjonalnie. W Polsce używa się na to określenie „kultura zapierdolu”. Niby się na to narzeka, mówi o zmęczeniu, wypaleniu, ale w pewnych środowiskach, wśród czterdziestolatków, wciąż jest dobrze podkreślać, jak dużo się pracuje. To sygnał: jestem odpowiedzialny, zaangażowany, powodzi mi się, robię coś ważnego. W Szwecji jest to odbierane jako dowód na to, że nie umiem sobie zorganizować pracy, jestem od niej uzależniony, nie radzę sobie, być może jestem niestabilny psychicznie.

Ile trwa przeciętny dzień pracy w Szwecji?

Tak jak w Polsce, osiem godzin. Ale bardzo pilnuje się odbierania nadgodzin. Ważne jest też to, że rodzice małych dzieci, do ósmego roku życia, mają prawo niejako automatycznie zażyczyć sobie pracy na 80 procent etatu, żeby wychodzić z niej koło piętnastej i móc odebrać dziecko z przedszkola. Dzieci w Szwecji zaczynają chodzić do przedszkola wcześniej, około siedemnastego miesiąca życia, ale nie spędzają w placówce zbyt dużo czasu w ciągu dnia, bo ich rodzice zazwyczaj krócej pracują. Dzień pracy jest

więc także ośmiogodzinny, ale bywa też krótszy albo jest inaczej zorganizowany. W Polsce to też się trochę zmieniło, także na skutek pandemii, więcej ludzi pracuje z domu. W Szwecji takie możliwości istniały wcześniej.

I Poza uprawianiem sportu co jeszcze Szwedzi robią po pracy?

Uczęszczają na różne zajęcia. Często ludzie w Szwecji poznaje się, ponieważ ma się jakąś pasję. Bardzo popularne jest śpiewanie w chórach, ale można chodzić na masę innych zajęć i także dookoła nich ogniskuje się życie towarzyskie. Ludzie pielęgnują przyjaźnie z młodości. Uprawiają jogę albo medytację, jeżdżą na łyżwach panczenach i żeglują. Bardzo ważny jest dla nich kontakt z naturą, poczawszy od zwykłego pójścia na spacer.

Nawet w miastach do natury jest blisko. W miesiącach wiosenno-letnich, kiedy świeci słońce, Szwedzi dużo czasu spędzają na świeżym powietrzu. Jeżeli w rodzinie są dzieci, to dba się o wspólne spędzanie czasu. Szwedzi w ogóle przywiązują wagę do regularnego trybu życia – godziny lunchu są święte, godziny przerwy na bułeczkę i herbatę, czyli „fika” także. To w sumie element mieszczańskiego stylu życia, ale bardzo zdrowy dla ciała i psychiki.

Szwedzi w towarzystwie rzadko rozmawiają o polityce. To raczej temat tabu.

I Jak wygląda szwedzki model rodziny?

Owych modeli jest bardzo dużo. W Szwecji normalnością będzie tradycyjna rodzina heteroseksualna, ale nie budzą zdziwienia rodziny tęczowe i jest ich bardzo dużo. W mojej książce *Szwedzka sztuka kochania. O miłości i seksie na Północy* pojawia się także rodzina poliamoryczna, i oni nie budzą zdziwienia w swoim środowisku, a mieszkają w małej miejscowości na północy, czyli niby w miejscu bardziej konserwatywnym niż duże miasta. Sporo jest rodzin patchworkowych, bo Szwedzi często się rozwodzą, ale po rozwodzie zazwyczaj się przyjaźnią i razem wychowują dzieci. Normą jest opieka naprzemienna, automatycznie przyznawana przez sądy: dzieci mieszkają tydzień u jednego rodzica, tydzień u drugiego. Inaczej wtedy kształtują się relacje między nowymi a poprzednimi partnerami. Znana pisarka Camilla Läckberg ma trzeciego męża i czwórkę dzieci z trzema mężczyznami. Pozostaje z nimi wszystkimi w przyjaźni, a oni uczestniczą w wychowaniu potomstwa. Utrzymuje też kontakt z obecnymi i byłymi partnerkami swoich byłych partnerów, wysyła z nimi dzieci na wakacje – jej

rodzina jest dzięki temu bardzo duża. Jeszcze do niedawna Szwecja była w czołówce krajów, w których na świat przychodziło dużo dzieci – współczynnik dzietności wynosił 1.9. Teraz to zaczęło spadać, bo również pojawiło się wielu Szwedów i Szwedek, którzy nawet będąc w związkach, nie chcą mieć potomstwa, na przykład ze względu na zmiany klimatyczne. To zjawisko braku wiary w przyszłość dotarło do Szwecji i widać jego efekty, mimo tego, że Szwecja jest państwem bardzo opiekuńczym. Ale jeżeli już w rodzinie pojawiają się dzieci, to z reguły jest ich kilkoro – mieszczańskim ideałem jest trójka. Dzieci rodzą się też w niewielkich odstępach czasu, bo to pozwala wydłużyć czas płatnego urlopu rodzicielskiego. Wbrew temu, co mogłoby się wydawać, że Szwecja jest krajem indywidualistów, że bardzo dużo osób żyje samotnie – to rodziny z kilkorgiem dziećmi są tu częste, choć w różnych wariantach. Na przykład dwóch mężczyzn wychowujących dzieci. Taka para pojawiła się we wspomnianej książce mojego autorstwa o miłości w Szwecji – pisałam o parze mężczyzn, od wielu lat będących małżeństwem, wychowujących bliźniaczki urodzone z surogatki. Nazwałam ich „szwedzkimi Kowalskimi”, bo byli przekonani, że prowadzą bardzo nudne życie typowej rodziny. W ogóle nie rozumieli, dlaczego chcą z nimi rozmawiać!

Pisała Pani także w swojej książce o ciekawym rozwiązaniu prawnym – otóż szwedzkie małżeństwa mają rozdzielność podatkową.

To rozwiązanie wprowadzone w latach siedemdziesiątych przez socjaldemokratów. Miało charakter ideologiczny. Chciano wprowadzić na rynek pracy kobiety, żeby nie zostawały w domu. Chodziło także o to, by małżeństwo nie było związkiem ekonomicznym. Powstał nawet taki manifest. Ludzie nie powinni być ze sobą dlatego, że są od siebie zależni finansowo albo mają wspólny kredyt, tylko dlatego, że się kochają. A w momencie, kiedy miłość się kończy, łatwo się rozstają. Szwecja może nam się wydawać krajem zimnym, ale jak się temu przyjrzymy, to jest to bardzo romantyczne.

Jak wygląda podział obowiązków w tradycyjnej rodzinie? Kwestia urlopów rodzicielskich?

Prawnie urlop rodzicielski, który trwa 470 dni, może, ale nie musi być dzielony po równo między rodziców, z tym że trzy miesiące przypadają osobie, która wybiera mniej urlopu. W rzeczywistości jest tak, że te trzy miesiące przypadają ojcu. Wielu ojców szczególnie w dużych miastach

w bardzo świadomych rodzinach decyduje się na zostanie z dzieckiem dłużej. W pewnym momencie duże firmy dofinansowywały mężczyznom na wysokich stanowiskach dłuższy pobyt z dziećmi – bo urlop rodzicielski jest płatny do pewnego poziomu, więc jak ktoś ma wysokie zarobki, to na tym traci, dlatego firmy dofinansowywały te świadczenia. Tłumaczono to tym, że mężczyźni, którzy byli na urlopie ojcowskim, są potem lepszymi szefami, stają się bardziej empatyczni, rozwijają się zawodowo. Jednak mimo tego, że wielu mężczyzn zostaje w domach, większość urlopu rodzicielskiego wykorzystują kobiety. Chociażby dlatego, że w Szwecji bardzo promuje się karmienie piersią.

Co się tyczy podziału obowiązków – szwedzcy mężczyźni od przedszkola są uczeni różnych domowych zajęć. Przeciętny Szwed przyszyje guzik do koszuli, ugotuje posiłek. To inny rodzaj męskości, inaczej kształtowanej. To przekłada się na o wiele większe zaangażowanie w wychowywanie dzieci i prowadzenie domu, owocuje także o wiele większą samodzielnością, niż na przykład obserwowana wśród mężczyzn w Polsce. Ale są tego i gorsze aspekty – z jednej strony mamy równouprawnienie, a z drugiej – mężczyźni wciąż zarabiają więcej, a kobiety mogą tracić przez to, że sądy przy rozwodach zasądzą opiekę naprzemienną. Oznacza to, że mężczyźni nie płacą alimentów, nawet jeżeli zarabiają więcej niż była żona.

I A jak wygląda jesień życia w Szwecji?

Szwedzi długo żyją i długo pozostają sprawni, między innymi dzięki zdrowemu stylowi życia. Wiele osób powyżej dziewięćdziesiątego roku życia mieszka samodzielnie i dobrze sobie radzi. Oczywiście korzystając z pomocy. Prawo stanowi, że osobie starszej, mieszkającej samodzielnie i potrzebującej pomocy przysługuje wsparcie opiekunki przychodzącej do domu kilka razy na dobę. Do domów starców trafiają ludzie bardzo starzy, którzy nawet z pomocą opieki nie są w stanie mieszkać samodzielnie. Starość w Szwecji zaczyna się później i inaczej wygląda. W Polsce się wydaje, że jak ktoś ma pięćdziesiąt lat, to jest już wiekowy, w Szwecji w tym wieku można jeszcze dużo zrobić, na przykład pójść na studia. Wiele osób w wieku „poważnym” biega, chodzi na siłownię. W gazetach, na przykład pismach kobiecych, znacznie rzadziej retuszuje się zdjęcia modelek czy aktorek w średnim wieku. W reklamach jest dużo naprawdę starszych ludzi. Ale przy tych pozytywach istnieje problem samotności osób starszych.

W Polsce obowiązuje model, że na emeryturze opiekuje się wnukami. A jak to wygląda w Szwecji?

Bardzo rzadko ludzie zajmują się wnukami „etatowo”. Oczywiście Szwedzi bardzo kochają swoje wnuki i wnuki często przyjeżdżają na sobotę czy niedzielę, ale nie ma zasady mówiącej, że dziadkowie mają pomagać w wychowywaniu wnuków. Dziadkowie mają swoje życie. Co ciekawe, w Szwecji bardzo wzrosła liczba rozwodów po sześćdziesiątym roku życia. Często inicjują je kobiety, które chcą jeszcze pożyć. A kiedy ludzie się rozwodzą, to niekiedy się zakochują i zamiast zajmować się wnukami, zajmują się nową miłością.

Czy szwedzkie społeczeństwo jest homogeniczne, jak wciąż w Polsce, czy bardziej zróżnicowane?

Szwecja jest jednym z bardziej wielokulturowych krajów w Europie. Słyszałam prognozę, że w 2030 roku co trzeci pracownik szwedzki w wieku czterdziestu lat będzie urodzony poza Szwecją. Obecnie 22 procent społeczeństwa szwedzkiego to ludzie, którzy urodzili się poza tym krajem. Ta wielokulturowość nie wszędzie jest widoczna, bo Szwecja jest posegregowana pod względem miejsca zamieszkania. W dużych miastach są dzielnice imigranckie, do których Szwedzi nie jeżdżą, są też dzielnice, w których widać właściwie tylko ludzi o „szwedzkim” wyglądzie, więc nawet jeśli żyją tam imigranci, to z krajów bliskich kulturowo i etnicznie. Szwecja bardzo dużo zyskała na wielokulturowości, ale ma też od lat problemy związane z asymilacją migrantów, zwłaszcza na rynku pracy. Chodzi szczególnie o uchodźców, którzy często nie mają żadnego wykształcenia, a bywa, że są analfabetami. Takich ludzi trudno jest wprowadzić na zaawansowany, wyspecjalizowany szwedzki rynek pracy, który charakteryzuje się brakiem fabryk, małą ilością prostej, niewymagającej kwalifikacji pracy. Podkreślimy, że Szwecja latami przyjmowała uchodźców z krajów trzeciego świata, bez wykształcenia, co stanowi dużą bolączkę. Polityka ta doprowadziła do wzrostu przestępczości. Wielokulturowość ma wiele twarzy, nie jest tylko piękna. Jednak przeważają jej pozytywne aspekty.

Czy oprócz różnic etnicznych występują między Szwedami jakieś podziały, na przykład polityczne?

W Szwecji też dokonuje się polaryzacja, choć nie jest tak duża, jak w Polsce. W parlamencie szwedzkim zasiada partia, na którą zagłosowało 27 procent

wyborców, mowa o Szwedzkich Demokratach. Jest to siła populistyczno-nacjonalistyczna, przez lata wywoływała gigantyczne kontrowersje, korzeniami sięga ruchów neonazistowskich. Na początku miała rys antyimigrancki, obecnie pozostaje bardzo sceptyczna wobec imigracji i nawołuje do zachowania tradycyjnych wartości szwedzkich. Zwolennicy tej partii to zazwyczaj mężczyźni z małych miast i wsi. Podobne zjawisko obserwujemy na świecie, na przykład wśród zwolenników Trumpa. To także mężczyźni z prowincji, przeważnie sfrustrowani, kobiety – jak wszędzie – są bardziej lewicowe. Szwedzcy Demokraci wywołują ogromną niechęć dużej części liberalnego społeczeństwa, wiele osób

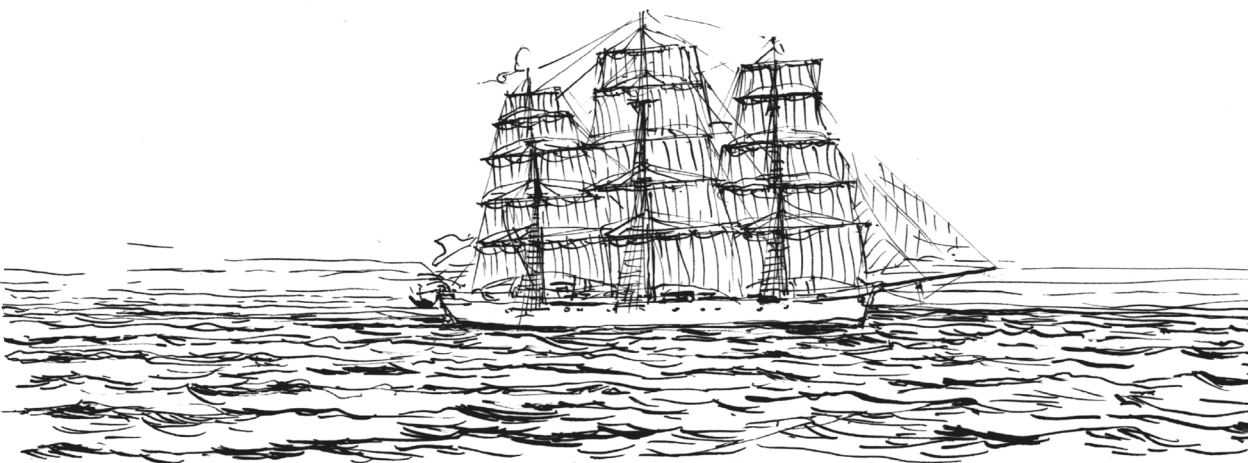
Szwecja, mimo swojego deklarowanego egalitaryzmu, wciąż jest społeczeństwem głęboko klasowym. Wciąż jest monarchią, posiada arystokrację i wyższą klasę. Istnieje dużo wyznaczników klasowości, na przykład adres zamieszkania.

nie wyobraża sobie, że można przyjaźnić się z kimś, kto głosuje na SD. Ta polaryzacja jest mniej widoczna niż w Polsce, bo Szwedzi w towarzystwie rzadko rozmawiają o polityce. To raczej temat tabu. Szwecja, mimo swojego deklarowanego egalitaryzmu z długą tradycją, wciąż jest społeczeństwem głęboko klasowym. Wyraża się to w tym, że jest wciąż monarchią, ma arystokrację i wyższą klasę posiadającą naprawdę „stare pieniądze”. Jest dużo wyznaczników klasowości, na przykład adres zamieszkania. To mniej wyraźne kody, jak choćby w Polsce, gdzie bogactwo jest zaznaczane na przykład samochodem czy wielką willą otoczoną murem. W Szwecji o majątności decyduje właśnie właściwy adres i domek z widokiem na wodę. Ale ten domek może kosztować ogromne pieniądze, jeżeli jest położony przykładowo w Djursholm, najlepszej i najbogatszej dzielnicy willowej koło Sztokholmu. Szwecja z jednej strony jest mniej hierarchiczna niż Polska, to widać w pracy, w szkole, ludzie mówią do siebie po imieniu. Nie ma takiej „feudalnej” pogardy, która potrafi się objawić wobec osób wykonujących mniej prestiżowe prace, na przykład kasjerki w sklepie, ale to nie oznacza, że to społeczeństwo wyrównane. Bariery istnieją i są silnie powiązane z pochodzeniem i pieniędzmi.

I Czy Szwedzi są religijni?

Lubią mówić, że są najbardziej zsekularyzowanym społeczeństwem świata, ale wciąż dużo młodzieży idzie do konfirmacji, bierze się śluby w kościołach, istnieje też silna religijność wynikająca z wielokulturowości – jest

przecież wielu muzułmanów i członków innych kościołów, na przykład ortodoksyjnych chrześcijan. Wielu Szwedów należy też do Kościoła Szwecji, który do niedawna był tak silnie powiązany z państwem, że jeszcze w latach siedemdziesiątych jak człowiek się rodził, automatycznie był przyjmowany w poczet Kościoła Szwecji. W tym momencie Kościół Szwecji ma 5,5 miliona członków, a w kraju żyje 10 milionów ludzi. Na msze mało kto chodzi, ale to wynika z protestantyzmu, w którym obecność na mszy nie jest kluczową częścią religijności. Ważniejsze jest obcowanie sam na sam z Bogiem, protestantyzm inaczej definiuje relacje między człowiekiem a Kościołem. Natomiast Kościół Szwedzki jest bardzo zaangażowany, wymienię chociażby działania na rzecz ekologii i ochrony środowiska. To kościół, który organizuje spotkania z pisarzami, zajęcia jogi, prowadzi kawiarnie, bardzo świadomie realizuje prawdziwie chrystusowe przesłanie miłości bliźniego, bierze udział we wszystkich paradach równości, organizuje dyskusje LGBTQ friendly na przykład o queerowości Biblii, uważa, że Biblia nie potępia homoseksualizmu. Co ciekawe, połowę duchowieństwa w Kościele Szwedzkim stanowią współcześnie kobiety. Kościół jest obecny w życiu Szwedów, ale nie w wymiarze religijnym, a sami Szwedzi, choć określają siebie jako niereligijnych, mają potrzebę duchowości, co przejawia się w ich uczestnictwie w różnych zajęciach medytacji, jogi.



Recenzent	Dr Tomasz Błaszczak, Uniwersytet Witolda Wielkiego w Kownie, Litwa
Nazwa serii	Europa Środkowa
Redaktorzy serii	Beata Surmacz i Tomasz Stępniewski
Projekt okładki i skład	Amadeusz Targoński www.targonski.pl
Ilustracje	© Andrzej Zaręba
Copyright	Instytut Europy Środkowej
ISBN	978-83-67678-26-1
Wydawca	Instytut Europy Środkowej ul. Niecała 5 20-080 Lublin www.ies.lublin.pl

Europa Bałtycka



W niniejszym tomie pragniemy zabrać Czytelnika w podróż po tym unikalnym regionie, odkrywając jednocześnie jego złożoną historię i tożsamość, które wpływają na jego dzisiejszy obraz. Nasze opowieści skupiają się na państwach i regionach otaczających Morze Bałtyckie: od Skandynawii po Półwysep Jutlandzki, od Polski po Rosję (Kalininograd) i aż po państwa nadbałtyckie, takie jak Estonia i Litwa, choć zastanowimy się też, na ile Białoruś jest państwem bałtyckim.

Jednym z ważnych tematów, które tu poruszymy, będzie znaczenie i miejsce Morza Bałtyckiego we współczesnej Europie i świecie. Europa Bałtycka jest miejscem, gdzie dawne tradycje współgrają z nowoczesnością i innowacjami. Zlokalizowane są tutaj piękne stare miasta, takie jak Gdańsk, Sztokholm, Tallinn czy Ryga, które przyciągają turystów z całego świata swoim urokiem i bogatym dziedzictwem kulturowym. Postaramy się nie tylko odkryć przed Czytelnikiem bogactwo i różnorodność państw i społeczeństw tego obszaru, ale także udowodnić, że ten niezwykle region jest nieodłączną częścią dzisiejszej Europy. Współcześnie Europa Bałtycka jest miejscem, w którym różnorodne kultury i narody się łączą, wymieniają doświadczeniami i współpracują, dążąc przy tym do budowy stabilnej, zjednoczonej i zrównoważonej przyszłości. Dlatego zastanowimy się również, czy istnieje jedna bałtycka tożsamość, a jeśli tak – to czym ona jest. Nie możemy też zapominać, że region ten należy postrzegać jako część większej przestrzeni geopolitycznej oraz że zagrożenia ze strony imperializmu rosyjskiego – widoczne w postaci wojny Rosji z Ukrainą – odczuwane są przez państwa skandynawskie, które wstępują do struktur NATO w celu wzmocnienia swojego bezpieczeństwa przed rosyjską agresją.

Małgorzata Nocuń, Tomasz Stępniewski

